tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 15 (1266)
8-14.04.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

JÓZEF MUSIOŁ
JAK OCALONO ZESPÓŁ „ŚLĄSK"

KINGA DĘBSKA
BYWAM JAK ZIMNY PRYSZNIC

DŁUGA LISTA OFIAR
USTAWY REPRESYJNEJ

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI
– AFERA NABIERA ROZPĘDU

POMPOWANIE KULTU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
15 >
9 771509 311409

eprasa.pl 92d2007ecb

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

WŁOCHY – GOŚĆ HONOROWY

targiksiazkiwarszawa.pl

FIERA INTERNAZIONALE DEL LIBRO DI VARSAVIA

ITALIA OSPITE D'ONORE 2024

23-26 maja 2024 r.

PKiN i plac Defilad

Organizator

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

madeinitaly.gov.it

Ministero degli Affari Esteri e della Cooperazione Internazionale

MINISTERO DELLA CULTURA

Ambasciata d'Italia Varsavia

ITA

CENTRO PER IL LIBRO E LA LETTURA

Istituto Italiano di Cultura

AIE Associazione Italiana Editori

Gość Honorowy

Patronat honorowy

MARSZAŁEK SENATU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ Małgorzata Kidawa-Błońska

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Minister Spraw Zagranicznych

Prezydent miasta stołecznego Warszawy

Patronat honorowy

PAN

POLSKA LIGA KSIĄŻKI

BIBLIOTEKA NARODOWA

STOWARZYSZENIE AUTORÓW I WYDAWCÓW COPYRIGHT POLSKA

SBP

SKP

STOWARZYSZENIE TŁUMACZY LITERATURY

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

SWSW

ZBoY

KOPD

STO LAT!

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Jerzy Domański

Kogo wybraliśmy

Już wiemy. A przynajmniej nasi czytelnicy wiedzą, kogo wybrali na gospodarzy swoich, jak to się pięknie mówi, małych ojczyzn. Ja, w piątkowy wieczór, mogę tylko obserwować kulminację wyborczego wzmożenia. Aż się w głowie kręci od mnogości kandydatów do rad. I ich pomysłów, jak zainteresować wyborców. Nasz PRZEGLĄD w ubiegłym tygodniu jako jedyny wyszedł z okładką wyborczą. „Wybierasz dla siebie. Wybierz mądrze". Wiem, że to nie będzie hit sprzedaży. Ale po to są tygodniki opinii, by przypominać o ważnych sprawach. I przynajmniej próbować powalczyć o frekwencję i jak największą aktywność.

Wybierając mądrych ludzi, możemy sobie ułatwić życie, ale gdy większość wybierze obiecywaczy, to będziemy mieli na kogo narzekać. Albo, co sensowniejsze, skorzystamy z instytucji referendum i doprowadzimy do zmiany.

Jeśli rządząca koalicja będzie konsekwentna, to samorządy mogą w najbliższych latach dostać nowy napęd. Potrzebują większych środków finansowych, które pójdą do nich wraz z kolejnym etapem decentralizacji państwa.

Zawirowania na górze i przepychanki między partiami mogą mieć charakter stały i osłabiać sprawczość władzy centralnej. Bardziej więc liczę na sensowność tego, co będzie się działo w samorządach niż w rządzie. To przecież na ich szczeblu będą w praktyce rozstrzygały się obietnice rządowe dotyczące poprawy jakości życia, lepszej szkoły, bardziej dostępnej służby zdrowia czy odbudowy transportu publicznego. Oczywistym warunkiem tego, by doszło do zauważalnej poprawy, jest wsparcie finansowe samorządów. I przełamanie impasu, jakim było i ciągle jest przekazywanie im zadań, ale bez środków na ich realizację. Teraz pieniądze są. Z Krajowego Planu Odbudowy ma trafić do samorządów w ciągu kilku lat 150 mld zł. Trzeba będzie bardzo pilnować, by poszły nie na budowę fontann, ale na oświatę, zdrowie i transport. Jest szansa, że za cztery lata będzie w tych dziedzinach lepiej. A o to lepsze i łatwiejsze życie przecież chodzi.

W wielu miejscach będzie jeszcze druga runda, która dopełni obraz Polski samorządowej. A gdy już, drodzy Czytelnicy, będziecie mieli wybory samorządowe za sobą, zapraszam do dyskusji na temat naszego tygodnika. Pięknie dziękuję tym, którzy co miesiąc przekazują nam darowizny. Nie marnujemy Waszych pieniędzy. Są duże zmiany na naszej stronie internetowej, na Facebooku i Instagramie. Do druku szykujemy też dwie książki: prof. Bronisława Łagowskiego i prof. Andrzeja Romanowskiego. Kolejnych pomysłów nie brakuje. Ale ktokolwiek by w Polsce rządził, i tak możemy liczyć tylko na Czytelników i na siebie. O czym napiszę za tydzień.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 92d2cb7ecb

W NUMERZE

KRAJ

8 Pompowanie kultu
Braci Kaczyńskich droga po władzę

13 Ustawa represyjna: wreszcie coś się ruszyło?
Sprawiedliwość dla emerytów mundurowych

16 Przestępczy układ Zbigniewa Ziobry
Dojny fundusz Suwerennej Polski

19 Stosunki medialne
Swoi sowicie opłacani przez PiS

22 Śląskość, polskość – do zmiany
O uznanie języka śląskiego

40 Tata na urlopie
Pożytki z urlopu ojcowskiego

44 Wysoka cena spokoju
Młodzi Ukraińcy w Polsce

ZAGRANICA

26 Wezwania do zawieszenia broni
Co może ONZ w Gazie?

28 Joe Biden a Donald Trump
– rozmowa z Evanem Osnosem

30 Dług studencki i amerykańskie wybory
Korespondencja z USA

34 Delfin tronu suwerenności
Marine Le Pen czy Jordan Bardella?

38 Europa zielenieje
Legalizacja marihuany teraz w Niemczech

KULTURA

48 Podobno robię filmy, które dają nadzieję
– rozmowa z Kingą Dębską

55 Qulturalia

66 Jak blisko
Fotografia Macieja Cieślaka

KSIĄŻKI

52 Dziedzictwo Stanisława Hadyny
Ocalenie zespołu „Śląsk"

ZWIERZĘTA

56 Baśka miała fajny ogonek
Wiewiórki – lubiane, choć rude

PSYCHOLOGIA

59 Pot, szybkie tętno, niepokój
Zaburzenia lękowe niszczą życie

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Kogo wybraliśmy

25 Jan Widacki
Lewica współrządzi

37 Stanisław Filipowicz
Trucizna i lament

43 Tomasz Jastrun
Marzenia o zemście

51 Wojciech Kuczok
Przeźlenie

40
KRAJ

TATA NA URLOPIE
Pożytki z urlopu ojcowskiego

48
KULTURA

PODOBNO ROBIĘ FILMY, KTÓRE DAJĄ NADZIEJĘ
– rozmowa z Kingą Dębską

56
ZWIERZĘTA

BAŚKA MIAŁA FAJNY OGONEK
Wiewiórki – rude, ale lubiane

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAP/PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Lewomyślnej
Roman Kurkiewicz
Spod katechezy pod kanonadę

Spod katechezy pod kanonadę

No proszę, minister Nowacka też nie najlepiej sobie radzi z reformą w szkolnictwie. Żadnej etyki, bo to najkrótsza droga do zatrudnienia katechetów. Religia/katecheza – precz z przedszkoli i szkół! Miejsce tych zajęć jest w kościele. Powinny być opłacane przez rodziców. Katecheci niech znajdą pracę w innym miejscu. Wiem, o czym piszę. Byłam katechetką w salce parafialnej. W szkole tylko 10 tygodni. Tyle wystarczyło, abym wiedziała, że to już nie jest sacrum. Poza tym o Bogu na oceny uczyć nie będę. To był czas, gdy religia była tylko raz w tygodniu i to na początku lub na końcu zaplanowanych na ten dzień lekcji. *Waleria Lubner*

Wolna jak Jagna

Pozwolę sobie zadać pytanie: czy gdyby nowa ekranizacja „Chłopów" była taka jak każdy inny film, to frekwencja w kinach byłaby taka sama? Czy cokolwiek pozwala nam przypuszczać, że to treść, a nie forma jest tu istotniejsza?

Przemysław Piotr Damski

Trujący hałas

Wiele mówi się o zatruciu środowiska smogiem, ale mamy też do czynienia z zatruwaniem środowiska hałasem. Dotychczas mówiło się głównie o hałasie związanym z transportem, w ostatnich latach przybył nowy sposób gnębienia ludzi i przyrody – koncerty plenerowe. W podwarszawskiej Zielonce, gdzie mieszkam, są dwa miejsca organizowania takich koncertów – w parku Dębinki i w centrum miasta. Jest mały placyk przy ulicy Kolejowej, na którym latem ub.r. rozpoczęła się działalność koncertowa. Ogłuszający hałas dokucza okolicznym mieszkańcom cały dzień, bo już przed południem ekipa montuje nagłośnienie. Potem prowadzone są próby głośności, które płynnie przechodzą w koncert rozpoczynający się o godz. 18, a kończący różnie, nawet o godz. 22.45.

Stały, jednostajny, ogłuszający łomot o olbrzymim natężeniu niekorzystnie wpływa na słuch i układ nerwowy, więc mieszkańcy okolicznych domów zamykają okna. Niewiele to daje, bo hałas nadal dociera do mieszkań. Czy w tych warunkach małe dzieci mogą zasnąć, a starsi wypocząć? Czy można wyjść do ogrodu? A jak się czują zwierzęta? Przerażone ptaki milkną, a nasz pies z lęku podwija ogon, ucieka do domu i nie chce wyjść na dwór, dopóki impreza się nie skończy. W czasie prób do koncertu kończącego ubiegłoroczny sezon poszłam do organizatorów, by zwrócić im uwagę, że uprzykrzają nam życie. Kierowniczka placówki organizującej te hałaśliwe koncerty wyjaśniła, że informowała sąsiadów, choć u nas nikogo z tą informacją nie było, a panowie z obsługi, bardzo zadowoleni ze swojej roboty, dali mi zatyczki do uszu, niestety bezużyteczne wobec siły wytworzonego łomotu. Z kolei burmistrz na łamach „Mojej Zielonki" z dumą pisze, że władze dbają o komfort mieszkańców i nasze miasto zajmuje wysoką pozycję w rankingu miejsc przyjaznych obywatelom. W zakresie niezbędnej dla zdrowia ciszy na pewno nie. Ze strachem myślę o nadchodzących miesiącach i sądzę, że podobne problemy mają mieszkańcy innych miejscowości, w których organizowane są podobne imprezy. Należałoby coś z tym zrobić.

Elżbieta Chmielewska, Zielonka

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wielka gra pani Stanisławy. 4 kwietnia zmarła Stanisława Ryster, prezenterka Telewizji Polskiej. Prowadząc w latach 1975-2006 teleturniej „Wielka gra", zaskarbiła sobie sympatię milionów widzów.

FOT. JAN BOGACZ/TVP/EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Polacy są coraz bardziej sceptyczni w stosunku do Unii Europejskiej. Według badania IBRiS dla „Rzeczpospolitej" 32,2% uważa, że członkostwo w Unii ma zdecydowanie zalety, a 21,3% – że raczej zalety. Z kolei 5,8% dostrzega zdecydowanie wady, 10,9% raczej wady, aż 24% sądzi zaś, że zalety i wady się równoważą.

•

W konwoju organizacji humanitarnej World Central Kitchen ostrzelanym przez izraelskie rakiety zginęło siedem osób, w tym Polak Damian Soból z Przemyśla. Polacy oczekują rzetelnego śledztwa i zmiany postawy rządu premiera Netanjahu wobec tej zbrodni **(więcej na s. 26).**

•

Czytamy ciut więcej. 43% Polaków przeczytało w 2023 r. co najmniej jedną książkę. Najwięcej od 10 lat.

•

Od początku wojny do krajów UE **wyjechało ok. 768 tys. ukraińskich mężczyzn w wieku 18-64 lata.** Przypuszcza się, że nielegalnie przebywa w UE ok. 400 tys. Ukraińców **(Eurostat)**.

•

W 64 więzieniach i 39 aresztach przebywa ok. 74 tys. osadzonych, a dodatkowo 6,4 tys. osób odbywa karę w trybie dozoru elektronicznego. Więźniów powinno pilnować 30 tys. funkcjonariuszy, ale wolnych jest 2 tys. etatów. W 2022 r. 16 więźniów popełniło samobójstwo, a 176 zmarło z innych przyczyn **(„Polityka")**.

•

W 2023 r. wszczęto ponad **9 tys. kontroli celno-skarbowych.** Dynamika wzrostu jest tu zastanawiająca, bo w stosunku do 2022 r. kontroli było więcej o 117%.

•

Tylko 5,5% osób zaszczepiło się w tym sezonie przeciwko grypie.

•

Zmarł Leszek Bugajski, wybitny krytyk literacki, recenzent i eseista.

•

Rządy PiS doprowadziły do tego, że aż w **57% samorządów bieżące dochody nie pokrywają bieżących wydatków**. Taki jest efekt reform podatkowych Polskiego Ładu. Warszawa w latach 2020-2023 straciła prawie 800 mln zł **(raport NIK)**.

•

Spośród **27,347 mln** samochodów osobowych zarejestrowanych w Polsce na koniec 2023 r. aż **7,245 mln** to auta, które od co najmniej sześciu lat nie miały aktualizacji danych.

•

Dania eksportuje rocznie do Polski ok. 6-7 mln sztuk prosiąt. Po podtuczeniu często wracają one do Danii, a my ponosimy koszty środowiskowe: zużycia wody i energii, zanieczyszczeń z wielkich ferm.

•

W 2023 r. **w Chinach było 11,6 mln absolwentów uczelni wyższych.** To wzrost o 66% w ciągu dekady.

•

99% dorosłych Polaków i 92% nastolatków ma próchnicę.

•

Do Naczelnego Sądu Administracyjnego trafia co roku **20 tys. skarg**, a czas oczekiwania na załatwienie sprawy wynosi 16 miesięcy.

PRZEBŁYSKI

Pusty worek Balta

Nie od dziś wiadomo, że człowiek mający słaby charakter szybciej ulega władzy. Przyzwyczajenie do występów w pisowskich mediach staje się wtedy drugą naturą. Tak jest w przypadku Marka Balta, europosła Lewicy. Polityka nowego typu. Przez całą kadencję nie powiedział niczego poza banałami.

Ale nie po to przecież wyrwał sobie w partii ten mandat, by tracić czas na myślenie. Balt wróci z Brukseli bez sukcesów, bez szacunku u wyborców, ale z pewnością nie biedniejszy. Przyzwyczajony do merdania ogonkiem w mediach dojnej zmiany po wyborach polazł do „Sieci". I w organie PiS uznał Hołownię za kota w worku i amatora. No cóż, Balt to nawet nie jest worek.

Stanowski – prostak od ujarzmiania

Czytelnicy pytają, co takiego Kinga Rusin napisała o Kanale Zero, że jego twórca Krzysztof Stanowski wrócił do znanej już twarzy. Prostaka i buca. Wystarczyło, że Rusin przypomniała Stanowskiemu, że w 2015 r. głosował na Dudę, a w 2018 r. dostał od niego nagrodę. I że często odwiedzał Orlen. Według Rusin „w sprawie Stanowskiego i Mazurka wszystko się potwierdza. Robią politykę i pieniądze na dawaniu zasięgów aparatczykom PiS. I ocieplaniu wizerunku zorganizowanej grupie, która łamała prawo, przejmowała i rozkradła nasze państwo" (Facebook).

Stanowski w odpowiedzi potwierdził, że jest z nim coraz gorzej. „Kinga Rusin oficjalnie dostała pierdolca na moim punkcie. Jako że nie da się ujarzmić kobiety, która dostaje pierdolca, pozostaje mi z godnością przyjmować ciosy tej rozhisteryzowanej baby".

Ujarzmić to Stanowski może co najwyżej swój jęzor. Bo Rusin ma rację. Stanowski to szowinistyczny prostak.

Bańka myślał, że rozmawia

W zabiegach o przedłużenie dolce vita w WADA (Światowej Agencji Antydopingowej) Witold Bańka pogadał sobie nawet z przewodniczącym Komisji Unii Afrykańskiej. A przynajmniej żył w przekonaniu, że z nim rozmawiał. Bo w realu odpowiadał na pytania rosyjskich pranksterów. Tych, którzy wcześniej wkręcili Macrona, Dudę i Meloni. Zobaczymy, co wycisnęli z Bańki. Pewnie nie za wiele. Ostrożność podyktowaną skromną kompetencją ma Bańka w DNA.

Głupio, głupiej, najgłupiej

Miłość Edyty Górniak do syna Allana Enso (dawniej Krupa) nie ma granic. Tak bywa. Nawet gdy talent sławnej matki jakoś w synu się nie ujawnił. Robi więc 20-letni Allan za celebrytę, czyli gościa znanego z tego, że jest znany. A znany jest z tego, że poprawia ludziom samopoczucie. Na jego tle każdy jest mądrzejszy. Bo któż by się chwalił butami, które mu dziewczyna wycałowała. W Dominikanie. I to po kilka razy. Ledwo rok się zaczął, a już mamy niekwestionowanego faworyta do głupoty roku.

FOT. ARCHIWUM, YOU TUBE (3)

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy powinien istnieć ogólnodostępny rejestr osób z zakazem prowadzenia?

BARTOSZ JÓZEFIAK,
autor książki „Wszyscy tak jeżdżą"

Uważam, że taki rejestr niewiele by pomógł. Nie chodzi o to, żeby piętnować kierowców, którzy przekraczają prędkość, chociaż nie ma ich też za co chwalić. Jeśli już wydawać na coś publiczne pieniądze, to lepiej, aby Ministerstwo Infrastruktury zainwestowało je w rozwiązania, które zmuszą kierowców do zdjęcia nogi z gazu. Mam na myśli m.in. fotoradary czy odcinkowe pomiary prędkości, bo te technologie rzeczywiście zwiększają bezpieczeństwo na drogach. Są też inne rozwiązania instytucjonalne. Nie chodzi tylko o wysokość mandatów. W pierwszej kolejności warto usunąć kursy, które pozwalają zbić liczbę punktów karnych. Przepis, że punkty miały znikać dopiero po dwóch latach, był dobrym straszakiem dla piratów. Teraz wystarczy zapłacić 1 tys. zł i wysiedzieć swoje w ośrodku szkolenia kierowców.

SŁAWOMIR MOSZCZYŃSKI,
instruktor jazdy, OSK „Słaby Instruktor"

Można powiedzieć, że taki rejestr w pewnym sensie istnieje, bo Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców to właśnie taki system, w którym możemy zobaczyć całą historię choroby kierującego. Czy jechał pijany, czy dwa lata temu dostał mandat, czy źle parkował, czy odebrano mu prawo jazdy itd. Problem polega na tym, że zwykły obywatel nie ma wglądu do tych danych. To może zrobić sąd lub podczas kontroli drogowej CEPiK sprawdza policja. Przeciętny kierowca ma za to możliwość sprawdzenia własnych punktów karnych np. w aplikacji mObywatel. Z jednej strony, nie mam nic przeciwko temu, żeby ktoś mógł zajrzeć do mojej drogowej kartoteki. Z drugiej, są tutaj de facto dane wrażliwe – to tak, jakby każdy miał wgląd w cudzą historię choroby. Warto zadać sobie pytanie, czy potrzebna jest mi wiedza o tym, za co sąsiad stracił prawo jazdy.

MARCIN CHLEWICKI,
prawnik, aktywista Miasto Jest Nasze

Taki rejestr nie jest dziś odpowiedzią na główne problemy związane z przestępstwami drogowymi. Ogólnodostępność to pewna forma napiętnowania piratów drogowych. Należy jednak zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście potrzebujemy takiej formy kontroli społecznej. Warto pamiętać, że sądy podają do wiadomości publicznej niektóre wyroki. Ale o tym decydują okoliczności i sędziowie. Problem leży gdzie indziej. Państwo nie egzekwuje przepisów. Masa ludzi z zakazami poruszania się pojazdami i tak codziennie siada za kółkiem. Brakuje kontroli drogowych, a Polska ma na tle innych krajów europejskich bardzo mało fotoradarów. Jest rok 2024, a przy drogach widzi się policjantów z „suszarkami". To nie jest efektywne rozwiązanie. Czas postawić na automatyzację pewnych procesów i egzekwowanie prawa.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 92d2cb7ecb

POMPOWANIE KULTU

Kult Lecha Kaczyńskiego stanowi ważny składnik tożsamości polskiej prawicy i to się nie zmieni, dopóki jej liderem będzie Jarosław Kaczyński

Bracia tak podzielili się rolami, żeby w każdej sytuacji wyjść na swoje, niezależnie od obrotu wydarzeń.

Paweł Siergiejczyk

Lech Kaczyński nie żyje już od 14 lat. Ale to nie znaczy, że nie jest obecny w polskim życiu publicznym. Kult jego osoby stanowi bowiem ważny składnik tożsamości polskiej prawicy i to na pewno się nie zmieni, dopóki jej liderem będzie Jarosław Kaczyński. Tym bardziej że drugi pisowski prezydent, Andrzej Duda, również usilnie buduje kult Lecha Kaczyńskiego, na każdym kroku podkreślając, że jest jego politycznym uczniem i wychowankiem. Ale nawet wśród przeciwników prawicy niewielu jest takich, którzy mieliby ochotę i odwagę „odbrązawiać" mit zmarłego prezydenta – tak jakby tragiczna śmierć zwalniała z obowiązku pokazywania prawdy historycznej o najwybitniejszym nawet człowieku. A przecież Lech Kaczyński nie należał do postaci najwybitniejszych, gdyż nigdy nie był politykiem samodzielnym. Jego roli nie sposób zrozumieć bez uwzględnienia dążeń politycznych brata bliźniaka.

Zwyczajna rodzina

Przyszli na świat 75 lat temu, 18 czerwca 1949 r., na warszawskim Żoliborzu. Ich ojciec, Rajmund Kaczyński, żołnierz AK i uczestnik powstania, zaraz po wojnie został inżynierem, pracował przy odbudowie stolicy i wielu innych inwestycjach, m.in. w Libii, wykładał na Politechnice Warszawskiej. Zmarł kilka miesięcy przed wyborem syna na prezydenta III RP. Matka, Jadwiga z d. Jasiewicz, w czasie wojny należąca do Szarych Szeregów (co prawda w Starachowicach, gdzie spędziła okupację, a nie w Warszawie, gdzie jej ojciec współtworzył Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową na Żoliborzu), zaraz po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim w 1953 r. znalazła zatrudnienie w Instytucie Badań Literackich PAN, z którym związała się na całe życie i gdzie

eprasa.pl 92d2cb7ecb

zajmowała się m.in. twórczością Leona Kruczkowskiego, zdekomunizowanego przez IPN. Zmarła w 2013 r. Oboje rodzice braci Kaczyńskich są pochowani na Powązkach.

Trudno nie zauważyć, że te życiorysy niezbyt pasują do polityki historycznej polskiej prawicy. Nie było w tej rodzinie „żołnierzy wyklętych", nie było ubeckich katowni, była za to szansa na solidne wykształcenie i szanowaną społecznie pracę, co więcej, bez konieczności wstępowania do partii czy donoszenia na kolegów. Takich inteligenckich rodzin było w Polsce Ludowej wiele, tak jak wielu żołnierzy akowskiego podziemia znajdowało sobie miejsce w powojennej rzeczywistości. Dlaczego więc historycy z IPN nie eksponują losów takich rodzin, tylko próbują wmówić Polakom, że byli en bloc narodem prześladowanym i walczącym z „komuną"?

Lider PiS wielokrotnie podkreślał wyższość swojego pochodzenia i wychowania, zwłaszcza w porównaniu z Donaldem Tuskiem. Zbudował mit „niezłomnej" matki jako swoiste dopełnienie mitu „niezłomnego" brata. Rzeczywistość była jednak bardziej skomplikowana. Jako dzieci żoliborskiej inteligencji bracia Kaczyńscy niewątpliwie należeli do uprzywilejowanej warstwy społeczeństwa PRL. Potwierdza to informacja podana przez Rafała Grupińskiego, przed 1989 r. aktywnego działacza opozycji, dziś polityka PO: „Jak mówiła mi kiedyś jedna z emerytowanych pracownic Instytutu Badań Literackich, Jadwiga Kaczyńska przyjaźniła się z osławioną Julią Brystigerową, pierwszą damą stalinowskiej bezpieki, która przychodziła po nią w latach 60. do Instytutu (sama pracowała wówczas w PIW). Podobno razem jeździły na zakupy, chodziły do kina. Myślę, że to nieco wyjaśnia, skąd bliźniacy znaleźli się w pewnym filmie" (Rafał Grupiński, Łukasz Perzyna, „Polityka i kultura", Warszawa 2019, s. 190). Chodzi oczywiście o film „O dwóch takich, co ukradli księżyc" z 1962 r., gdzie Jarosław i Lech zagrali tytułowe role.

Warto też przypomnieć osobistą interwencję warszawskiego kuratora oświaty Jerzego Kuberskiego (późniejszego ministra oświaty i członka KC PZPR), który spowodował, że Jarosław Kaczyński mimo ocen niedostatecznych z trzech przedmiotów nie musiał powtarzać przedostatniej klasy w liceum, lecz został przeniesiony do innej szkoły, gdzie zdał maturę na równi z bratem.

Jarosław jako pierwszy z braci włączył się w działalność opozycyjną, co było o tyle łatwe, że bliskim kolegą Jadwigi Kaczyńskiej z pracy w IBL był Jan Józef Lipski, jeden z inicjatorów Komitetu Obrony Robotników. To właśnie Lipski – ideowy socjalista i mason, deklarujący się jako niewierzący – stał się pierwszym mentorem politycznym Kaczyńskich, którzy dzięki niemu znaleźli się w gronie młodych współpracowników KOR. Jarosław związał się z warszawską grupą Antoniego Macierewicza wydającą miesięcznik „Głos", Lech stał się doradcą prawnym środowiska Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, w którym poznał Andrzeja i Joannę Gwiazdów, Bogdana Borusewicza oraz Lecha Wałęsę.

Dzięki temu w sierpniu 1980 r. przyszły prezydent znalazł się wśród doradców Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku, a następnie został członkiem Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ Solidarność, natomiast jego brat – wraz z innymi osobami z grupy Macierewicza – trafił do Ośrodka Badań Społecznych przy Regionie Mazowsze Solidarności jako kierownik sekcji prawnej. Cytowany już Rafał Grupiński przypomniał fakt, że w latach 1980-1981 Jarosław Kaczyński „nawet nie zapisał się do Solidarności. W związku działał za to jego brat Lech. Znając Jarosława Kaczyńskiego, można być prawie pewnym, że bracia w ten sposób się podzielili rolami, żeby w każdej sytuacji rodzinnie wyjść na swoje, niezależnie od obrotu wydarzeń" („Polityka i kultura", s. 54-55). Nawet jeśli to opinia nieco przesadzona, nie ulega wątpliwości, że żaden z braci nie należał wtedy do działaczy istotnych w skali krajowej, a pozycja Jarosława była znacznie niższa niż Lecha. Nic dziwnego, że 13 grudnia 1981 r. to Lech został internowany i do października 1982 r. przebywał w obozie w Strzebielinku, podczas gdy Jarosław nawet nie znalazł się na listach osób przeznaczonych do internowania. Został jedynie przesłuchany 21 grudnia 1981 r., a oficer SB, który wtedy z nim rozmawiał, tak scharakteryzował go w notatce: „Jego wygląd jest niedbały. Twierdził, że nie interesują go sprawy materialne, kobiety, np. nie zależy mu w przyszłości na posiadaniu rodziny. Ma flegmatyczne usposobienie, wygląd »książkowego mola«. Pozuje na myśliciela »Solidarności«. Mimo pewnej demonstracyjnej rezygnacji z życia, kariery stwierdzam, że jest osobą raczej ambitną. Obruszył się, gdy stwierdziłem, że pozycja jego brata Lecha w »Solidarności« jest znacznie wyższa. (...) Nie przypadły mu też do gustu uwagi, że na taką pozycję, rolę w środowiskach inteligenckich, jaką mają np. Michnik, Macierewicz czy Geremek, trzeba zapracować, zasłużyć".

Lech Kaczyński nie należał do postaci najwybitniejszych, gdyż nigdy nie był politykiem samodzielnym.

Przełom

Punktem zwrotnym w politycznej biografii Kaczyńskich stało się wejście Lecha do grona najbliższych doradców Wałęsy w 1983 r. Dzięki bratu w otoczeniu lidera Solidarności znalazł się także Jarosław. Od grudnia 1987 r. bliźniacy wraz z Andrzejem Celińskim i Henrykiem Wujcem tworzyli sekretariat Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ Solidarność, obaj weszli też w skład Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie i zasiadali przy Okrągłym Stole – Jarosław w zespole ds. reform politycznych, Lech w zespole ds. pluralizmu związkowego. Przy czym niewątpliwie ważniejsza była rola Lecha, który należał wtedy do najbardziej zaufanych współpracowników Wałęsy, dzięki czemu od września 1988 r. uczestniczył we wszystkich nieformalnych rozmowach z władzami w Magdalence. W czerwcu 1989 r. – niemal

eprasa.pl 92d2cb7ecb

dokładnie na 40. urodziny – bracia zostali senatorami z listy Solidarności: Jarosław z województwa elbląskiego, Lech z gdańskiego. Niedługo potem na polecenie Wałęsy prowadzili rozmowy z przywódcami ZSL i SD, dzięki którym powstała koalicja rządowa i gabinet Tadeusza Mazowieckiego.

Jednak żaden z braci nie znalazł się w pierwszym niekomunistycznym rządzie. Lech pełnił już wtedy funkcję pierwszego zastępcy przewodniczącego NSZZ Solidarność i faktycznie kierował związkiem w imieniu Wałęsy, który stał się postacią numer 1 na scenie politycznej. Ten sam Wałęsa mianował drugiego bliźniaka redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność", i to na miejsce Mazowieckiego, co wywołało bunt i odejście większości zespołu dziennikarskiego. W ten sposób Jarosław Kaczyński uzyskał pierwsze własne narzędzie medialne i mógł prowadzić swoją politykę, która polegała na atakowaniu rządu Mazowieckiego za powolność reform. Lansowane na łamach „TySola" hasło „przyśpieszenia" stało się pretekstem do utworzenia wiosną 1990 r. Porozumienia Centrum – pierwszej partii braci. Ale w tym układzie od początku liderem był Jarosław i taka hierarchia miała się utrzymać do samego końca ich wspólnej aktywności.

Premier Olszewski nie zdecydował się również na powierzenie Lechowi Kaczyńskiemu stanowiska ministra obrony – w rezultacie pierwszym cywilem na czele MON został nieznany szerzej socjolog Jan Parys. Jarosławowi Kaczyńskiemu udało się za to doprowadzić w lutym 1992 r. do wyboru brata na stanowisko prezesa NIK. Natomiast sam lider PC doświadczał coraz głębszej marginalizacji na scenie politycznej. Gdy jego partia nie została dopuszczona do rządu Hanny Suchockiej, rozpętał ostrą kampanię antywałęsowską, a kiedy doszło do przyśpieszonych wyborów w 1993 r., PC nie potrafiło się porozumieć z ugrupowaniem Olszewskiego i Macierewicza, przez co obie strony nie przekroczyły pięcioprocentowego progu i na cztery lata znalazły się poza parlamentem. W tle tej rywalizacji były już wybory prezydenckie w 1995 r., z którymi wielkie nadzieje wiązali zwolennicy Olszewskiego, z kolei Jarosław Kaczyński miał dwa cele: minimalny – niedopuszczenie do powtórnego zwycięstwa Wałęsy, i dalekosiężny – kandydowanie brata. Dlatego, gdy lider PC popadł w konflikt z prof. Adamem Strzemboszem, któremu początkowo udzielił wsparcia (konflikt ten uniemożliwił zarejestrowanie kandydatury Strzembosza, gdyż podpisy niezbędne do rejestracji przejęli ludzie PC), zdecydowano się na wystawienie kandydatury Lecha Kaczyńskiego. Ostatecznie jednak tydzień przed wyborami niedawny prezes NIK zrezygnował z dalszej walki, PC zaś poparło Olszewskiego, obawiając się powtórki kompromitacji z 1993 r.

Poza swobodą w kwestiach personalnych Lech Kaczyński zawsze prowadził taką politykę, jakiej chciał brat.

Po zwycięstwie wyborczym Wałęsy w grudniu 1990 r. Jarosław Kaczyński został szefem Kancelarii Prezydenta, a jego brat po kilku miesiącach dołączył do belwederskiej ekipy jako minister stanu ds. bezpieczeństwa – stało się to po wyborach na nowego szefa związku, w których Lech Kaczyński przegrał z Marianem Krzaklewskim. Bracia szybko jednak skonfliktowali się z Wałęsą i szefem jego gabinetu Mieczysławem Wachowskim, dlatego odeszli z kancelarii, gdy jesienią 1991 r. zostali posłami na Sejm I kadencji. Jarosław zmontował wtedy wielopartyjną koalicję, która utworzyła rząd Jana Olszewskiego, lecz okazało się, że jego wpływ na premiera jest niewielki.

W następnych latach Lech Kaczyński wycofał się z czynnej polityki, wracając do pracy na Uniwersytecie Gdańskim, a następnie na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, gdzie osiągnął tytuł profesora nadzwyczajnego. W tym czasie jego brat walczył o wpływy w Akcji Wyborczej Solidarność, a gdy tę walkę przegrał, z łaski Olszewskiego (choć przy ostrym sprzeciwie Macierewicza) znalazł się na liście wyborczej Ruchu Odbudowy Polski i mimo słabego wyniku tej partii ponownie zasiadł w Sejmie.

Po władzę

W czerwcu 2000 r. wszystko się zmieniło. Unia Wolności opuściła koalicję rządową, lecz mniejszościowy gabinet AWS pod kierownictwem Jerzego Buzka nadal działał. I właśnie wtedy premier zaproponował Lechowi Kaczyńskiemu stanowisko ministra sprawiedliwości po odchodzącej Hannie Suchockiej. Początkowo w AWS rozpatrywano nawet kandydaturę Jarosława, który w ostatnich latach istnienia PC wysuwał hasła walki z przestępczością i zaostrzenia kar (łącznie z przywróceniem kary śmierci), ale fatalne doświadczenia polityków prawicy z liderem PC sprawiły, że za znacznie mniejsze ryzyko uznano awans jego brata, którego zresztą przywódcy AWS doskonale znali z działalności związkowej. Miało się to okazać wielkim złudzeniem, a decyzja premiera Buzka – historycznym błędem, który zmienił dzieje Polski.

Minister Lech Kaczyński, wykorzystując przysługującą mu z urzędu funkcję prokuratora generalnego, zaczął budować popularność jako „twardy szeryf" w czasach, gdy przestępczość stanowiła prawdziwą plagę III RP. Z tej popularności skorzystał jego brat, tworząc w maju 2001 r. nową partię – Prawo i Sprawiedliwość. Kilka miesięcy później, po wyborach parlamentarnych, PiS stało się czwartym co do wielkości klubem nowego Sejmu, podczas gdy AWS i UW poniosły klęskę. Bracia Kaczyńscy znów stali się ważnymi graczami parlamentarnymi, lecz Jarosław wyznaczył już wtedy bratu inną rolę. Jesienią 2002 r. Lech Kaczyński triumfalnie wygrał pierwsze wybory na prezydenta Warszawy (w drugiej turze uzyskał 70% głosów), by trzy lata później stanąć do walki o urząd głowy państwa i ostatecznie pokonać Donalda Tuska wynikiem 54% głosów. Warszawa została więc przez PiS potraktowana wyłącznie instrumentalnie, bo Lech Kaczyński ani nie miał pomysłu na rządzenie stolicą,

eprasa.pl 92d2cb7ecb

ani nie nadawał się do takiej roli, wymagającej operatywności, energii, umiejętności kierowania dużymi zespołami ludzi. Nic dziwnego, że przyszedł do warszawskiego ratusza bez własnej ekipy i w pośpiechu ściągał ludzi z innych instytucji, np. Jacka Sasina i Elżbietę Jakubiak, którzy byli dyrektorami w Urzędzie ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych w czasach rządów AWS-UW. Poszczególne dzielnice Warszawy oraz liczne spółki miejskie padły zaś łupem tworzących się dopiero kadr pisowskich – to tam zaczynali kariery tacy ludzie jak Mariusz Błaszczak. Mieszkańcy stolicy niezbyt dobrze zapamiętali tę ekipę, również dlatego, że prezydent wstrzymał wszystkie inwestycje miejskie, które mocno poszły do przodu za czasów jego poprzednika, Pawła Piskorskiego z PO. Jedynym śladem rządów PiS w mieście jest Muzeum Powstania Warszawskiego, otwarte przez Lecha Kaczyńskiego w 60. rocznicę tego zrywu i traktujące powstanie bezkrytycznie. Obchody tej rocznicy stanowiły zresztą nieformalny początek kampanii wyborczej kandydata PiS na najwyższy urząd w państwie.

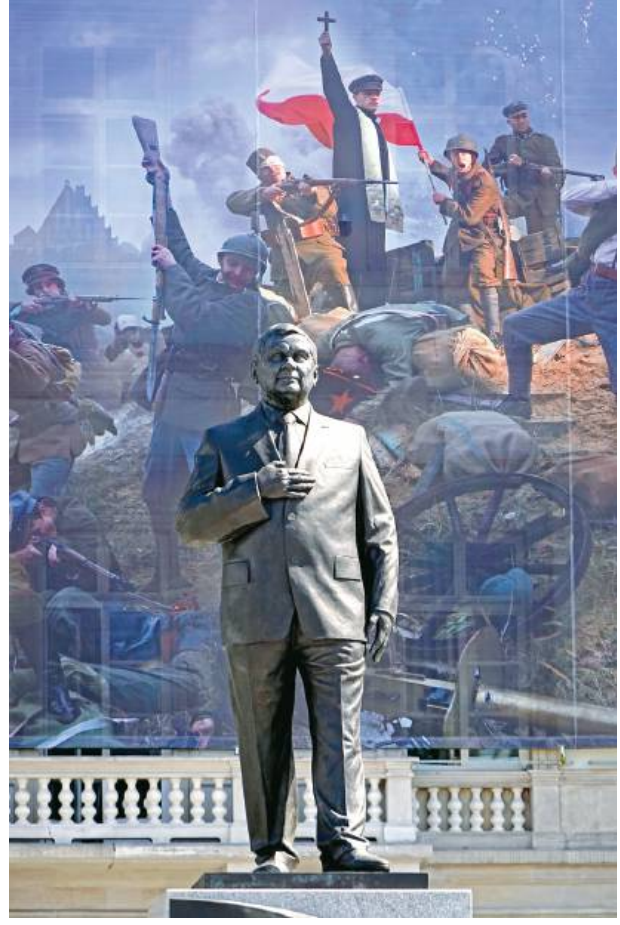

Tworzeniu legendy mają służyć liczne nazwy ulic, placów, tablice pamiątkowe i pomniki. Nz. pomnik w Warszawie.

23 grudnia 2005 r., gdy doszło do zaprzysiężenia czwartego prezydenta III RP Lecha Kaczyńskiego, był momentem największego triumfu osobistego jego brata. Jarosław zrobił wszystko, by ten triumf osiągnąć: zrezygnował z objęcia funkcji premiera, choć jego partia wygrała wybory parlamentarne (w połowie 2006 r. prezydent nakłonił go jednak, by został premierem), porozumiał się ze wszystkimi, których dotąd zwalczał i atakował – Radiem Maryja, Samoobroną, Ligą Polskich Rodzin, PSL, wreszcie odrzucił koncepcję wspólnych rządów z PO, uznając partię Tuska za głównego wroga.

Jak wyglądały relacje między bliźniakami, gdy jeden z nich został prezydentem? Chyba najlepiej zdiagnozował ówczesną sytuację Ludwik Dorn, przez kilkanaście lat jeden z najbliższych współpracowników Jarosława. W wywiadzie z 2009 r. stwierdził, że „każdy z nich bardziej troszczy się o brata niż o siebie. Interesy brata uważają za ważniejsze niż własne. Bardziej też przeżywają krzywdy, których doznaje brat. I własne są w stanie wybaczyć, a brata – nie. Po ludzku jest to sympatyczne, ale politycznie szkodliwe, bo traci się profesjonalny chłód" (Ludwik Dorn, Amelia Łukasiak, Agnieszka Rybak, „Rozrachunki i wyzwania", Warszawa 2009, s. 169).

Nie oznacza to bynajmniej, że między braćmi nie było różnic. Były, tyle że wynikały raczej z temperamentów i nieco odmiennych doświadczeń życiowych, a najlepiej było je widać w kwestiach personalnych. Ludwik Dorn mówił o Lechu Kaczyńskim: „W przeciwieństwie do Jarosława Kaczyńskiego żywi bardzo głęboką niechęć do partii w ogóle, a do partii prawicowych w szczególności. I PiS jest tu na czele. Najmniejszą chyba niechęć żywi do ludzi dawnej Unii Demokratycznej" („Rozrachunki i wyzwania", s. 145). Rzeczywiście, prezydent Kaczyński zawsze miał własny krąg towarzyski, który nie pokrywał się z kręgami partyjnych współpracowników i podwładnych brata.

Jednak poza swobodą w kwestiach personalnych Lech Kaczyński zawsze prowadził taką politykę, jakiej chciał brat, co dobrze oddawał pamiętny meldunek z wieczoru wyborczego w październiku 2005 r.: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania". Tak było w okresie pierwszych rządów PiS, gdy brat premier zawsze mógł na niego liczyć, i po 2007 r., gdy praktycznie jedynym zadaniem prezydenta stała się walka z rządem Tuska (mimo wieloletniej znajomości obu polityków jeszcze z czasów gdańskiej opozycji).

W ten sposób Lech Kaczyński stał się pierwszym stricte partyjnym prezydentem III RP, a ponieważ nigdy nie był liderem swojej partii, szybko doprowadził do obniżenia autorytetu głowy państwa w oczach społeczeństwa, które w ogromnej większości nie popierało PiS. W przeciwieństwie do poprzednika, Aleksandra Kwaśniewskiego, prezydent Kaczyński nie był samodzielnym graczem na scenie politycznej, ani krajowej, ani międzynarodowej, gdyż nie znał języków obcych i nie miał kontaktów zagranicznych. Usilnie przezeń lansowana idea „Międzymorza" o wyraźnie antyrosyjskim obliczu nie miała żadnych szans powodzenia, gdyż nowa ekipa prezydenta Baracka Obamy w Waszyngtonie realizowała wtedy politykę resetu w stosunkach z Rosją i państwa leżące pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym starały się do tej linii dostosować. Wyjątkiem była Gruzja, rządzona przez awanturniczego prezydenta Saakaszwilego, którego działania doprowadziły do konfliktu zbrojnego z Rosją w sierpniu 2008 r. Konfliktu, który zakończył się po kilku dniach, i to nie wskutek pojawienia się Lecha Kaczyńskiego na

FOT. PAP/TOMASZ GZELL, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

wiecu w centrum Tbilisi, lecz dzięki dyplomatycznemu pośrednictwu UE, którą reprezentował prezydent Francji. Jednak legenda o kluczowej roli „tego, który uratował Gruzję przed rosyjskimi czołgami" i za to miał potem zostać zabity przez Rosjan, do dziś w wielu środowiskach trzyma się mocno.

Prawda jest znacznie banalniejsza: w 2010 r. kluczowym „zadaniem do wykonania" dla Lecha Kaczyńskiego stało się utrzymanie prezydentury na kolejną kadencję. Zadanie przy ówczesnych nastrojach społecznych praktycznie niewykonalne, choć realizowane z najwyższą determinacją, która doprowadziła do tragicznej próby lądowania samolotu w Smoleńsku. Obchody 70-lecia zbrodni katyńskiej miały być bowiem efektownym początkiem nowej kampanii prezydenckiej...

Sam

Od tego momentu Jarosław Kaczyński został sam. Jako spadkobierca „dziedzictwa brata" nie zdołał co prawda wygrać za niego wyborów prezydenckich, lecz od 14 lat konsekwentnie buduje jego legendę najwybitniejszego polskiego prezydenta, niezłomnego przeciwnika rosyjskiego imperializmu, a nawet faktycznego twórcy i przywódcy Solidarności. Temu mają służyć tablice pamiątkowe i pomniki oraz równie liczne ulice, place, ronda i skwery w wielu miastach, a także szkoły i inne instytucje (od terminalu LNG w Świnoujściu, przez Krajową Szkołę Administracji Publicznej, po trasę Via Carpatia) nazywane imieniem Lecha Kaczyńskiego. Przede wszystkim zaś pochówek prezydenckiej pary na Wawelu – w miejscu dla Polaków świętym, w dodatku obok trumny Józefa Piłsudskiego. Ten wawelski pogrzeb miał na celu przekonanie wszystkich, że prezydent Kaczyński „królom i Piłsudskiemu był równy". Jednak prawda historyczna jest inna i najlepiej sformułował ją publicysta Robert Krasowski: „Wawel nie był miarą sukcesów Lecha Kaczyńskiego, lecz jego największym sukcesem".

Cały ten kult brata znakomicie posłużył prezesowi PiS w powrocie do władzy w 2015 r. Wspomniane pomniki i inne miejsca upamiętnienia Lecha (często wraz z małżonką) zwykle odsłaniał Jarosław, co czyniło go w naturalny sposób następcą i kontynuatorem przerwanego zadania „największego z prezydentów". Od czasu katastrofy smoleńskiej Kaczyński nie jest już tylko jednym z wielu liderów partyjnych w III RP – dla dużej części wyborców prawicowych stał się kimś niezwykłym. Nic dziwnego, że lider PiS zadbał o to, by wszystko w jego obozie politycznym kojarzyło się z bratem. Powstał więc Ruch Społeczny im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, który przyznaje Nagrodę im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Powstał też Instytut im. Lecha Kaczyńskiego z siedzibą w willi sąsiadującej z domem Jarosława. Mieści się tam izba pamięci, odbywają się spotkania okołopisowskiej elity, ale jest również cel praktyczny: instytut to formalny właściciel dwóch spółek – Srebrna i Srebrna-Media – które zarządzają kilkoma nieruchomościami w centrum Warszawy (m.in. siedzibą PiS przy Nowogrodzkiej), a także nadzorują część pisowskich mediów („Gazetę Polską", „Gazetę Polską Codziennie", „Nowe Państwo", portal Niezależna.pl). W ten sposób pod szyldem zmarłego brata Jarosław Kaczyński kontroluje finansowo-medialną infrastrukturę, która już w latach 90. pomogła mu przetrwać ciężkie czasy w opozycji. Teraz znów może być potrzebna.

Paweł Siergiejczyk

POLITYCZNY TESTAMENT PROF. ANDRZEJA WALICKIEGO

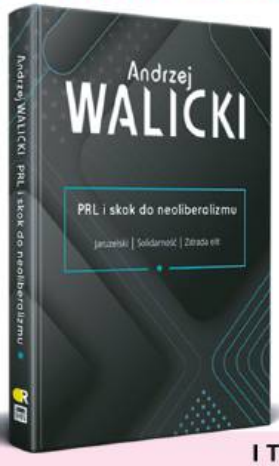

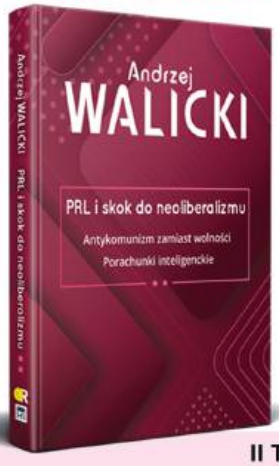

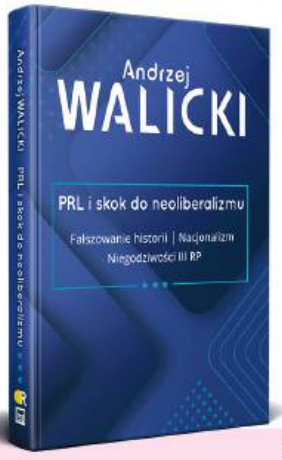

TRZY TOMY NAJWAŻNIEJSZYCH PISM WYBITNEGO INTELEKTUALISTY

Zamów książki
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7.

I TOM
75 ZŁ
- JARUZELSKI
- SOLIDARNOŚĆ
- ZDRADA ELIT

II TOM
76 ZŁ
- ANTYKOMUNIZM ZAMIAST WOLNOŚCI
- PORACHUNKI INTELIGENCKIE

III TOM
77 ZŁ
- FAŁSZOWANIE HISTORII
- NACJONALIZM
- NIEGODZIWOŚCI III RP

PAKIET
~~228 zł~~
190 zł

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Pikieta dotkniętych ustawą byłych funkcjonariuszy i żołnierzy przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego 16 października 2020 r.

Ustawa represyjna: wreszcie coś się ruszyło?

Długa lista tragedii opisanych w białej księdze

Robert Walenciak

Punkt 77. „100 konkretów", z którymi Donald Tusk szedł do wyborów, brzmi: „Przywrócimy emerytom mundurowym prawa nabyte – uprawnienia emerytalne odebrane im z naruszeniem powszechnych norm prawa". To samo zostało zapisane w punkcie 20. umowy koalicyjnej. Po 100 dniach nowej władzy ten konkret był pustą obietnicą. Ale ostatnio, jak mówią funkcjonariusze, sporo się ruszyło.

•

Przypomnijmy najważniejsze fakty.

16 grudnia 2016 r. przyjęta została głosami PiS tzw. ustawa represyjna, która drastycznie obniżała emerytury funkcjonariuszom MSW, Straży Granicznej, Służby Więziennej itd. To była druga ustawa represyjna, pierwszą bowiem, łagodniejszą, przyjęto w roku 2009, za rządów PO.

Ustawa uderzyła w ok. 40 tys. funkcjonariuszy, a doliczając wdowy czy innych członków rodzin, w ponad 50 tys. osób. Drastycznie obniżyła ich świadczenia, często do minimalnej emerytury wypłacanej przez ZUS.

Można rzec, że nowe prawo było pisowskie z krwi i kości. Lista osób, którym zabierano emerytury, tworzona była przy udziale IPN. Im dłużej nad nią pracowano, tym więcej dopisywano do niej grup. Ostatecznie za funkcjonariuszy państwa totalitarnego uznano również maszynistki pracujące w MSW, sportowców na niewłaściwym etacie, słuchaczy szkół podległych MSW… Wystarczyło przepracować w takim miejscu jeden dzień. Same zapisy ustawy były sprzeczne z zasadami konstytucyjnymi.

Ślepa zemsta nie jest dobrym rozwiązaniem dla państwa. Bo, owszem, boleśnie uderza, ale równocześnie kompromituje państwo.

Oto jeden z wielu przykładów. „Teraz mam na rękę 1,8 tys. zł z groszami. Ale są tacy, którzy mają jeszcze mniej. Na przykład gen. Gromosław Czempiński, którego bardzo cenię, otrzymuje ok. 1,2 tys. zł emerytury. A na utrzymaniu ma niepełnosprawnego syna", opowiadała w roku 2019 Grażyna Biskupska, jedna z najsłynniejszych polskich policjantek, była naczelnik wydziału ds. zwalczania aktów terroru w Komendzie Stołecznej Policji, a potem naczelnik w Centralnym Biurze Śledczym Komendy Głównej Policji. Ustawa z 2016 r. ścięła jej emeryturę o ponad połowę, bo w MSW pracowała jako maszynistka i sekretarka. Gen. Czempińskiego, którego brawurowa akcja w Iraku uratowała sześciu agentów CIA, co pomogło w umorzeniu połowy polskiego długu, nie ma co przypominać…

eprasa.pl 92d2cb7ecb

•

Bywało gorzej. Gdy zawiadomienia o odebraniu emerytury lub renty zaczynały docierać do starszych ludzi, miały miejsce zdarzenia tragiczne. Jak wyliczono, decyzje te kosztowały życie 68 osób. To były samobójstwa, zawały, udary. Wszystkie są zapisane w białej księdze, którą dla Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych RP prowadzi była policjantka Grażyna Piotrowska.

Piotrowska też jest ofiarą ustawy represyjnej. Przed rokiem 1990 pracowała w Wyższej Szkole Oficerskiej w Legionowie, gdzie była maszynistką, sekretarką, potem instruktorem kulturalno-oświatowym. Po weryfikacji przez 22 lata służyła w policji. Ta praca dla twórców ustawy okazała się bez znaczenia.

Biała księga nie jest łatwą lekturą. Rodziny często prosiły, by nie podawać nazwiska osoby zmarłej, bojąc się kolejnych represji. „Pamiętam historię emeryta mundurowego z województwa kujawsko-pomorskiego, który dorabiał sobie w sklepiku szkolnym – opowiadał w „Przeglądzie" Andrzej Rozenek. – Jak otrzymał decyzję z MSW o obniżce emerytury, to w tym sklepiku się powiesił. Na początku dostaliśmy informację, że ta śmierć to skutek ustawy. Ale potem rodzina nas błagała, żeby tego nigdzie nie nagłaśniać, bo syn tego człowieka służy w policji. I jak jego przełożeni o ojcu się dowiedzieli, to już chcieli go zwalniać".

Zdzisław Czarnecki, były przewodniczący FSSM, z drżeniem w głosie opowiada o wielu innych przypadkach. O byłym naczelniku wydziału kontrwywiadu w Urzędzie Ochrony Państwa, z Rzeszowa – przez lata pracował jako agent za wschodnią granicą; gdy otrzymał z Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA informację o obniżce, powiesił się. O małżeństwie z Włocławka: Józefa R. była sekretarką w wydziale polityczno-wychowawczym WUSW we Włocławku, zakwalifikowanym do SB, a od 1990 r. pracowała w wydziale dochodzeniowo-śledczym komendy miejskiej; jej mąż Wiesław R. od 1977 r. pracował w wydziale ds. gospodarczych SB. Po wejściu w życie ustawy dezubekizacyjnej jej emerytura została obniżona do 800 zł, a męża – do 1,5 tys. zł. Popadli w długi. Po wielu rozmowach podjęli wspólną decyzję o samobójstwie. Wiesław R. odszedł, Józefa R. została wybudzona.

Kolejna historia – zastępcy komendanta powiatowego w Gryficach. Służył w policji, na emeryturę przeszedł w roku 2007. Obniżono mu świadczenie, bo stopień oficerski otrzymał w 1988 r. w Akademii Spraw Wewnętrznych w Legionowie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Polska go karze. Odebrał sobie życie.

Inne ofiary to np. Krzysztof R. W roku 1979, po ukończeniu szkoły oficerskiej wojsk lądowych, rozpoczął służbę w Wojskach Ochrony Pogranicza. Po roku 1990 w stopniu kapitana rozpoczął służbę w Pomorskim Oddziale Straży Granicznej. Sześć lat później odszedł na emeryturę. Otrzymał II grupę inwalidzką. Gdy listonosz przyniósł mu pismo z ZER, zorientował się, że to decyzja o obniżce emerytury. Zasłabł, upadł. Zawał. Mimo reanimacji zmarł.

Tadeusz G. wykładał w policyjnym Zakładzie Taktyki i Techniki Interwencji. Miał pecha, bo przed rokiem 1990 prowadził zajęcia w szkole oficerskiej w Legionowie. Gdy otrzymał list z ZER, dostał zawału. Następnego dnia już nie żył.

Są dziesiątki takich przykładów.

•

Gdy rozmawia się z przedstawicielami emerytów mundurowych, dość często mówią, że ich środowisko jest raczej rozbite, nie współdziała, tak jak trzeba, a jest to przecież potężna grupa, kilkaset tysięcy osób. Tymczasem w obronie emerytur szybko się zorganizowało, służąc pomocą prawną, wzorami odwołań i pozwów sądowych.

Te pozwy trafiły przede wszystkim do Sądu Okręgowego w Warszawie, a później, gdy Warszawa się zapchała, były kierowane do innych sądów.

Z drogi sądowej skorzystało ok. 26 tys. funkcjonariuszy. Orzecznictwo w tej sprawie w ciągu kilku lat zostało w pewien sposób ujednolicone, funkcjonariusze zaczęli swoje sprawy wygrywać, choć nie wszędzie. Wówczas MSW, a konkretnie Zakład Emerytalno-Rentowy, zaczęło się odwoływać od wyroków do sądów apelacyjnych. Gdy ZER zaczął przegrywać i tam – składał wnioski kasacyjne do Sądu Najwyższego.

Zanim PiS oddało władzę, mieliśmy więc sytuację co najmniej osobliwą. Kolejni funkcjonariusze wygrywali w sądach, państwo zatem musiało zwracać im pieniądze, łącznie z odsetkami. Jednocześnie państwo PiS nie chciało przyznać się do porażki, toteż opóźniano rozpatrywanie skarg, przedłużano sprawy, próbowano nie wypłacać należnych pieniędzy.

Ile emerytur zwrócono? To wiemy dość dokładnie. Jak podał ZER MSWiA, do 31 maja 2023 r. zrealizowano 5904 prawomocne wyroki sądu i wypłacono świadczenia w kwocie 906 mln zł.

A jak przedłużano sprawy? Na dwa sposoby. Po pierwsze, zawsze odwołując się od niekorzystnych wyroków. Po drugie, opóźniając prace sądów. Większość skarg na zmniejszenie emerytury kierowana była do Sądu Okręgowego w Warszawie, do wydziału pracy i ubezpieczeń społecznych. Wiadomo było, że kilkadziesiąt tysięcy skarg szybko wydział zatka, zwłaszcza że orzeka tam kilkoro sędziów. Jeszcze w roku 2017 Ministerstwo Sprawiedliwości poinformowało zatem, że od 1 stycznia 2018 r. utworzy dodatkowo 30 etatów sędziowskich, 15 etatów asystenckich i 74 etaty urzędnicze tylko do rozpatrywania odwołań mundurowych emerytów.

Rzecz w tym, że te obietnice nie zostały spełnione. Etatów nie przybyło. „Po siedmiu latach nie rozpatrzono nawet połowy spraw – mówił „Rzeczpospolitej" Jan Gaładyk z Zarządu Głównego Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych. – Ludzie czekają i umierają. Z naszych szacunków wynika, że ok. 10 tys. emerytów

Ustawa uderzyła w ok. 40 tys. funkcjonariuszy, a doliczając wdowy czy innych członków rodzin, w ponad 50 tys. osób.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

mundurowych, którzy złożyli odwołania do sądów, nie doczekało rozstrzygnięcia swojej sprawy. Obecnie na wyrok w apelacji warszawskiej czeka 4,5 tys. spraw, w samym Sądzie Okręgowym w Warszawie – 7 tys. spraw. A to i tak liczba okrojona, bo sprawy z dezubekizacji zaczęto kierować do sądów powszechnych w całej Polsce".

•

PiS przyjęło więc taktykę przeciągania, może w nadziei, że emeryci powymierają. Ale straciło władzę. A co zrobiła nowa władza? Przez pierwsze tygodnie przedstawiciele Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych czekali w spokoju. Wiadomo – ministrowie muszą wdrożyć się do nowych obowiązków. Później zaaranżowano spotkania. Delegacja FSSM odwiedziła wiceministra Wiesława Szczepańskiego, z Lewicy, odpowiadającego w strukturach MSWiA za sprawy finansowe i Zakładu Emerytalno-Rentowego. Usłyszeli, że są trudności i że nie ma pieniędzy, żeby jednym ruchem wszystkich zadowolić.

Funkcjonariusze byli też u Krzysztofa Bondaryka, w latach 90. szefa białostockiej delegatury UOP, w latach 2008-2013 szefa ABW, a obecnie dyrektora biura ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego. „Państwo się zobowiązało i żadnej odpowiedzialności zbiorowej nie będzie. Zrobimy wszystko, żeby to uregulować", usłyszeli. Jednocześnie ZER działał tak jak wcześniej – składał apelacje od niekorzystnych dla siebie wyroków, od apelacji – kasacje do Sądu Najwyższego, opóźniał wypłaty mimo prawomocnych wyroków sądów. Można rzec – nic się nie zmieniło!

W lutym organizacje skupiające byłych funkcjonariuszy napisały list do Marcina Kierwińskiego. Przypominając wyborcze zobowiązania, wezwały ministra do rozwiązania problemu, podpowiadając nawet sposób – bezzwłoczne wycofanie przez ZER z sądów apelacyjnych wszystkich wniesionych apelacji oraz wycofanie skarg kasacyjnych z Sądu Najwyższego. To najprostszy ruch, cofnięcie apelacji nie wymaga uzasadnienia, a jednocześnie spowoduje uprawomocnienie się korzystnych dla funkcjonariuszy wyroków sądów pierwszej instancji.

Do tej pory ZER praktycznie od każdego wyroku składał odwołanie. Funkcjonariusze traktowali to jako złośliwość pisowskiej władzy. Z kolei jego dyrektorka twierdziła, że w ten sposób broni pieniędzy skarbu państwa. Czy tak było rzeczywiście? Czy można twierdzić, że bezprawnie zabrane świadczenie emerytalne to należność skarbu państwa? Raczej wątpliwe. Natomiast marnotrawieniem publicznych pieniędzy na pewno było wikłanie ministerstwa w potyczki prawne – co kosztowało MSWiA miliony wydawane na obsługę prawną. Miejmy poza tym świadomość, że wynagrodzenie sędziów, którzy muszą rozpatrywać tysiące wniosków, również pochodzi z naszych kieszeni. Co jest więc niegospodarnością?

FSSM zaproponowała też, by minister bez zbędnej zwłoki wdrożył procedury rozpoznawania na szeroką skalę wniosków w trybie art. 8a. Otóż art. 8a o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy policji i innych służb mówi, że minister właściwy do spraw wewnętrznych w szczególnie uzasadnionych przypadkach może wyłączyć stosowanie artykułów odbierających emeryturę, ze względu na: krótkotrwałą służbę przed dniem 31 lipca 1990 r. oraz rzetelne wykonywanie zadań i obowiązków po dniu 12 września 1989 r., zwłaszcza z narażeniem zdrowia i życia. De facto jest to zapis bardzo szeroki i każdy minister może go stosować różnie. Na przykład wspomniana Grażyna Biskupska nie została nim objęta, choć przestępcy grozili jej śmiercią.

Jak podpowiadają funkcjonariusze, można ów przepis rzeczywiście stosować szeroko. I wówczas znacznie przyśpieszyłoby to przywrócenie dawnych emerytur. To byłaby ścieżka pozasądowa, która rozwiązałaby problem tych emerytów, którzy do sądu w ogóle się nie zwrócili. A jest to kilkanaście tysięcy funkcjonariuszy.

W przeciwnym razie musieliby oni czekać do uchwalenia nowej ustawy emerytalnej, która uchyliłaby ustawę pisowską. Czyli jeszcze półtora roku. Bo dziś, nikt nie ma złudzeń, prezydent Duda taką ustawę by zawetował. Ale prace nad nią – jak czytamy w liście FSSM, można już rozpocząć, tak by była gotowa i nowy prezydent mógł ją podpisać jak najszybciej.

Nowa ustawa dla środowiska emerytów jest ważna. Zastąpiłaby tę z roku 2016 i przywróciła dawne przeliczniki. „W ustawie z roku 2009 za okres służby w PRL obniżono nam przelicznik z 2,6 na 0,7. 1,3 to przelicznik cywilów, 0,7 to taki, jaki mają siedzący w więzieniu – mówi Zdzisław Czarnecki. – PiS obniżyło go do 0,0. Czyli jeszcze niżej niż dla bandytów".

•

List był konkretnym głosem środowiska. I, okazało się, przyniósł konkretne efekty. Przede wszystkim odeszła dotychczasowa dyrektor ZER. Jej następczyni Magdalena Bednarz nie składa już nowych apelacji od wyroków sądów pierwszej instancji. Rozpoczęła również przegląd apelacji, które złożyła jej poprzedniczka, i zaczęła je wycofywać. Są także decyzje o wycofaniu kasacji.

Kierwiński ustanowił też pełnomocnika ministra spraw wewnętrznych i administracji ds. postępowań administracyjnych, do zadań którego należy załatwianie w imieniu szefa MSWiA spraw, o których mowa w art. 8a. Został nim Wojciech Brochwicz, były dyrektor w UOP, zastępca komendanta głównego Straży Granicznej oraz były wiceminister w MSWiA (w czasach Jerzego Buzka). Brochwicz rozpoczął już audyt wniosków, są one pozytywnie rozpatrywane.

Innymi słowy, maszyna ruszyła. Choć pytań jest wiele – w jakiej kolejności rozpatrywać wnioski? Najpierw tych najstarszych? Jak postępować z tymi, którzy się nie odwołali? Każda sprawa jest przecież inna.

Kłopoty na razie są dwa. Pierwszy, że wobec braku ustawy wszystko odbywa się de facto na piechotę, więc i trwa długo. To praca na wiele miesięcy. Drugi – brakuje funduszy. W budżecie MSWiA na rok 2024 nie ma pieniędzy na odzyskiwane emerytury i odszkodowania za ponad sześć lat, kiedy świadczenia nie były wypłacane. Z korytarzowych plotek można się dowiedzieć, że premier obiecał uruchomienie dodatkowych transz środków, sięgających 1 mld zł. To starczy dla ok. 6 tys. osób. A reszta?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Przestępczy układ Zbigniewa Ziobry

Oto jak z Funduszu Sprawiedliwości wyprowadzano setki milionów złotych

Andrzej Sikorski

Na polecenie prokuratury funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego przeszukali domy i mieszkania należące m.in. do Zbigniewa Ziobry, Michała Wosia, Marcina Romanowskiego i Dariusza Mateckiego. U polityków Suwerennej Polski wywołało to szok. Zbigniew Ziobro nazwał te działania „kompletnym absurdem" i „aberracją", Michał Woś „nielegalnymi i bandyckimi", a Marcin Romanowski „pokazem buty, arogancji i brutalnej siły uśmiechniętej koalicji 13 grudnia".

Urzędnicy i egzorcysta

Co prawda, żaden polityk nie usłyszał zarzutów, ale według moich informacji wkrótce do marszałka Sejmu wpłyną stosowne wnioski o uchylenie immunitetów. Na razie zarzuty m.in. przekroczenia uprawnień, poświadczenia nieprawdy oraz wyrządzenia szkody majątkowej postawione zostały siedmiu osobom (głównie byłym i obecnym pracownikom Ministerstwa Sprawiedliwości), a trzy osoby trafiły do aresztu. Wśród nich jest ks. Michał O., szef fundacji Profeto, egzorcysta, który przeganiał złe moce za pomocą salcesonu. Wielebny dostał w niejasnych okolicznościach z Funduszu Sprawiedliwości prawie 100 mln zł na budowę ośrodka dla ofiar przestępstw, choć nigdy tym się nie zajmował, a cele jego fundacji nie obejmowały takiej działalności. Przy okazji, jak ujawnili dziennikarze TVN 24, niczym rasowy gangster przeprał kilka milionów złotych państwowej dotacji.

Okazuje się, że brat aresztowanego księdza Grzegorz Olszewski jest prezesem Alior Banku, którego większościowym udziałowcem jest państwowy ubezpieczyciel PZU. Olszewski, który wcześniej pracował właśnie w PZU, a potem w zarządzie Banku Pekao SA, to kolega Zbigniewa Ziobry i podobno dzięki niemu zrobił zawrotną karierę. Dodajmy, że w Pekao SA pracował Witold Ziobro, brat ministra, a w firmie ubezpieczeniowej Link4 – spółce zależnej PZU – dyrektorską posadę dostała Patrycja Kotecka. Żona Zbigniewa Ziobry, jak się okazało, miała nieformalnie zajmować się promocją Funduszu Sprawiedliwości (a właściwie swojego męża), na co wydawane były gigantyczne pieniądze. Tak się składa, że reklamy Funduszu Sprawiedliwości zamieszczano w mediach wspierających PiS.

Wiadomo, że na współpracę z prokuraturą poszli były dyrektor Departamentu Funduszu Sprawiedliwości i jego zastępca. To dzięki złożonym przez nich zeznaniom udało się zebrać obszerny materiał dowodowy. Być może na podobny ruch zdecydują się inne osoby, a w zamian będą mogły liczyć na niższe wyroki.

> Afera z Funduszem Sprawiedliwości będzie oznaczać koniec Suwerennej Polski.

Dojny fundusz Suwerennej Polski

Fundusz Sprawiedliwości powstał w 2012 r. i miał jeden cel: pomoc prawną i psychologiczną ofiarom przestępstw. Jednak od 2017 r. stał się politycznym narzędziem wspierania organizacji powiązanych z Suwerenną Polską (wcześniej Solidarną Polską). Pieniądze szły też do zaprzyjaźnionych z politykami samorządów, ochotniczych straży pożarnych, placówek służby zdrowia. Ziobryści kreowali się w ten sposób na dobrych wujków, którzy mogą wszystko załatwić. Przy okazji robili sobie nieustanną kampanię wizerunkową, a w ciągu ostatnich pięciu lat wyprowadzili setki milionów złotych. Najwyższa Izba Kontroli określiła takie działania jako niegospodarne, niecelowe i sprzyjające powstawaniu mechanizmów korupcjogennych. Oczywiście decyzje o przyznawaniu dotacji zapadały w zaciszu ministerialnych gabinetów, poza wiedzą opinii publicznej i na podstawie niejasnych kryteriów.

Moi informatorzy twierdzą, że afera z Funduszem Sprawiedliwości będzie oznaczać koniec Suwerennej Polski. W wyprowadzanie publicznych pieniędzy zamieszanych jest bowiem kilkudziesięciu polityków partii Zbigniewa Ziobry – nie tylko posłów, ale także działaczy szczebla samorządowego. Wystarczy spojrzeć na mapę okręgów wyborczych, z których startowali do Sejmu i w wyborach samorządowych politycy Suwerennej Polski, i porównać z dotacjami z Funduszu Sprawiedliwości. Widać, że pieniądze szerokim strumieniem kierowane były na tereny ziobrystów.

Na przykład poseł Norbert Kaczmarczyk wyspecjalizował się w załatwianiu środków na sprzęt dla ochotniczych straży pożarnych z okręgu tarnowskiego, który jest jego matecznikiem. Strażaków wspierali również posłowie Jacek Ozdoba (okręg płocki) i Marcin Warchoł (Rzeszów). Ten ostatni za kilkanaście tysięcy złotych sprezentował dodatkowo kołom gospodyń wiejskich garnki, ekspres do kawy i robota kuchennego. Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś załatwił Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości zasiliły budowę pensjonatu kościelnej fundacji Profeto w Wilanowie.

w Raciborzu ponad milion złotych na wymianę okien, instalacji elektrycznej, wodno-kanalizacyjnej, wentylacyjnej i centralnego ogrzewania, remont dachu oraz wyposażenie siłowni i sal gimnastycznych, uzasadniając to przeciwdziałaniem przestępczości (sic!). Poseł Mariusz Gosek (był wówczas członkiem zarządu województwa świętokrzyskiego) załatwił 3,5 mln zł na zakup tomografu komputerowego, który trafił do Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. św. Rafała w Czerwonej Górze koło Kielc. Jako argument za przyznaniem dotacji wskazano, że szpital jest położony w pobliżu ruchliwej drogi ekspresowej S7, na której często dochodzi do wypadków komunikacyjnych, więc istnieje pilna potrzeba „niesienia pomocy medycznej pokrzywdzonym czynami zabronionymi, m.in. przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu czy przestępstwami przeciwko bezpieczeństwu w komunikacji". Było to kłamstwo, bo, jak ustalili kontrolerzy NIK, przez pięć lat poprzedzających zakup tomografu na całym odcinku drogi ekspresowej S7 biegnącym przez województwo świętokrzyskie odnotowano łącznie trzy wypadki drogowe, w których rannych zostało pięć osób.

Fundacja widmo i chore dzieci

Przed prokuratorem będą musieli się tłumaczyć Patryk Jaki i była dyrektorka jego biura poselskiego Małgorzata Wilkos, radna z Opola. Otóż Wilkos założyła fundację Ex Bono, która miała się zajmować pomocą ofiarom przestępstw. Prezesem fundacji został emeryt Ryszard Markowski, prywatnie wujek Wilkos, a wiceprezeską Natalia Julia Obrocka, asystentka Jerzego Żyżyńskiego, byłego posła PiS i członka Rady Polityki Pieniężnej, w radzie fundacji zaś ulokowano osoby związane z Suwerenną Polską. Ex Bono dostała z Funduszu Sprawiedliwości ponad 9 mln zł na utworzenie w Opolu ośrodka pomocy ofiarom przestępstw i 11 lokalnych punktów w pobliskich miejscowościach, a także na utworzenie podobnego ośrodka w Tychach, z czterema lokalnymi punktami.

Jak wykazała kontrola NIK, Ex Bono, starając się o pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości, wielokrotnie poświadczyła nieprawdę w złożonych dokumentach. Fundacja twierdziła np., że ma doświadczenie w pomocy pokrzywdzonym, dysponuje wykwalifikowaną kadrą i punktami, w których będzie udzielać pomocy. Tymczasem po przyznaniu jej środków dopiero zaczynała naprędce szukać pracowników i lokali. Tak naprawdę Ex Bono nigdy nie świadczyła pomocy w pełnym zakresie, który wynikał z podpisanej umowy. Po kilku miesiącach działalności ośrodek w Opolu został zamknięty z dnia na dzień, a nieliczni poszkodowani, którzy korzystali z jego pomocy finansowej, prawnej czy psychologicznej – pozostawieni sami sobie. Ex Bono zobowiązała się opłacić dzieciom miejsca w żłobkach, lecz tego nie zrobiła. Nie płaciła nawet za wynajmowany lokal. Nie informowała – choć miała taki obowiązek – policji, prokuratury ani sądów o prowadzonej działalności.

Fundacja zdążyła jeszcze zorganizować turnus profilaktyczny dla chorych dzieci, zatajając przed właścicielem ośrodka wypoczynkowego, kogo faktycznie będzie gościł. A były to dzieci z poważnymi dolegliwościami, takimi jak spektrum autyzmu, padaczka, opóźnienie umysłowe, depresja, choroba dwubiegunowa, zaburzenia lękowe. Gdy gospodarz obiektu dowiedział się, jak poważnie chorzy są uczestnicy turnusu, rozwiązał umowę z fundacją, argumentując, że został oszukany i nie będzie narażał dzieci na niebezpieczeństwo utraty zdrowia i życia. Gdy zaś kontrolerzy NIK zapytali prezesa Ex Bono Ryszarda Markowskiego, dlaczego zachował się w sposób nieodpowiedzialny, ten odparł, że nie czuje się winny, gdyż nie był organizatorem wypoczynku, a jedynie podpisał umowę z właścicielem ośrodka wypoczynkowego (sic!).

NIK doszukała się również innych nieprawidłowości w Ex Bono, m.in. nierzetelnie prowadzonej księgowości, zbędnych wydatków, wykupywania drogich usług, zawyżania kosztów, a nawet fałszerstw. Część podpisów prezesa fundacji na dokumentach została podrobiona.

Miliony dla swoich

Spotkania z prokuratorem nie unikną poseł Edward Siarka i dyrektorka jego biura poselskiego Aleksandra Antolak-Rust, która jest wiceprezeską stowarzyszenia Podhale – Nasz Dom w Nowym

FOT. PIOTR MOLĘCKI/ EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Targu. Organizacja ta dostała ponad 3,7 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości „na przeciwdziałanie przyczynom przestępczości" i „na pomoc pokrzywdzonym przestępstwem". Podobno nawet przez jakiś czas świadczyła pomoc (jej siedziba mieściła się w tym samym budynku co biuro poselskie posła Siarki), ale potem słuch o stowarzyszeniu zaginął i nie wiadomo, gdzie rozpłynęły się pieniądze.

Tłumaczyć się śledczym będą też Tadeusz Woźniak i szef jego biura poselskiego Janusz Kołodziejski, którzy stoją za stowarzyszeniem Patria Et Lex. Dostało ono z Funduszu Sprawiedliwości prawie 8,5 mln zł na prowadzenie w Łodzi i okolicach ośrodków pomocy osobom pokrzywdzonym przestępstwem, choć nigdy nie zajmowało się tego typu działalnością, a dotację otrzymało zaledwie kilka miesięcy po tym, jak zostało zarejestrowane.

W wyprowadzanie publicznych pieniędzy zamieszanych jest kilkudziesięciu polityków partii Ziobry.

Nie wywinie się znany internetowy hejter, a od kilku miesięcy poseł Dariusz Matecki, który miał załatwić organizacjom swoich kolegów prawie 20 mln zł z funduszu. Chodzi o Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia oraz Fidei Defensor. Pierwsze miało promować projekty związane z przeciwdziałaniem przemocy, a drugie walczyć z chrystianofobią i agresją wobec chrześcijan. Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia za kilka milionów złotych uruchomiło trzy amatorsko wykonane portale internetowe: Szczecińskie24.pl, Radomskie.info i Lubelskie.info. Ten pierwszy zajmował się głównie promocją Dariusza Mateckiego, który pochodzi ze Szczecina, a dwa pozostałe wspieraniem także innych polityków prawicy oraz zamieszczaniem informacji o lokalnych sprawach. Z kolei Fidei Defensor za ponad 9 mln zł zajmowało się głównie akcją bilbordową alarmującą o „prześladowaniu chrześcijan" w Polsce i pisaniem donosów do prokuratury na działaczy LGBT i Strajk Kobiet.

Redaktor na froncie walki ideologicznej

Właśnie walka z rzekomą chrystianofobią i polonofobią była tym, na co Zbigniew Ziobro wydawał lekką ręką dziesiątki milionów złotych. Ponad 1,3 mln zł na „walkę z polonofobią" i „przeciwdziałanie przestępstwom znieważenia Narodu lub Rzeczpospolitej Polskiej" dostała fundacja Strażnik Pamięci, którą założył Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy". Za ponad pół miliona złotych Lisicki zrobił kampanię promocyjną w swoim tygodniku, a do poszczególnych wydań „Do Rzeczy" dodał specjalne wkładki edukacyjne, m.in. „Izraelska polityka historyczna – wzór skuteczności", „Niemiecka polityka historyczna – odpowiedzialność pod znakiem zapytania", „Rosyjska polityka historyczna – kłamstwo w służbie imperium", „Prawna obrona polskiej pamięci historycznej", które kosztowały ponad 600 tys. zł. Zdaniem NIK, która badała wydatki z Funduszu Sprawiedliwości, przerzucanie przez Lisickiego pieniędzy pomiędzy fundacją a tygodnikiem „nie miało nic wspólnego z zasadą uczciwej konkurencji i przejrzystości wydatkowania środków publicznych", a 1,3 mln zł wydano „niecelowo i niegospodarnie".

W ramach walki z antypolonizmem redaktor Lisicki zorganizował też za prawie 100 tys. zł konferencję „Polska Hekatomba i Walka z Polonofobią", w której udział wziął m.in. Zbigniew Ziobro, a jedną z panelistek była dr Ewa Kurek, autorka antysemickich publikacji. Kurek znana jest z osobliwych poglądów na tematy polsko-żydowskie. Pisała m.in., że getta były „autonomiczną prowincją", w której Żydzi mieli się świetnie, w odróżnieniu od cierpiących pod niemiecką okupacją Polaków.

To jednak nie wszystko. Fundacja Strażnik Pamięci dostała kolejną dotację z Funduszu Sprawiedliwości (nie podano kwoty), tym razem na kampanię „przeciwdziałanie przestępstwom dotyczącym naruszenia wolności sumienia popełnianym pod wpływem ideologii LGBT". Celem kampanii jest „doprowadzenie do zmniejszenia, a docelowo do wyeliminowania z polskiej przestrzeni publicznej przypadków łamania praw sumienia ludzi wierzących, którzy cierpią pod wpływem presji nowych lewicowych ideologii".

Mechanizm wyprowadzania publicznych pieniędzy jest ten sam, co w przypadku walki z tzw. polonofobią. W „Do Rzeczy" w latach 2020-2023 zamieszczonych zostało 20 dodatków na temat zgubnego wpływu ideologii LGBT na społeczeństwo. Ich treść jest skandaliczna i podpada pod Kodeks karny. Szczuje bowiem na społeczność LGBT, przypisując jej walkę z tradycyjnymi wartościami, demoralizację dzieci, niszczenie Kościoła, rodziny i państwa.

Afera nabiera rozpędu

Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że od 2017 r. do 2023 r. w ramach Funduszu Sprawiedliwości wydatkowano ok. 2 mld zł. Większość tych środków została wydana niezgodnie z przeznaczeniem, czyli na cele, które nie miały nic wspólnego z pomocą osobom pokrzywdzonym w wyniku przestępstw, albo zwyczajnie zmarnotrawiona, zasilając kieszenie różnej maści cwaniaków powiązanych z politykami Suwerennej Polski. Ujawnione dotychczas nieprawidłowości to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Z biegiem czasu opinia publiczna dowiadywać się będzie o kolejnych nieuzasadnionych wydatkach. Osobną kwestią, którą będą musieli się zająć Adam Bodnar i prokurator krajowy Jacek Bilewicz, jest rozliczenie prokuratorów, którzy, działając na zlecenie polityczne, nie wszczynali śledztw, odmawiali ich wszczynania lub umarzali śledztwa w sprawie nieprawidłowości w przyznawaniu dotacji z funduszu. A takie postępowanie było nagminne za rządów Zjednoczonej Prawicy.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Prawdziwym czempionem pisowskich dotacji okazał się o. Tadeusz Rydzyk.

Stosunki medialne

Setki milionów złotych przepłynęły do zaprzyjaźnionych mediów. I co z tego wynikło?

Grzegorz Rudnik

Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro miał Fundusz Sprawiedliwości, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek program Willa+, minister zdrowia Łukasz Szumowski Agencję Badań Medycznych, a biedniutki europoseł Adam Bielan musiał się zadowolić wpływami w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. Łączyło ich jedno – pieniądze, którymi mogli obdzielać swojaków. Bo budżet państwa był dla rządzących polityków Prawa i Sprawiedliwości jak prywatna skarbonka. Wobec tego ich zdaniem pieniądze rozdawano zgodnie z prawem i nie ma co się czepiać.

Wizerunek hojnych liderów prawicy byłby niepełny, gdybyśmy zapomnieli o pieniądzach, które szerokim strumieniem popłynęły z innych źródeł na rachunki bankowe mediów wspierających kolejne rządy Zjednoczonej Prawicy.

Płacili wszyscy: ministerstwa, agencje rządowe, spółki skarbu państwa z Totalizatorem Sportowym i Orlenem na czele, a nawet Lasy Państwowe. Media publiczne mogły ostatnio liczyć na prawie 3 mld zł rocznie z budżetu państwa, lecz nie był to wcale koniec. Po roku 2015 za pieniądze podatników powstała potężna machina propagandowa, która w 2019 r. zapewniła PiS zwycięstwo w wyborach parlamentarnych, a rok później wygraną Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich.

W ostatnio ujawnionych nagraniach z operacji CBA pod kryptonimem „Vampirina" znalazła się rozmowa z 2020 r. członka zarządu PKN Orlen Adama Buraka z prezesem Grupy Lotos Pawłem Majewskim. Burak szukał pieniędzy na sfinansowanie promocji wyprodukowanego przez TVP filmu „Zenek" o gwieździe disco polo Zenonie Martyniuku. Prezes Orlenu Daniel Obajtek obiecał prezesowi TVP Jackowi Kurskiemu 900 tys. zł na ten cel. A Burak miał załatwić sprawę.

– Przecież za jaja będą nas wieszać za to! Pomoc kurna dla służby zdrowia i tych służb wszystkich, a tu nagle wypierdzielamy na film o Zenku – perswadował Burakowi Majewski, gdy dowiedział się, na jak zbożny cel zbiera on kasę.

Ostatecznie Orlen przeznaczył 438 835 zł na promocję „Zenka", a Energa dołożyła 158 225 zł. Film odniósł sukces, bo był dla widzów, którzy Platona, Kartezjusza i innych jajogłowych nie czytali. W tym czasie TVP otrzymała z budżetu 1,127 mld zł rekompensaty za utracone środki ze zwolnień abonamentowych. Do tego niemal 900 mln zł z emisji reklam i sponsoringu oraz ok. 331 mln zł z abonamentu opłaconego przez widzów. W kolejnych latach było jeszcze lepiej. Na Woronicza płynęły miliardy. Dzięki nim rządzący mogli liczyć na „życzliwość" gwiazd TVP, które, jak dziś wiemy, cieszyły się wyjątkowo wysokimi apanażami, oraz na wysiłek „paskowych" z TVP Info, którzy, choć wynagradzani skromniej, jak mogli, obrzydzali widzom Donalda Tuska i opozycję.

Niemal identyczna sytuacja była w Polskim Radiu. Z tą różnicą, że tam płacono mniej, choć często tym samym gwiazdom TVP, które dorabiały przed mikrofonami owej niegdyś szacownej instytucji.

Pieniądze podatników, kierowców tankujących „na Orlenie", kupujących zakłady Lotto czy korzystających z prądu elektrycznego płynęły do mediów prywatnych. A tu prawdziwym czempionem okazał się Tadeusz Rydzyk.

„Dzieła" Ojca Dyrektora

Wolno się spierać, jaką łącznie kwotą kolejne rządy PiS wsparły

FOT. PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

eprasa.pl 92d2cb7ecb

imperium medialne Rydzyka. Czy było to 400 mln zł? A może 500 mln? A może jeszcze więcej? Portal OKO.press policzył kiedyś, że w ciągu pierwszych pięciu lat rządów Zjednoczonej Prawicy „dzieła" redemptorysty z Torunia otrzymały wsparcie rzędu 325 mln zł. Chodzi nie tylko o Radio Maryja czy Akademię Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, lecz także np. o Muzeum Pamięć i Tożsamość, na które poszła rządowa dotacja w kwocie ponad 200 mln zł. Co dobitnie świadczy o tym, że już dawno minęły czasy, gdy bezdomni przekazywali ojcu Tadeuszowi w darze samochody, po czym umierali.

Choć Radio Maryja czasy świetności miało dawno za sobą, PiS doceniało potencjał mobilizacyjny imperium Ojca Dyrektora i nie szczędziło „marności", by nadal mogło ono działać.

Sam Fundusz Sprawiedliwości w latach 2015-2023 przyznał Fundacji Lux Veritatis oraz Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu dotacje o łącznej wysokości 22 147 933,65 zł. Z tego 21 499 908 zł trafiło na konto Fundacji Lux Veritatis.

„dzieł" Ojca Dyrektora daleko idącą wstrzemięźliwość.

Bracia Karnowscy

Tygodnik „Sieci" i telewizja internetowa wPolsce.pl to główne aktywa naszych bohaterów. Jak wynika z analizy prof. Tadeusza Kowalskiego dotyczącej wydatków spółek skarbu państwa na reklamę w tygodnikach w latach 2015-2021, tygodnik braci Karnowskich, wydawany przez spółkę Fratria, otrzymał w tym czasie 142,475 mln zł od państwowych firm.

Tuż za nim było wydawnictwo Orle Pióro z tygodnikiem „Do Rzeczy" – kwota 71,197 mln zł.

„Sieci" starają się utrzymać pozycję na rynku, lecz przychodzi im to z coraz większym trudem. W przeszłości swobodny dostęp do ucha prezesa Kaczyńskiego i premiera Morawieckiego gwarantował krzepiąco wysokie przychody. Tygodnik przyznawał też nagrody. Na liście laureatów wyróżnionych tytułem Człowieka Wolności znaleźli się m.in. Jarosław Kaczyński, Andrzej Duda, Piotr Gliński, Mateusz Morawiecki i Julia Przyłębska.

Po 2015 r. za pieniądze podatników powstała potężna machina propagandowa, która zapewniła PiS i Andrzejowi Dudzie zwycięstwo w wyborach.

Gdy w styczniu br. minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz napisała na portalu X (dawnym Twitterze), że Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu (Lux Veritatis) „zwróci dofinansowanie na utworzenie kierunku informatyka medialna", natychmiast podniosły się głosy, że jest to prześladowanie za wiarę.

Każda toruńska inicjatywa zawsze mogła liczyć na finansowe wsparcie rządzących. Rzecz jasna, było to możliwe tylko dlatego, że Ojciec Dyrektor dysponował Radiem Maryja i Telewizją Trwam. Zmiana władzy okazała się bolesna. Obecny rok może być trudny dla imperium medialnego ojca Tadeusza. Nowa ekipa rządząca wykazuje wobec

Nic dziwnego, że bracia często gościli w mediach publicznych, zwłaszcza w TVP Info i głównym wydaniu „Wiadomości" Programu 1 TVP. Jak potem się okazało, ich komentarze do kamery były wynagradzane średnią stawką 500 zł. Lecz to się skończyło.

Ostatnio solą w oku okazały się dla Karnowskich sukcesy Telewizji Republika, której oglądalność wzrosła kilkusetkrotnie. Ich internetowy kanał telewizyjny, który co prawda także odnotował wzrost, lecz nie tak wielki jak konkurent, nie liczy się tak bardzo, jak by chcieli.

Bracia ściągnęli do swojej stacji telewizyjnej kilku byłych dziennikarzy TVP i liczą na sukces. Od dawna towarzyszy im niegdysiejsza „lwica lewicy" Aleksandra Jakubowska, która została publicystką wPolityce.pl, a teraz jest gospodarzem jednego z programów wPolsce.pl.

Zasadne wydaje się pytanie, czy zarobione w minionych latach środki wystarczą braciom Karnowskim na utrzymanie, a być może nawet rozwinięcie projektów medialnych. Łatwo nie będzie. Zmianę na lepsze przyniosłoby jedynie ponowne objęcie rządów przez prawicę.

Męczeństwo Tomasza Sakiewicza

Przez lata uchodził on za gorszego przedstawiciela prawicowych mediów. Jego „Gazetę Polską" traktowano protekcjonalnie. Wydawana na papierze gazetowym, słynąca z radykalnych ocen i poglądów, wspierająca bardziej Antoniego Macierewicza niż Jarosława Kaczyńskiego, nie mogła liczyć na takie względy państwowych reklamodawców jak tygodniki „Do Rzeczy" i „Sieci". Lepsze wrażenie robiła Telewizja Republika, która wprawdzie wykazywała straty, lecz po roku 2015 zaczęła na siebie zarabiać. W 2016 r. problemem okazały się odejścia dziennikarzy, którzy, jeśli tylko mogli, przenosili się do TVP, gdzie mieli lepsze warunki pracy i znacznie wyższe wynagrodzenie. Jest tajemnicą poliszynela, że Tomasz Sakiewicz płacił pracownikom słabo i niechętnie.

Niezależne Wydawnictwo Polskie z „Gazetą Polską" w latach 2015-2021 otrzymało ze spółek skarbu państwa 60,847 mln zł. Telewizja Republika dostała w tym czasie ok. 5 mln zł.

W ostatnich miesiącach Sakiewicz odniósł prawdziwy sukces, gdyż kontrolowana przez niego Telewizja Republika zyskała sporą popularność po przyjęciu na pokład grupy prawicowych dziennikarzy, którzy stracili pracę lub odeszli z TVP po przegranych przez PiS wyborach.

Na początku 2024 r. średnia oglądalność stacji sięgała 300 tys. widzów, a wieczorne wydanie programu informacyjnego „Dzisiaj" oglądało średnio 900 tys. Oznaczało

eprasa.pl 92d2cb7ecb

to gigantyczny wzrost przychodów z reklam, jak można przeczytać w prasie, z 500 zł do ponad 20 tys. za jedną emisję. Telewizja Republika zapowiada, że gotowa jest skutecznie konkurować nawet ze stacją TVN 24. Jednak od lutego br. obserwowane jest odchodzenie dużych reklamodawców, których zraziły agresywne wypowiedzi, takie jak satyryka Jana Pietrzaka, który w programie prowadzonym przez Katarzynę Gójską, komentując plany Komisji Europejskiej dotyczące imigrantów, oświadczył: „Mamy baraki dla imigrantów: w Auschwitz, w Majdanku, w Treblince, w Stutthofie. Mamy dużo baraków zbudowanych przez Niemców i tam będziemy zatrzymywać tych imigrantów wpychanych nam nielegalnie przez Niemców".

Inny komentator, Marek Król, były redaktor naczelny „Wprost", odnosząc się do tej samej kwestii, postulował na antenie, by migrantów tatuować: „Należy im założyć czipy, jak się pieskom zakłada, a tańsze jest oczywiście numery na lewej ręce wytatuować i wtedy łatwo się ich znajdzie".

Telewizja Republika powoli traci nie tylko reklamodawców, ale i widzów. Pojawiły się pierwsze opinie, że może nie przetrwać czasu, gdy prawica będzie pozostawała w opozycji. Obecnie jedynym pewnym reklamodawcą dla mediów Sakiewicza jest Narodowy Bank Polski, kierowany przez prof. Adama Glapińskiego.

Delikatna gra Polsatu

Dla wielu może być zaskoczeniem informacja, że tuż za Telewizją Polską SA największym beneficjentem budżetów reklamowych spółek skarbu państwa była w latach 2018-2021 Telewizja Polsat. Jeśli w roku 2018 TVP miała 31,7% (31,7 mln zł) udziału w łącznym budżecie reklamowym dużych spółek skarbu państwa przeznaczonym na reklamę telewizyjną, to Polsat miał w tym czasie 19,4% (19,4 mln zł). W roku 2019 udział tej stacji wzrósł do 26,2% (26,2 mln zł), w kolejnym roku było to 19,5% (19,5 mln zł), a w roku 2021 – 23,9% (23,9 mln zł). Trzeba zaznaczyć, że według danych Najwyższej Izby Kontroli od roku 2019 udział stacji TVN w podziale tego budżetu reklamowego wynosił 0%.

Szacuje się, że w latach 2017-2021 Polsat zarobił na spółkach państwowych 97,3 mln zł i ustępował jedynie TVP. Co świadczy o wyjątkowej umiejętności kierownictwa tej stacji znajdowania porozumienia z rządzącymi.

Budżet państwa był dla rządzących polityków PiS jak prywatna skarbonka.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że właściciel Polsatu Zygmunt Solorz cieszy się szczególnymi względami obozu Zjednoczonej Prawicy, o czym świadczy udana jak na razie inicjatywa budowy elektrowni atomowej w spółce z Koreańczykami. Bez wsparcia ze strony rządu Mateusza Morawieckiego nie doszłoby do zawarcia umów z dalekowschodnim partnerem.

Z pewnością z tych powodów programy informacyjne i publicystyczne Polsatu były, delikatnie mówiąc, bardziej wyważone w stosunku do działań rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Lecz jaka przyszłość czeka Polsat? Czy duże spółki skarbu państwa, gdy zmienią się ich zarządy, nadal będą tak chętnie zamieszczały reklamy w tej stacji? Bo to, że przyjdzie podzielić się z TVN, jest przesądzone. Znając jednak talenty Zygmunta Solorza, jestem pewien, że sobie poradzi.

Media partyjne czy niezależne

Przed 15 października 2023 r. dziennikarze TVN i „Gazety Wyborczej" z dumą mówili o sobie, że reprezentują „wolne media" lub „niezależne media". Dziś powtarzają to samo byli pracownicy TVP, obecnie w Telewizji Republika albo wPolsce.pl, zapominając, że przez lata stacja, w której pracowali, była hojnie finansowana ze środków publicznych i spółek skarbu państwa. W zamian oczekiwano od nich pełnej dyspozycyjności i gromienia wrogów ideologicznych. Co z zapałem robili.

Czy to się zmieni? Czy możliwe jest istnienie świata polityki i świata mediów niezależnie od siebie? Czy też ci, którzy mają pieniądze, znów będą kupowali tych, którzy mówią o sobie „czwarta władza"?

Lata 2015-2023 dowiodły, że za miliardy złotych można zbudować ogromną machinę propagandową, a mimo to przegrać wybory. Tylko czy teraz uda się zbudować bardziej niezależne, bardziej profesjonalne i uczciwe media bez chociaż części owych środków?

Grzegorz Rudnik

Odszedł

Feliks Walichnowski

Doktor socjologii. Nestor dziennikarstwa olsztyńskiego. Wieloletni członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej i aktywny korespondent tygodnika „Przegląd". Ma wielkie zasługi w upamiętnianiu historii powojennego osadnictwa na Warmii i Mazurach. Sam był pionierem. Jako 16-latek przybył na te ziemie już w marcu 1945 r. i z marszu włączył się w budowę zrębów polskiej państwowości na terenach byłych Prus Wschodnich. Autor wielu książek i publikacji na ten temat, także na naszych łamach. Z jego inspiracji ukazał się zbiór wspomnień „Czas pionierów". Za badania nad fenomenem socjologicznym, jakim było osadnictwo na tych ziemiach, otrzymał Odznakę Honorową za Zasługi dla Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Popularny Felo, bo tak był zwany w olsztyńskim środowisku dziennikarskim, był człowiekiem życzliwym, mądrym i dowcipnym.

Bliskim i Przyjaciołom Redaktora serdecznie współczujemy

Jerzy Domański i Marek Książek

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Śląskość, polskość – do zmiany

Kwestia uznania języka śląskiego to nie tylko sprawa regionalna, ale też zachęta do przebudowy naszego myślenia o Polsce

Dariusz Zalega

Polska krajem jednego narodu, Polak katolik – takie wizje polskości zakorzeniły się w świadomości publicznej. A właściwie zostały narzucone dzięki sojuszowi tronu i ołtarza, i to zarówno w okresie międzywojennym, jak i w czasach Polski Ludowej. Napływ uchodźców z Ukrainy, z których część chce związać swój los z Polską, oraz najnowsza sprawa uznania języka śląskiego zmuszają nas do i tak nieuniknionego przemodelowania naszego myślenia o „polskości". Czy Polakiem jest się z racji mitycznej krwi, czy jednak dzięki obywatelstwu?

Głos pół miliona

Sejmowa większość zdecydowała w środę 20 marca o skierowaniu do Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych projektu ustawy w sprawie uznania języka śląskiego za język regionalny (drugi w Polsce obok kaszubskiego). Dzięki temu w szkołach będą mogły się pojawić dobrowolne zajęcia z języka śląskiego, a przy drogach dwujęzyczne tablice z nazwami miejscowości, w których używanie języka śląskiego deklaruje ponad jedna piąta mieszkańców, na dofinansowanie działalności związanej z zachowaniem tego języka będą także mogły popłynąć środki publiczne.

Oczywiście przeciwko temu wystąpili posłowie PiS i Konfederacji, nieodmiennie strasząc odebraniem Śląska przez Niemcy i oklepanym hasłem, jeszcze z czasów sanacji, że Ślązak to po prostu Polak. Skoro jednak podczas spisu powszechnego w 2021 r. narodowość śląską zadeklarowały 596 224 osoby, a niewiele mniej potwierdziło używanie śląskiego w kontaktach domowych, to może Rzeczpospolita powinna to wziąć pod uwagę?

„Możemy dyskutować, czy to jest język, czy nie. Możemy się kłócić długie lata, ale to nie ma sensu. Języka nie da się zdefiniować. Najważniejsza jest wola niemal pół miliona obywateli, którzy każdego dnia tego języka używają. Polska powinna dbać o różnorodność swoich obywateli, bo tacy jesteśmy: różnorodni", mówiła podczas debaty sejmowej Monika Rosa z Koalicji Obywatelskiej. Idąc za ciosem, Wanda Nowicka i Maciej Konieczny z Lewicy zapowiedzieli, że kolejnym

Podczas spisu powszechnego w 2021 r. narodowość śląską zadeklarowały 596 224 osoby.

W jakim języku rozmawiali śląscy robotnicy?

„Ci, co kopali węgiel, posługiwali się mową, która nie była rozumiana przez tych na powierzchni i z której tamci się naśmiewali. Była to mowa, która była mieszaniną słów wszystkich tych, którzy przyszli tu boso, zewsząd, to była mowa tych golców, grubiańska, twarda, ordynarna mowa, gdyż takie było ich życie, twarde, ciężkie i zwykłe", pisał obrazowo Horst Bienek w eseju „Opis pewnej prowincji". Na bazie dominującego *wasserpolnische*, jak obraźliwie nazywano miejscowy język, będący pozostałością dawnych czasów, wkraczała na Śląsk pod koniec XIX w. już nowocześniejsza, literacka wersja języka polskiego, wprowadzana przede wszystkim w kościołach, a także przez pierwsze identyfikujące się jako polskie organizacje społeczne oraz przez polskie piśmiennictwo. Jednak w konkurencji z językiem niemieckim nie miała wielkich szans. Wincenty Pol podczas podróży po Śląsku zwrócił uwagę, że „wszystkie domowe sprawy załatwia lud mimowolnie językiem polskim, wszystkie pozadomowe językiem niemieckim. (…) Dla ludu więc jest język polski tutaj językiem domu i kościoła". Śląski pisarz robotnik Hans Marchwitza z Szarleja pisał: „Nie umiem określić swej narodowości. Rodzice moi chodzili do polskiej szkoły, w domu mówiono po polsku, oczywiście górnośląską gwarą. Na Śląsku byłem górnikiem. W Zagłębiu Ruhry byłem górnikiem".

Górnoślązacy byli pragmatyczni, więc zazwyczaj wybierali dwujęzyczność, choć zarówno ich polski, jak i niemiecki mogły pozostawiać wiele do życzenia. Trzeba jednak pamiętać, że używanie jakiegoś języka nie oznaczało wcale identyfikacji z daną narodowością. „Usytuowanie społeczne mogło spowodować, że Górnoślązak mówiący po niemiecku z przekonania czuł się Polakiem i odwrotnie: Ślązak mówiący gwarą śląską z postawy czuć się mógł Niemcem", podkreśla badacz Matthias Kneip.

Warto też podkreślić, że nawet śląska polskość różniła się od tej promieniującej z Krakowa czy Warszawy. Po prostu była zakorzeniona w świecie przemysłowym, odleglejsza od romantyzmu, za to bardziej egalitarna. Z powodu tego zderzenia różnych wizji dochodziło zresztą do konfliktów i rozczarowań po przyłączeniu Śląska do Polski.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Na naszych oczach dokonuje się renesans śląskości. Kiedyś kojarzyła się z „kulturą krupnioka", teraz śląski wykorzystuje się w reklamach.

krokiem będzie złożenie projektu ustawy w sprawie uznania śląskiej mniejszości etnicznej.

Długi marsz

O tym, jak długa była droga do uznania śląskiej specyfiki, świadczą kolejne inicjatywy. Pierwsza próba w sprawie uznania języka śląskiego – 2007 r. Tyle że w dniu złożenia projektu poselskiego zdecydowano o skróceniu kadencji parlamentu. Kolejne projekty w latach 2010 i 2012 nawet nie zostały poddane pod dyskusję. W 2014 r. obywatelski projekt ustawy o uznaniu Ślązaków za mniejszość etniczną, podpisany przez 140 tys. osób, został odrzucony przez sejmową komisję. 2018 r. – poselski projekt nie doczekał się numeru druku, a dwa lata później pierwszego czytania. W 2023 r. przygotowano poselski projekt ustawy o uznaniu śląskiej mniejszości, ale... skończyła się kadencja Sejmu. I udało się dopiero teraz.

Latami ciągnął się również spór o rejestrację Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej. 14 marca po stronie Ślązaków stanął Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Jego zdaniem polskie sądy, odmawiając lata temu rejestracji stowarzyszenia, złamały prawo gwarantujące wolność zrzeszania się. W wyroku czytamy: „Trybunał uważa, że władze kraju nie wykazały, że nazwa skarżącego stowarzyszenia i brzmienie dwóch postanowień statutu stowarzyszenia, które odnosiły się do narodowości śląskiej, mogły stanowić zagrożenie dla porządku publicznego".

Śląski renesans

Wynik głosowania 20 marca obudził nadzieje w środowiskach regionalistów, choć bez nadmiernego optymizmu. Raczej trudno się spodziewać podpisu prezydenta Dudy pod „śląską ustawą". Poza tym wszyscy zdają sobie sprawę, że mimo postępującej kodyfikacji „literackiego" śląskiego, publikacji coraz większej liczby książek w tym języku i mody na śląskie *gyszynki* (prezenty) trzeba będzie

Odszedł

Tadeusz Zakrzewski

Błyskotliwy reporter, utalentowany kronikarz wydarzeń, które przez ponad ćwierć wieku pokazywał w „Dzienniku Telewizyjnym" i „Telewizyjnym Kurierze Warszawskim". Autor kilkuset felietonów, reportaży, filmów dokumentalnych i wywiadów. Był świadkiem historii i najważniejszych zdarzeń. Reporter gen. Jaruzelskiego i wielokrotny rozmówca Jana Pawła II. Autor książek, które prezentowaliśmy w „Przeglądzie". Wielokrotny laureat nagród dziennikarskich. Przyjaciel redakcji. Otwarty, wyrozumiały i życzliwy. Mądry komentator naszej wspólnej drogi.

Żonie i Dzieciom serdecznie współczuję

Jerzy Domański

FOT. ADRIAN ŚLĄZOK/REPORTER

eprasa.pl 92d2cb7ecb

jeszcze przekonać młodych ludzi do nauki.

„To nie jest język, którym ze sobą rozmawiamy. To jest wariant literacki. Wydaje mi się, że po to będzie nauczanie śląskiego w szkołach, żeby Ślązacy opanowali język śląski literacki, czytali w nim i pisali, natomiast mówić będą tak jak do tej pory”, tłumaczył na spotkaniu w Rybniku Zbigniew Rokita, autor kultowej już na Śląsku książki „Kajś”.

Jeszcze nigdy nie powstawało tyle utworów po śląsku, co teraz.

Paradoksem jest zresztą to, że jeszcze nigdy nie powstawało tyle utworów po śląsku, co teraz. Wytłumaczenie jest jednak dość oczywiste: nie było po prostu lokalnej inteligencji skłonnej do tworzenia w lokalnej „godce”, uważanej za gorszy język. Śląska inteligencja opcji niemieckiej musiała być bardziej berlińska od berlińczyków, a polska – zapatrzona w Warszawę. Ale na naszych oczach dokonuje się renesans śląskości. Kiedyś kojarzyła się z „kulturą krupnioka”, teraz trafia pod strzechy nawet za pośrednictwem reklam wykorzystujących śląski. Coraz częściej pojawiają się spektakle po śląsku, pokazy filmów ze śląskim dubbingiem, a przetłumaczono na ten język już i Ajschylosa, i „Małego Księcia”. Ponad 100 tys. biletów sprzedano na sam spektakl „Cholonek”, zrywający zresztą z wizją Śląska jako pobożnej arkadii. Bo zmienia się sama śląskość i jej postrzeganie.

Śląsk w ruchu

Nie ma wzorca ani Ślązaka, ani Polaka. Zawartość tych pojęć cały czas się zmienia. Samo pojęcie śląskości znajduje nową formę po czasach, gdy niektórym jawiła się ona jako lokalne nacjonalistyczne odreagowanie warszawskiego centralizmu. A ponadto sprzyjała mitologizowaniu śląskiej przeszłości i chęci określania, kto jest *richtg Ślonzok*, „prawdziwym Ślązakiem”, a kto nie.

W szkołach będą mogły się pojawić dobrowolne zajęcia z języka śląskiego, przy drogach dwujęzyczne tablice z nazwami miejscowości.

20 lat temu Kazimiera i Jacek Wódz, socjolodzy z Uniwersytetu Śląskiego, przestrzegali: „Historia zna wiele przykładów, gdy elity, walcząc o los całej takiej mniejszości, zaczynają wytwarzać na użytek zewnętrzny jej wyidealizowany obraz, eksponując jej pozytywne cechy kulturowe, po to, by zyskać »prawo mówienia« o »swoich« w kodzie kultury dominującej. Tu właśnie rodzi się potrzeba mitologizacji historii”. Wydaje się jednak, że ten etap jest już zamknięty.

„Przyjrzyjmy się historii ostatnich 500 lat i temu, w jakich językach mówiono na śląskiej ziemi. To był niemiecki, czeski, polski, śląski, łacina, jidysz. Więc jednak śląskość to nie jest wyłącznie mówienie po śląsku – mówił Grzegorz Kulik, tłumacz na śląski, w wywiadzie dla OKO.press. – Więc byłbym szczęśliwy, gdybyśmy kiedyś stali się mniejszością etniczną. Właśnie dlatego, że moglibyśmy wtedy automatycznie być bardziej inkluzywni wobec osób, które niekoniecznie mówią albo nawet niekoniecznie mają potrzebę mówienia po śląsku, a są Ślązakami”.

„Nie ma też powodów, aby stawiać znak równości między prawem do zrzeszania się i ewentualną destabilizacją 38-milionowego kraju. Hasła o autonomii lansowane przez Ruch Autonomii Śląska lata temu przeszły do historii, zanim jeszcze na dobre wybrzmiały. Po prostu w 4,5-milionowym województwie śląskim, zdominowanym przez napływowy żywioł jednoznacznie do bólu polski, nie ma szczypty przyzwolenia na jakiekolwiek odrębności od Polski. Ale na większą samorządową przestrzeń – już tak!”, napisali na profilu Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej jego działacze Pejter Długosz i Wojciech Glensk po wyroku trybunału w Strasburgu.

Z kolei Zbigniew Rokita stwierdził: „Trwanie w skansenie to kulturowy wyrok śmierci, a jedyną szansą jest zaproszenie innych do śląskości, stworzenie tożsamości na wolnej licencji, przewietrzenie jej, czyli, mówiąc po naszemu: *przeluftowanie*”. I to jest pole do dialogu między polskością a śląskością.

Dariusz Zalega

KSIĄŻKI

Henryk Waniek
Wędrowiec śląski
W.A.B., Warszawa 2024

„Z pozoru Śląsk jest dobrze znany, a jednak ciągle skrywa wiele tajemnic. Ten fakt odzywa się już to w powieściach Andrzeja Sapkowskiego, Olgi Tokarczuk, Szczepana Twardocha i długiej listy pisarzy (oraz poetów) czerpiących inspirację z tego regionu. Sam do nich należę i czasem żartuję, że poza Śląskiem już nic mnie nie ciekawi…” – Henryk Waniek (ur. 1942) odkrywa przed czytelnikami Śląsk, opisując go z niezwykłą wrażliwością. W erudycyjny i inteligentny sposób opowiada o kraju i krajobrazie, o ludziach i duchowych związkach, które w różnym czasie łączyły Polaków, Niemców, Czechów i Ślązaków. Ten autorski wybór esejów obejmuje teksty, które znalazły się wcześniej w innych zbiorach, a także te dotychczas nieujęte w publikacjach książkowych.

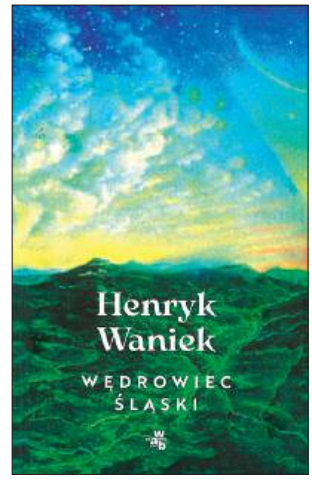

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Z Galicji

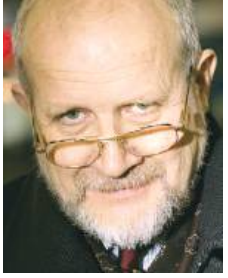

Jan Widacki

Lewica współrządzi

Wydawać by się mogło, że polska lewica jest w sytuacji niemal komfortowej. Współrządzi, no, może lekko przesadziłem, w każdym razie wchodzi w skład rządzącej koalicji, ma swoich ministrów i wiceministrów, wicemarszałka Sejmu. Ma też dwudziestu kilku posłów, tak że w razie czego jest komu pisać zapytania poselskie i interpelacje. Upływ czasu i związana z nim biologia, a co za tym idzie, wymiana pokoleniowa, pozwoliły jej oderwać się w oczach społeczeństwa od dziedzictwa PRL. To już naprawdę inna lewica niż ta z początku lat 90.

Istotą lewicy jest to, że bierze w obronę słabszych. W XIX i XX w. ci słabsi to była przede wszystkim klasa robotnicza w miastach, biedne chłopstwo na wsi, ale także kobiety w zdominowanym przez mężczyzn świecie. Lewica domagała się dla nich równych praw. Politycznych, społecznych, ekonomicznych. Domagała się dostępu do dóbr materialnych, dostępu do edukacji, do opieki zdrowotnej. Cele lewicy nie zmieniły się do dziś. Ma występować w obronie słabszych, ma podejmować działania w ich imieniu. Tylko w warunkach XXI w. musi na nowo zdefiniować tych słabszych. Uwarunkowania społeczno-gospodarcze zmieniły się zasadniczo nie tylko w stosunku do wieku XIX, ale nawet w stosunku do połowy XX w. Na pewno do tych słabszych, o których trzeba się upominać, wciąż jeszcze należą kobiety. Choć daleko nie wszystkie!

W konserwatywnej Polsce nadal, zwłaszcza na wsi, przeważa patriarchalny model rodziny, z dominującą rolą męża i ojca. Dramat zaczyna się wówczas, gdy ten dominujący mąż i ojciec jest pijakiem, psychopatą czy sadystą. Nierozerwalność katolickiego małżeństwa, na straży którego stoi Kościół katolicki, zmusza kobietę do tkwienia w takim związku. Tkwienia w ciągłym upokorzeniu, strachu przed przemocą fizyczną, psychiczną i często seksualną. Słusznie lewica bierze kobiety w obronę, choć czasem robi to przesadnie, zrażając do siebie sojuszników. Czymże, jak nie przesadą, była histeryczna, momentami wręcz chamska reakcja na słuszną skądinąd decyzję marszałka Sejmu o przesunięciu debaty nad projektem ustawy liberalizującej przerywanie ciąży. Przesunięciu… aż o dwa tygodnie!

Ale zdominowane przez mężczyzn kobiety (swoją drogą ile ich jest, ile pragnie odmiany swojego losu – czy ktoś to badał?) to niejedyne istoty, które wymagają opieki ze strony lewicy. Owszem, lewica wspiera też środowiska LGBT. Bardzo słusznie. Nie słyszałem jednak, by posłowie lewicy czy jej ministrowie dostrzegali wciąż istniejący problem ludzkich tragedii na białoruskiej granicy. Gdzie wciąż dokonywane są bezwzględne pushbacki, kobiety i dzieci wciąż są wypychane do lasu, traktowane brutalnie, bite. Alarmują w tej sprawie aktywiści społeczni i wolontariusze i co? Czy był tam ostatnio któryś z posłów lewicy? Czy posłuchał aktywistów, miejscowej ludności, a może odwiedził ośrodek dla uchodźców, do którego trafili „szczęśliwcy" po nieudanym czwartym czy piątym „pushbackowaniu" przez Straż Graniczną? A może rozmawiał z lekarzami z tamtejszych szpitali o ich pacjentach, którzy po operacjach, w tym amputacjach odmrożonych kończyn, byli wywożeni przez Straż Graniczną na powrót do lasu? Był tam któryś z posłów lewicy? Złożył jakąś interpelację? Interweniował w inny sposób? A może przypadki ewidentnego przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy zgłosił do prokuratury?

Polsce potrzeba pilnie rozsądnej, całościowej polityki migracyjnej. Czy lewica ma tu jakiś projekt albo choćby pomysł?

Swoją drogą, tym funkcjonariuszom, żołnierzom i policjantom, którym przyszło pełnić służbę na białoruskiej granicy, też serdecznie współczuję. Mało który znalazł się tam z własnej woli. Mało który robił to, co robił, z ochotą, a jeśli już z biegiem czasu nabrał ochoty, tym bardziej mu współczuję.

Wiem, że problem jest trudny. Wiem, że nie rozwiąże się go na granicy. Można zbudować drugą, a może trzecią linię płotu, a przestrzeń między płotami patrolować z użyciem abramsów, wszystko na nic. Polsce potrzeba pilnie rozsądnej, całościowej polityki migracyjnej. Czy lewica ma tu jakiś projekt albo choćby pomysł? Czy próbuje zapoczątkować jakąś ogólnonarodową dyskusję na ten temat? Czy próbowała zebrać na jakiejś zwołanej przez siebie konferencji ekspertów i wysłuchać ich zdania? Nie słyszałem.

Tymczasem lewica wynajduje sobie dość osobliwych podopiecznych. Okazało się, że opieki lewicy wymaga jeden z kandydatów na prezydenta Krakowa, były poseł Platformy, deklarujący się jako skrajny liberał, dziś zadłużony, ale wydający ogromne sumy na kampanię milioner. Wsparcia udzieliła mu posłanka ultralewicowej partii Razem. Czy on wymaga wsparcia lewicy dlatego, że taki biedny, bo zadłużony? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Wezwania do zawieszenia broni

Kolejne napięcia między Izraelem a zachodnimi partnerami ujawniają ułomność ładu międzynarodowego

Jakub Katulski

Pomimo przegłosowanej 25 marca przez Radę Bezpieczeństwa ONZ rezolucji wzywającej do natychmiastowego zawieszenia broni w Strefie Gazy na czas ramadanu intensywność walk ani trochę nie zmalała. Co więcej, ofiarami nadal są cywile, a także pracownicy humanitarni niosący pomoc mieszkańcom Gazy, którym według Światowego Programu Żywnościowego zagraża klęska głodu. Trudno jednak udzielać pomocy, jeśli konwoje humanitarne brane są na cel przez walczące strony, nawet gdy dzieje się to bez premedytacji.

Dyskusja o bezpieczeństwie pracowników humanitarnych rozgorzała na początku kwietnia, po tym jak w Strefie Gazy zginęło siedmioro wolontariuszy World Central Kitchen, organizacji zajmującej się dostarczaniem posiłków osobom poszkodowanym w kryzysach, kataklizmach i konfliktach zbrojnych. W Dajr al-Balah, niemal stutysięcznym mieście w centralnej części Strefy Gazy, konwój złożony z trzech samochodów (w tym dwóch opancerzonych) wyładował 100 ton żywności w magazynie. Według doniesień WCK organizacja skoordynowała trasę, którą miał się poruszać konwój, z izraelską armią, a ponadto zdecydowano się operować na obszarze aktualnie nieobjętym działaniami wojskowymi. Co więcej, samochody były wyraźnie oznakowane, co umożliwiało ich zidentyfikowanie jako pojazdów należących do organizacji humanitarnej.

Krótko po wyładowaniu żywności i opuszczeniu magazynu samochody zostały trafione pociskami, a siedmioro wolontariuszy z Australii, Polski, Wielkiej Brytanii, Kanady i Palestyny zginęło na miejscu. To wydarzenie poruszyło społeczność międzynarodową, zwłaszcza w krajach, z których pochodzą ofiary.

Już 2 kwietnia minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski zapewnił, że osobiście skontaktował się z izraelskim ambasadorem, domagając się od niego wyjaśnień, tym bardziej że w jednym z samochodów zginął Damian Soból, 36-latek z Przemyśla. Według słów Sikorskiego ambasador Jaakow Liwne obiecał, że Polska wkrótce otrzyma wyniki izraelskiego śledztwa, wyjaśniające okoliczności śmierci wolontariuszy. Jednak tego samego dnia dyplomata z oburzeniem reagował na krytyczne komentarze polskich polityków odnoszące się do izraelskich działań w Gazie.

Izraelczycy nie są zainteresowani umiędzynarodowieniem śledztwa w sprawie konwoju humanitarnego.

Jego oburzenie wywołały przede wszystkim słowa Krzysztofa Bosaka i Anny-Marii Żukowskiej. Prawicowy polityk zasugerował w mediach społecznościowych, że „celem izraelskiego dowództwa jest sterroryzowanie organizacji humanitarnych i narastanie klęski głodu wśród Palestyńczyków", podczas gdy posłanka Lewicy, kojarzona ze wsparciem, jakiego udziela Izraelowi, napisała: „Izrael, zamordowaliście naszego obywatela, cywila. Ludzie za to odpowiedzialni mają stanąć przed sądem. Rodzina ma dostać od Państwa Izrael zadośćuczynienie".

Jaakow Liwne odpowiedział, że „antysemici zawsze pozostaną antysemitami", a skrajna lewica i skrajna prawica atakują Izrael. Wypomniał także ubiegłoroczny antysemicki incydent – zgaszenie przez Grzegorza Brauna gaśnicą świec chanukowych w parlamencie.

Komentarz nie spodobał się Sikorskiemu, który w mediach doradził ambasadorowi „więcej pokory", przypominając, że armia izraelska „nie pierwszy raz nadużyła siły", choćby kilka miesięcy temu, gdy zabiła własnych obywateli – zakładników, którzy machali białymi flagami i mówili do żołnierzy po hebrajsku. Minister zaznaczył też, że atak na konwój humanitarny i zabicie niosących pomoc cywilnych wolontariuszy nie może być uzasadnione podejrzeniem, że w konwoju ukrywa się terrorysta.

Sikorski odniósł się tym samym do artykułów w izraelskich mediach. W raporcie dziennika „Ha-Arec" można przeczytać, że izraelski dron Hermes 450 wystrzelił pociski w kierunku konwoju z powodu podejrzenia, że znajdował się tam uzbrojony bojownik Hamasu. Jednak autor artykułu Yaniv Kubovich już w tytule zaznacza, że mężczyzny w konwoju nie było.

Dr Mateusz Piątkowski z Uniwersytetu Łódzkiego podkreśla, że międzynarodowe prawo humanitarne obejmuje pracowników organizacji udzielających pomocy taką samą ochroną jak osoby cywilne znajdujące się w strefie działań zbrojnych. „Osoby zajmujące się dystrybucją pomocy przede wszystkim mają ochronę przynależną osobom cywilnym, czyli tak jak ludność cywilna nie mogą być obiektem ataku. Oczywiście prawo międzynarodowe zakłada, że w pewnych warunkach osoba cywilna może utracić swoją ochronę na czas bezpośredniego uczestnictwa w działaniach zbrojnych".

Piątkowski zauważa jednak, że zaklasyfikowanie ataku na konwój World Central Kitchen jako zbrodni wojennej może nie być proste: „Wszelkie sprawy dotyczące bombardowań czy ataków

eprasa.pl 92d2cb7ecb

W wyniku izraelskiego ataku zginęło siedmioro wolontariuszy organizacji pomocowej.

z powietrza to część prawa haskiego i tam jest problem z zamiarem. Ten zamiar (ataku na ludność cywilną – przyp. JK) musi być udowodniony. Musi być jasne, że dowódca w chwili podejmowania decyzji o ataku, a nie po fakcie, oceniając po jego skutkach, miał świadomość, że rozmyślnie atakuje osobę cywilną czy obiekt cywilny. Tutaj wiele wskazuje, że wolontariusze poruszali się samochodami ze znakami podmiotu uważanego powszechnie za organizacją humanitarną o raczej nieszkodliwym zakresie działalności. Tak naprawdę wszystkie okoliczności z reguły są ustalane przed jakimś organem sądowym".

Choć polscy politycy domagają się od Izraela współpracy z polską prokuraturą, która już 3 kwietnia wszczęła śledztwo w sprawie zabójstwa Damiana Sobola (zabójstwa z wykorzystaniem materiałów wybuchowych, nie zaś nieumyślnego spowodowania śmierci, jak zapewne oczekiwałaby strona izraelska), to wypowiedzi ambasadora Izraela dla TVP World i Kanału Zero wprost ujawniły, że Izraelczycy nie są zainteresowani umiędzynarodowieniem śledztwa, zamierzają przeprowadzić je we własnym zakresie i podzielić się wynikami z odpowiednimi instytucjami.

Rządy państw, których obywatele zginęli w ataku na konwój, powinny stworzyć wspólny front i wzmocnić naciski na Izrael w celu doprowadzenia do współpracy z ich własnymi śledczymi, a być może nawet wniesienia oskarżenia do Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Izrael już dzisiaj co rusz słyszy wezwania do umożliwienia dostaw pomocy humanitarnej i stosowania się do prawa międzynarodowego.

Izrael już dzisiaj od niemal wszystkich zagranicznych partnerów i instytucji międzynarodowych co rusz słyszy wezwania do zawieszenia broni, umożliwienia dostaw pomocy humanitarnej i stosowania się do prawa międzynarodowego, ale zdają się one jedynie retoryką i nie pociągają realnych działań. Dodatkowo w ostatnich tygodniach Izrael nie daje podstaw, by ufać, że przebieg śledztwa czy postępowanie Sił Obrony Izraela będą zgodne z konwencjami międzynarodowymi i dostosowane do treści źródeł prawa.

Wyraźnie widać to choćby w ignorowaniu rezolucji 2728, ponieważ nie udało się doprowadzić do przerwania walk. Przeszkodę stanowią m.in. USA, których urzędnicy dzisiaj przekonują, że rezolucja nie jest prawnie wiążąca, choć powszechna interpretacja prawa międzynarodowego zakłada, że uchwalane przez Radę Bezpieczeństwa ONZ dokumenty tej rangi są źródłem prawa. W przypadku tej konkretnej rezolucji wytrychem ma być fakt, że jej treść nie odwołuje się do Rozdziału VII Karty Narodów Zjednoczonych, pozwalającego na zastosowanie środków koniecznych do „utrzymania lub przywrócenia międzynarodowego pokoju". Tym samym niektórzy prawnicy uważają, że ta rezolucja jest „bezzębna".

Brak reakcji na łamanie rezolucji pokazuje jednak, że system Narodów Zjednoczonych stracił powagę, a kolejne napięcia między partnerami w stosunkach międzynarodowych tylko pogłębią jego erozję. Jedynym rozwiązaniem jest, by państwa oczekiwały od siebie przestrzegania międzynarodowych konwencji. Bez tego wszelkie bezpieczniki, które tworzone były z myślą o ochronie ludności cywilnej, jeńców wojennych czy prywatnego mienia, mogą się okazać warte tyle co papier, na którym je spisano. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Joe Biden a Donald Trump

Rozmawia Tonya Mosley

Waga zbliżających się wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych nie podlega dyskusji. Są one kluczowe nie tylko dla przyszłości Ameryki, ale także dla Europy. Szczególnie zaś dla Polski, ze względu na przybierającą coraz groźniejszy obrót wojnę rosyjsko-ukraińską (osobną kwestią jest objaśnienie, dlaczego nie słuchano realistów politycznych nawołujących do zawarcia pokoju w momencie, gdy fortuna sprzyjała Ukrainie). Rzecz jasna, z racji globalnej pozycji USA wynik wyborów wpłynie na kierunek rozwoju całej światowej polityki. Publikowane ostatnio badania opinii zarejestrowanych wyborców amerykańskich dają byłemu prezydentowi Donaldowi Trumpowi 5% przewagi nad obecnie urzędującym (48% do 43%).

Na początku stycznia 2024 r. Evan Osnos – dziennikarz „New Yorkera" piszący o polityce, w tym międzynarodowej, autor trzech książek i zdobywca National Book Award 2014 – przeprowadził wywiad z urzędującym prezydentem Joem Bidenem. Notabene jedna ze wspomnianych książek to biografia Bidena. 4 marca zaś ukazał się na łamach „New Yorkera" jego artykuł „Joe Biden's Last Campaign" (Ostatnia kampania Joego Bidena). Tekst ów to nie tyle zapis konwersacji, ile narracja Osnosa oparta na wypowiedziach prezydenta Bidena. Jeszcze ciekawsza wydaje się rozmowa, którą z Osnosem odbyła Tonya Mosley w National Public Radio (NPR) po ukazaniu się wspomnianego artykułu. NPR to radiowy odpowiednik telewizji CNN – a zatem główne medium amerykańskie odzwierciedlające w dużej mierze polityczną i ideową linię Partii Demokratycznej. Rozmowa, której fragmenty prezentujemy, ukazała się w witrynie internetowej NPR 6 marca 2024 r. Z całością można się zapoznać pod adresem: www.npr.org/2024/03/06/1236271744/how-bidens-campaign-strategy-has-changed-from-four-years-ago. Polski tytuł wywiadu pochodzi od tłumacza.

EVAN OSNOS
– dziennikarz „New Yorkera", autor trzech książek i zdobywca National Book Award

(…) Joe Biden (w wywiadzie ze stycznia 2024 r. – przyp. P.K.) powiedział panu wprost, że uważa się za jedyną osobę, która nie tylko pokonała Donalda Trumpa w przeszłości, ale również może to zrobić ponownie. Zastanawiam się, w jaki sposób język i skupienie na Trumpie odróżniały tę waszą rozmowę od poprzedniej.

– (…) Ostatni raz rozmawiałem z Joem Bidenem o jego nadziejach prezydenckich latem 2020 r., w trakcie pandemii. (…) Wówczas umieszczał on ubieganie się o prezydenturę w szerszym spektrum spraw, takich jak kwestie rasowe, gospodarcze, przejście przez pandemię. Chodziło w jego przekonaniu o doprowadzenie kraju do normalniejszego stanu. Tym razem uderzyło mnie natychmiast, (…) że postrzega on Trumpa jako zagadnienie centralne. Że naprawdę doszliśmy do kluczowego dla kraju momentu, w którym trzeba zdecydować, czy chce się mieć tego człowieka z powrotem u władzy. Myślę, że dla Joego Bidena musi być w pewnym sensie fascynujące, że po 50 latach w polityce jego życie i jego dziedzictwo splatają się z osobą tak odmienną pod względem zarówno politycznym, jak i każdym innym. (…)

(…) Jak wygląda harmonogram kampanii Bidena w porównaniu z tym sprzed czterech lat?

– Wie pani, co mnie uderza? Wiele mówiące jest to, gdzie ci dwaj ludzie rozpoczęli swoje kampanie wyborcze. Pierwszy wiec kampanii Donalda Trumpa odbył się w Waco w Teksasie (…), w miejscu starcia agentów federalnych z wyznawcami sekty w 1993 r. (chodzi o apokaliptyczną sektę znaną jako Gałąź Dawidowa – przyp. P.K.), które symbolizuje skrajnie prawicowy ruch antyrządowy. Donald Trump zorganizował tam pierwszy wiec i odtworzył pieśń śpiewaną w więzieniu przez insurekcjonistów z 6 stycznia (osoby szturmujące w tym dniu Kapitol – przyp. P.K.). Przesłaniem był antyrządowy opór. Chodziło o 6 stycznia. Fascynujące jest, że pierwszy wiec Joego Bidena w roku 2024 także dotyczył daty 6 stycznia, ale w zasadniczo odmienny sposób. Odbył się blisko Valley Forge w Pensylwanii, dokąd, jak wiadomo, Jerzy Waszyngton przyprowadził wojsko zimą 1775 r. (w rzeczywistości Waszyngton i jego żołnierze obozowali tam w trudnych warunkach zimą 1777/1778 r. – przyp. red.). Przesłanie, które wybrzmiało, było takie,

FOT. ANDREAS PEIN/LAIF/FORUM

eprasa.pl 92d2cb7ecb

że naprawdę chodzi o amerykańską wolność. (…) Mamy kampanię prezydencką, która nie dotyczy polityki edukacyjnej, służby zdrowia czy tym podobnych rzeczy. Chodzi nade wszystko o to, czy idea amerykańskiej demokracji jest zdrowa i trwała, czy też rzeczywiście będziemy mieli prezydenta, który podaje ją w wątpliwość od pierwszego dnia kampanijnych zmagań o reelekcję. Nigdy wcześniej nie mieliśmy z czymś takim do czynienia. (…)

(…) Pisze pan o strategii i niektórych zaufanych ludziach Bidena, takich jak Mike Donilon, który jest z Bidenem od bardzo dawna. Kim jest Mike Donilon? Jak wpływa na obecną strategię (…)?

– Mike Donilon to naprawdę ważna figura w świecie Joego Bidena. Rozumie, jak Joe Biden myśli. (…) Donilon dokonał doniosłego, strategicznego wyboru opartego, jak mówi, na własnych doświadczeniach. Jest w polityce od bardzo wielu lat. Przywołuje rok 2004, gdy John Kerry walczył o prezydenturę z George'em W. Bushem. Wówczas Partia Demokratyczna próbowała wielu różnych przekazów. Demokraci sądzili, że wyborcy być może zagłosują na nich, bo sprzeciwiają się wojnie w Iraku, a może dlatego, że nie są usatysfakcjonowani stanem gospodarki, lub po prostu z uwagi na ogólną wrogość do Busha. Wniosek Mike'a Donilona jest taki, że był to błąd, że tą kampanią zawsze rządziły pamięć i trauma 11 września. Chociaż minęły trzy lata, był to wciąż dominujący element. Donilon stwierdził: „Postanowiłem nigdy nie brać udziału w kampanii, w której nie jest jasno powiedziane, o co chodzi w wyborach". Tym razem, powiada on, wybory dotyczą 6 stycznia i walki o uratowanie demokracji. To jest punkt centralny. „Sądzę – powiedział mi Donilon – że wraz ze zbliżaniem się dnia wyborów ta sprawa coraz mocniej będzie zaprzątać ludzkie umysły" (…). Oczywiście są demokraci – tacy jak David Axelrod – którzy nie zgadzają się z tą strategią, ale rzeczą zasadniczą jest, by ta strategia wybrzmiała i żebyśmy wiedzieli, jak wygląda.

Chciałabym porozmawiać chwilę o sposobach komunikacji, ponieważ Biden nie udziela częstych wywiadów. Nie oglądamy zbyt wielu nagrań, jak się wypowiada. Mamy filmiki w mediach społecznościowych, np. mem, na którym ma laserowe oczy, co budzi ambiwalentne reakcje. Axelrod także o tym mówił. Stwierdził, że jest zmartwiony tego rodzaju strategią. (…)

– (…) Trump przyzwyczaił nas do tego, że widzimy prezydenta cały czas. Zaczynamy dostrzegać, że w kampanii Bidena mówi się, że musimy znaleźć sposoby na przekazanie ludziom naszych treści, naszych spraw, naszych dokonań legislacyjnych. Lecz musimy to zrobić tak, aby uwypuklało to atuty prezydenta. Usłyszałem od wyborcy, że nie potrzebuje on nieustannie widzieć Bidena na scenie, jak przemawia. Chce jednak widzieć go w interakcjach z ludźmi, zobaczyć, że jest osobą pełną empatii, którą, mam nadzieję, istotnie jest. To jeden ze sposobów na uwypuklenie różnicy pomiędzy Donaldem Trumpem – wiemy, jakiego rodzaju rzeczy mówi on w mediach społecznościowych codziennie – a Joem Bidenem, który nie należy do pokolenia social mediów, ale musi znaleźć sposób na dotarcie do wyborców, szczególnie młodych, którzy będą dokonywać wyboru częściowo na podstawie informacji znalezionych w internecie.

Pomówmy o tym, w jaki sposób prezydent Biden pracuje z Kongresem. (…)

– Sądzę, że Biden zawsze myślał w ten sposób: pomimo wszystkich różnic ciągle w pewnych kwestiach możemy się dogadać z republikanami. Byli przecież w stanie uchwalać ustawy. Mam na myśli np. dwupartyjną ustawę dotyczącą infrastruktury, uchwalenie świadczeń dla weteranów itp. Ale w przypadku tej wielkiej kwestii, tej dziwnej kombinacji granicy (z Meksykiem – przyp. P.K.), Ukrainy i funduszy dla Izraela, widoczne są ograniczenia tej strategii, ponieważ, koniec końców, Partia Republikańska robi to, czego chce Trump. (…) I widzieliśmy, że nawet gdy republikanie napisali ustawę dotyczącą granicy, ostatecznie odrzucili ją, gdyż tak kazał im Donald Trump. Oznacza to, że strategia podejmowania na przestrzeni lat współpracy z republikanami w pewnym sensie wyczerpała się. Myślę, że po raz pierwszy Joe Biden postawił tę sprawę tak jasno (…). [Demokraci] muszą znaleźć inne sposoby rozwiązywania problemów. (…)

Chciałabym zmienić nieco temat i zapytać o coś, na czym prawica koncentruje się od wielu lat. Jak Joe Biden postrzega skupienie się republikanów na jego synu Hunterze? Wiemy, że oczekuje on na proces w Kalifornii z powodu zarzutów dotyczących podatków federalnych i że wykorzystał swoje nazwisko w szeroko krytykowanym przedsięwzięciu biznesowym, wchodząc do zarządu spółki energetycznej w Ukrainie. Trzeba odnotować, że nie ma dowodów, iż prezydent Biden był uwikłany w którąś z tych spraw (…).

– Gdy Joe Biden mówi o swoim synu Hunterze, w jego głosie wyczuć można wyraźny niepokój. I, szczerze mówiąc, chodzi tu nie tyle o kłopoty z prawem, ile o historię jego uzależnienia i sposób, w jaki jego życie się rozpadło. Myślę jednak, że presja wywierana na Huntera przez republikanów i prokuratorów w rzeczywistości zjednoczyła tę rodzinę. Mam na myśli to, że nie widzimy Joego Bidena odwracającego się od syna lub niezapraszającego go na różnego typu wydarzenia. Sądzę, że ludzie pamiętają, że rodzina Bidenów przeszła próbę ognia – najpierw śmierć żony prezydenta, następnie córki, a potem, w 2015 r., syna Beau. Joe Biden często nazywa Huntera swoim żyjącym synem, co wiele mówi o jego emocjach. Sam Hunter wystąpił i oświadczył, że strategia republikanów ma na celu wywieranie na niego tak dużej presji, aby z powrotem wpadł

Dla Joego Bidena musi być fascynujące, że po 50 latach w polityce jego życie i dziedzictwo splatają się z osobą tak odmienną pod względem politycznym.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

w uzależnienie, co zmusiłoby jego ojca do wycofania się z wyścigu prezydenckiego. Tak sprawy widzi Hunter. Mówi o tym publicznie. Jeśli chodzi o Joego Bidena, to owo swoiste oblężenie jego rodziny podkreśliło osobisty charakter walki z Donaldem Trumpem. Jest to moment, w którym Biden czuje, że broni siebie i dobrego imienia rodziny. (…)

W artykule wskazał pan niepokojącą sprawę: połowa respondentów pytanych przez CBS w styczniu jest zdania, że strona, która przegra nadchodzące wybory, będzie się uciekać do przemocy. Czy Biden odniósł się do tego lęku?

– Rozmawialiśmy na ten temat, ponieważ jest jasne, że to coś, co pozostaje w całkowitej sprzeczności z jego koncepcją kraju i amerykańskiej polityki. Powiedział mi, że po prostu nie może uwierzyć, że Amerykanie zagłosują na kogoś, kto popierał przemoc w polityce. (…) Prawie niemożliwe dla niego jest wyobrazić sobie, że ludzie zagłosują na Trumpa po 6 stycznia. (…) I powiedział bardzo stanowczo, że nie ma wątpliwości, iż Donald Trump będzie kontestował wynik wyborów, niezależnie od tego, jaki on się okaże. Stwierdził: myślę, że Trump zrobi wszystko, aby uniknąć kolejnej porażki, i w zasadzie przygotowuję się, że Trump zrobi to samo, co ostatnim razem. Zapytałem, co dokładnie ma na myśli, jeśli chodzi o przemoc w wyborach. Odpowiedział, że wszystko to, co ostatnio, plus… Ostatnio był to szturm na Kapitol. Tym razem może być to samo i coś więcej. Biden nie wyjaśnił dokładnie, o czym mówi, ale myślę, że demokraci obawiają się, że mogą zostać podjęte próby zakłócenia głosowania, liczenia głosów, uniemożliwienia ludziom dotarcia do urn. (…)

Biden powiedział mi w pewnym momencie, że prasa zobojętniała na retorykę Donalda Trumpa. Zobojętniała na myśl, że najzwyczajniej groził on wypowiedzeniem konstytucji lub czymś w tym stylu. Bidena niepokoi to, że zbyt wiele uwagi poświęca się jego wiekowi, a zbyt mało temu, do jakiego stopnia Donald Trump uosabia radykalne zerwanie z historią amerykańskiej demokracji. (…)

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Dług studencki i amerykańskie wybory

Jak program umarzania pożyczek studenckich mógłby połączyć wyborców i uratować Bidena

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Edukacja jest przepustką do lepszej przyszłości? Być może, ale wierzy w to coraz mniej Amerykanów, którzy swój gigantyczny dług studencki spłacają niekiedy i do emerytury. Joe Biden zainicjował program umarzania tego długu, jednak zabrał się do tego nie z tej strony, z której trzeba.

Aż trudno uwierzyć, że ledwie dwa pokolenia wstecz amerykański student był w stanie opłacić czesne i wyżyć z dorywczej pracy w wymiarze kilkunastu godzin tygodniowo, ewentualnie z oszczędności za dwa-trzy miesiące pracy w wakacje. I to za najniższą stawkę. Roczny koszt studiów, łącznie z kosztami utrzymania, na uczelni państwowej (te w Ameryce nigdy nie były bezpłatne) wynosił wówczas równowartość dzisiejszych 6 tys. dol. Obecnie rok nauki na tej samej uczelni kosztuje grubo ponad 30 tys. dol., a ponad 20 tys. dol., jeśli jest się rezydentem stanu, w którym podejmuje się studia. Nawet gdyby jakimś cudem student zdołał uczyć się i jednocześnie pracować w pełnym wymiarze godzin za 12 dol. za godzinę (średnia stawka minimalna w USA, choć w wielu stanach pozostaje ona na poziomie 7,20 dol. za godzinę), uzyskane w ten sposób przychody i tak byłyby niewystarczające – da to bowiem jedynie 20 tys. dol. na rękę. Nie mając innego wyjścia, nawet najbardziej pracowici Amerykanie edukację wyższą finansują więc już prawie wyłącznie z kredytów studenckich, a że ceny studiów (z wielu przyczyn, o których nie będę teraz pisać, bo robiłam to na tych łamach kilkakrotnie) rosną jak oszalałe, także dług studencki bije coraz to nowe rekordy. W ostatnim kwartale minionego roku wyniósł 1,73 bln dol. Spłaca go obecnie już 43 mln Amerykanów, czyli co szósty dorosły, w tym aż 9 mln osób po pięćdziesiątce, i jest on po kredycie hipotecznym, kredycie samochodowym oraz długach na kartach kredytowych czwartym największym obciążeniem finansowym statystycznego gospodarstwa domowego, odpowiadając za 10% całkowitego zadłużenia tegoż gospodarstwa (Departament Edukacji, 2023).

Przez dług studencki do narodu „robociarzy”

Ekonomiści nie od dziś alarmują, że to tykająca bomba, która wybuchnie w rękach nie tylko pożyczkobiorców. Im ten dług większy, tym mniejsze możliwości finansowe ludzi, którzy są nim obciążeni, a więc mniej pieniędzy, które mogłyby stymulować gospodarkę w postaci inwestycji lub większej konsumpcji. W ostatnich kilku latach pojawiła się nowa bolączka, choć oczywiście można ją było przewidzieć. Astronomiczne koszty edukacji wyższej, przez które trzeba

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Sąd Najwyższy blokuje prezydenckie inicjatywy umarzania długu studenckiego. Nz. protest przed siedzibą SN 30 czerwca 2023 r.

coraz bardziej się zadłużać, zniechęcają rosnące rzesze młodych do podejmowania studiów w ogóle. Na początku kwietnia „Wall Street Journal" opublikował raport pod znamiennym tytułem „How Gen Z Is Becoming A Toolbelt Generation" (Jak zetki zmieniają się w generację robociarzy). Nie zabrakło w nim peanów na cześć „odwagi" tego pokolenia, które literalnie stawia sobie za cel „kształtowanie przyszłości własnymi rękami".

Niestety, puchnące szeregi hydraulików i elektryków, choć to dobra nowina dla wszystkich, którzy remontują lub w najbliższej przyszłości będą remontować swoje domy i mieszkania, to tragiczna wiadomość dla amerykańskich pracodawców, którym potrzebni są specjaliści, innowatorzy i liderzy ze specjalistyczną wiedzą w konkretnych dziedzinach. Braki takich kadr odczuwalne są już dzisiaj, a perspektywa, że kryzys będzie się nasilał, stawia pod znakiem zapytania przyszłość Ameryki, szczególnie jako lidera postępu technologicznego.

Przez dług studencki do nowej wojny wyborczej

Temat długu studenckiego wybrzmiewał w kuluarach krajowej polityki już od jakiegoś czasu, ale dopiero Joe Biden oficjalnie włączył go do swoich flagowych obietnic wyborczych w 2020 r., zapowiadając ulgi finansowe, w tym umorzenie co najmniej 10 tys. dol. tego typu długu osobom, które spełniają kryteria dochodowe – przynależą do klasy pracującej lub niższej średniej. Hasło okazało się strzałem w dziesiątkę, bo Biden zgarnął rekordowe poparcie najmłodszego elektoratu. Zagłosowało na niego aż 65% osób w wieku 18-24 lata.

Od początku jednak było wiadomo, że droga do realizacji tych obietnic będzie wyboista. Przede wszystkim dlatego, że w Stanach Zjednoczonych pomysły, by cokolwiek komukolwiek darować czy zwalniać człowieka z odpowiedzialności, nigdy nie cieszyły się popularnością. W narodzie zbudowanym na idei samodzielności i przedsiębiorczości pachną komunizmem, a ten do dziś uważany jest za największego wroga.

Pierwsze próby zrealizowania wyborczej obietnicy Bidena rozpoczęły się już latem 2021 r. Demokraci przedstawili ustawę, która nadałaby planom prezydenta formalne ramy prawne, ale republikański Kongres nawet nie przyjął jej na wokandę. Prezydent musiał działać samodzielnie, w związku z czym w sierpniu 2022 r. wydał w tej sprawie dekret. Umarzał on 10 tys. dol. długu osobom z niskimi dochodami i 20 tys. dol. posiadaczom pożyczek Pell przyznawanych studentom najuboższym. Jako podstawę prawną do tego posunięcia Biden wykorzystał Higher Education Relief Opportunities for Students Act (HEROES Act – Ustawa o możliwościach ulg dla studentów w szkolnictwie wyższym) z 2003 r., na mocy którego Kongres wyposażył Departament Edukacji w narzędzia do redukcji długu lub zmiany wysokości rat tym studentom, którzy z powodu trudnej sytuacji życiowej nie są w stanie spłacać swoich pożyczek.

Prawica nie zwlekała z odpowiedzią i już miesiąc później, występując jako koalicja sześciu stanów z republikańskimi gubernatorami (Nebraska, Missouri, Arkansas, Iowa, Kansas i Karolina Południowa), oskarżyła Bidena i Departament Edukacji o złamanie prawa. Dokładnie o to, że HEROES Act nie upoważnia ich do umarzania studenckich długów, to może autoryzować jedynie Kongres. Choć postępowanie prawne zablokowało Białemu Domowi działanie, przez dwa miesiące, gdy było to jeszcze możliwe, Biden zdołał umorzyć ponad 120 mld dol. długu 3,9 mln osób. A potem wydał kolejne rozporządzenie, przedłużające wszystkim pożyczkobiorcom okres wolny od spłaty rat do momentu rozpatrzenia sprawy przez Sąd Najwyższy w czerwcu 2023 r. Przedłużające, gdyż do października 2022 r. wciąż obowiązywało zamrożenie spłat wprowadzone jeszcze przez Trumpa

Kredyty studenckie spłaca już 43 mln Amerykanów, czyli co szósty dorosły, w tym aż 9 mln osób po pięćdziesiątce.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

w marcu 2020 r. w ramach pomocy covidowej.

Sąd Najwyższy przychylił się do wniosku prezydenckich oponentów. Co jednak ciekawe, uzasadniając werdykt, przewodniczący SN, sędzia John Roberts, zasygnalizował, że sytuacja wokół długu studenckiego jest kryzysowa i należy szukać rozwiązań. „Nie odpowiedzieliśmy niniejszym na pytanie, czy coś powinno być w tej sprawie zrobione, a jedynie kto powinien to zrobić", napisał Roberts w orzeczeniu.

Biały Dom nie złożył oczywiście broni i z końcem stycznia tego roku wyszedł z kolejną inicjatywą. Nazwana została SAVE – skrót od Saving on a Valuable Education (Oszczędność na Cennej Edukacji) – i generalnie oferuje zadłużonym lepsze warunki spłaty długu. Dopuszcza nawet całkowite jego umorzenie, jeśli pożyczka została zaciągnięta na sfinansowanie studiów magisterskich lub wyżej, a dłużnik dokonuje płatności od co najmniej 20 lat, ewentualnie kwota pierwotnej pożyczki wynosiła mniej niż 12 tys. dol. i była spłacana przez co najmniej 10 lat. Pieniądze przeznaczone na umorzenie długów w ramach SAVE w trybie natychmiastowym to 1,2 mld dol., ale Biden chce poświęcić na ten cel do 550 mld dol. w ciągu najbliższej dekady.

Kolejna odsłona prezydenckiej wojny z długiem studenckim miała miejsce w marcu i tym razem jest to ukłon w stronę pracowników budżetówki. Przypominając o istniejącym już od 2007 r. prawie o nazwie Public Service Loan Forgiveness (PSLF, Umorzenie długu za służbę państwową), Biden ogłosił, że zgodnie z tymi przepisami zwolni z długu wszystkich, którzy spłacali swoje zobowiązania przez 10 lat lub więcej.

W chwili gdy powstawał ten tekst, przeciwnicy prezydenckich planów wnieśli przeciwko Bidenowi i Departamentowi Edukacji kolejny pozew zbiorowy, tym razem jako 11 republikańskich stanów pod przewodnictwem prokuratora generalnego stanu Kansas Krisa Kobacha. Argument pozostał ten sam: prezydent działa bezprawnie, bo bez zgody Kongresu. Warto tu dodać, że w ciągu zaledwie dwóch miesięcy do programu SAVE zapisało się ponad 7,5 mln osób, większość po to, by skorzystać z oferty obniżenia odsetek. Strona pozywająca domaga się jednak skasowania całego programu SAVE.

Przez dług studencki do walki z systemową dysfunkcją

Tyle wyjaśnień, o co chodzi i jakie są stawki w najnowszej wojnie, która szykuje grunt pod najbliższe wybory. W sens umarzania ludziom długów można wierzyć lub nie, to sprawa dużo bardziej indywidualna i skomplikowana niż np. opinia na temat opieki medycznej. Brak wyższego wykształcenia, w przeciwieństwie do braku dostępu do lekarza, raczej dla nikogo nie kończy się śmiercią, choć może się przyczynić do biedy, która pogorszy stan naszego zdrowia. Z ideą umarzania długu studenckiego mają więc problem nie tylko konserwatyści, ale i demokraci – ci, którzy bronią poglądu, że istnieje granica w wyciąganiu do ludzi pomocnej dłoni, bo nie można wyrobić w społeczeństwie poczucia, że rząd finansuje nieodpowiedzialne zachowania obywateli. Jako grupie zaś demokratom nie podoba się to, że pokonany na polu powszechnego umorzenia długu Biden działa po kawałku, odciążając nie tych, którzy potrzebują tego najbardziej. Pożyczkobiorcy z 20-letnim stażem płatności to zazwyczaj, z racji wieku i okresu zatrudnienia, osoby nieźle sytuowane, a spłata długu stanowi dla nich o wiele mniejszą przeszkodę w realizacji życiowych celów niż dla ludzi młodszych i zadłużonych na wyższe sumy.

Jak to bywa, gdy sprawa jest kontrowersyjna i ma zabarwienie ideologiczne, wojenne wrzaski zagłuszają tych, którzy przypominają, że jej sedno leży gdzie indziej.

„Chodzi o to, że żadna z inicjatyw Bidena (po werdykcie Sądu Najwyższego – przyp. aut.) nie jest niczym nowym. Przyciśnięty przez prezydenta Departament Edukacji jedynie bowiem »naprawił« to, co w systemie już istniało, lecz z różnych przyczyn nie działało", wyjaśnia David Dayen, dziennikarz śledczy i redaktor naczelny magazynu „American Prospect". „Osoby objęte programami umarzania długów to przecież ci, którzy padli ofiarą oszustw, stali się inwalidami lub zapisali się do programu spłaty, który gwarantował umorzenie długu, i w świetle prawa dawno powinni otrzymać ulgi. Fakt, że ich nie otrzymali i wciąż są obciążeni setkami miliardów dolarów zadłużenia, to tylko dowód, jak chory i niewydolny stał się nasz system finansowania edukacji wyższej. Oszukiwał i naciągał ludzi przez lata. Musiała wkroczyć do niego polityka, by zaczęło się sprzątanie tego bałaganu", napisał Dayen w artykule „Why Four Million Student Borrowers Got Debt Relief" (Dlaczego cztery miliony studentów zostało zwolnionych z długu) z 23 lutego br.

Połowa wyborców uważa umorzenie długu studenckiego i reformę systemu pożyczek studenckich za jedną z najważniejszych kwestii.

Przez dług studencki do poszanowania litery prawa

O jakich od dawna istniejących przepisach mówi David Dayen? Po pierwsze, o programie umarzania długów studentom oszukanym przez działające dla zysku uczelnie for-profit (ostatni wielki skandal wybuchł w 2015 r. w związku z ujawnieniem fałszerstw finansowych w sieci szkół Corinthian Colleges, które dotknęły 560 tys. osób). Pożyczkobiorcy przysługuje w takiej sytuacji prawo do zwolnienia z długu na mocy Ustawy o edukacji wyższej jeszcze z 1965 r. Fakty są jednak takie, że zarówno Obama, jak i Trump blokowali ten program, a minister edukacji w gabinecie Trumpa Betsy DeVos przekonywała nawet publicznie, że chodzi w nim o częściowe, nie całkowite umorzenie długu, co jest nieprawdą. Ta sama ustawa stanowi, że osoba, która po zaciągnięciu

eprasa.pl 92d2cb7ecb

pożyczki studenckiej staje się osobą niepełnosprawną, również nabywa prawo do zwolnienia ze zobowiązań finansowych. Wspomniany już program PSLF ma 17 lat, natomiast inicjatywa SAVE to nic innego jak nowelizacja programu Income-Driven Repayment (IDR – Program spłat wedle dochodów), który też nie jest niczym nowym, rząd uruchomił go w roku 1992.

Gdy zapytać kogokolwiek, kto spłaca w USA dług studencki, co jest w tym najtrudniejsze, odpowiedź zwykle brzmi: niewiarygodne przeszkody, jakie trzeba pokonać, jeśli chce się dochodzić swoich praw i skorzystać z jakiegokolwiek programu ulg. Większość wniosków jest bowiem odrzucana z urzędu, a procedury rozpatrywania potrafią ciągnąć się latami. W tym czasie narastają odsetki, a osoby, które stają się niewypłacalne, doprowadza to nawet do bankructwa. Najlepszym przykładem, a zarazem dowodem na dysfunkcję branży finansowania pożyczek studenckich, jest działanie programu PSLF. W ciągu kilkunastu lat jego istnienia z gwarantowanych przezeń przywilejów skorzystało… 7 tys. osób. I nie był to bynajmniej efekt braku zainteresowania tym programem (Department of Education, 2023). Liczba dłużników, którzy po rozporządzeniu Bidena uwolnili się od długu dzięki PSLF, wyniosła 77 tys. osób.

Przez dług studencki do reformy systemu finansów

Skąd ta dysfunkcja? „Stąd, że podstawą systemu finansowania edukacji wyższej z biegiem czasu stała się rozległa sieć firm prywatnych, u których Departament Edukacji kontraktował usługi. Efektem tych decyzji był chaos, którego dziś już nikt nie ogarnia – wyjaśnia ekonomistka z Harvardu Susan Dynarski w eseju „Why I Changed My Mind On Student Debt Forgiveness (Dlaczego zmieniłam zdanie w kwestii umarzania długu studenckiego, „New York Times", 3 sierpnia 2022).

Prof. Dynarski wylicza, z czym dokładnie mierzą się pożyczkobiorcy: „Instytucje typu Government Accountability Office czy Consumer Financial Protection Bureau od lat wykazują, że kontraktorzy nawalają z rejestracją przelewów, gubią dokumenty, a także błędnie naliczają odsetki. Powstały w ten sposób, a powołany do życia przez rząd biurokratyczny bałagan nie tylko jest powodem ogromnej frustracji, ale też wpędza rzesze ludzi w niewypłacalność ze wszystkimi tego tragicznymi skutkami".

W sondażach przeprowadzanych pod koniec marca br. aż połowa wyborców przyznała, że umorzenie długu studenckiego i reformę systemu finansowania pożyczek studenckich uważa za jedną z najważniejszych kwestii wyborczych. Wśród młodych z pokolenia Z, którzy przyznają, że długiem studenckim obciążona jest co czwarta osoba w ich najbliższej rodzinie, odsetek ten sięga aż 70%. Program umorzenia przynajmniej części długu popiera połowa zetek zarejestrowanych do głosowania jako republikanie (SocialSphere, 15 marca 2024).

Przez dług studencki do nowego wizerunku prezydenta

Trudno oprzeć się refleksji, że gdyby cała sprawa od początku została nieco inaczej przedstawiona, gdyby Biały Dom wyszedł z przekazem, że nade wszystko chodzi tu o wywiązanie się przez rząd z dawnych zobowiązań, mogłaby ona stać się nie kolejnym murem dzielącym Amerykanów, ale celem, wokół którego wyborcy, pierwszy raz od długiego czasu, zjednoczyliby się. Kto wie, czy i sam ubiegający się o reelekcję Joe Biden nie skorzystałby na tym politycznie. Jako stateczny, solidny woźny, który naprawia błędy i sprząta po innych, wydaje się o wiele bardziej wiarygodny niż jako wizjoner, na jakiego usiłuje pozować. Wyborcom niestety, świadomym jego wieku i związanych z nim ograniczeń, dających o sobie znać publicznie, coraz trudniej tego wizjonera w nim zobaczyć.

Nie znaczy to, że Biden nim nie jest. Nawet jeśli zakończy prezydenturę w styczniu przyszłego roku, jego spuścizna będzie imponująca i kto wie, może z czasem zacznie się ją porównywać z tą, którą zostawił po sobie inny „sprzątacz" po wielkim kryzysie, Franklin Delano Roosevelt. Rzecz tym bardziej warta przemyślenia, że Trump nie tylko nie zapowiada żadnych napraw, ale już ogłasza, gdzie ma zamiar narobić nowego bałaganu.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Jordan Bardella uwielbia się fotografować z Marine Le Pen i mówi o niej jako o mentorce, ale sam jest już politykiem nowego typu.

Delfin tronu suwerenności

Jordan Bardella to nowe wcielenie francuskiej skrajnej prawicy. Skuteczniejsze niż Marine Le Pen

Mateusz Mazzini

Krótko ścięte włosy, idealnie ogolona twarz, co podkreśla jego ostro zarysowane kości policzkowe. Granatowy garnitur czasami zamieni na czarny golf, krawat jest najwyżej dodatkiem. Nie to, co szeroki, wręcz hollywoodzki uśmiech, prezentowany do kamer przy każdej okazji. Wysoki, postawny, koszule ciasno się na nim opinają. Do tego stopnia, że jego wspólne zdjęcia z Marine Le Pen, która przecież nie stroni od krótkich spódnic i wysokich obcasów, prowokują insynuacje na temat ich życia prywatnego. Zwłaszcza że ich główny konkurent polityczny, Emmanuel Macron, jest w związku z kobietą starszą o 24 lata. Różnica wieku między twarzami francuskiej skrajnej prawicy jest wprawdzie trzy lata większa, ale taki obrazek stanowiłby kamień węgielny pod polityczną narrację o odbiciu Republiki z rąk moralnie skorumpowanych sił progresywnych. Skojarzenia nasuwają się same, opowieść składa się w spójną całość.

W dodatku jest o tyle prawdopodobna, że Jordan Bardella naprawdę został namaszczony przez Marine Le Pen nie tylko do przejęcia władzy na prawicy, ale też do rozpoczęcia procesu odnowy społeczeństwa i polityki nad Sekwaną. We wrześniu skończy 29 lat. Na zdominowanej przez gerontokrację scenie politycznej Europy to wiek wręcz juniorski, choć nad Sekwaną akurat młodych do wielkiej gry dopuszcza się wcześniej niż w innych krajach. Dość przypomnieć, że szefem rządu jest tam w tej chwili 35-letni Gabriel Attal, najmłodszy premier na Starym Kontynencie.

Jednocześnie Bardella wcale nie jest politycznym młokosem. Pierwszy raz zaangażował się w politykę w 2012 r., w wieku zaledwie 16 lat. Rozklejał na przedmieściach Paryża, skąd pochodzi, plakaty wyborcze Le Pen, jego idolki, mentorki, osoby głęboko podziwianej. Taka metryczka socjologiczna jest aż nazbyt stereotypowa dla środowiska politycznego, które Bardella reprezentuje.

Lekcja przedmieść

Urodził się w Saint-Denis, na północnych przedmieściach stolicy

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Francji. Życie w tym miejscu ma niewiele wspólnego z pocztówkowymi klimatami Paryża. Od dekad przybywa tu coraz więcej migrantów – początkowo z południa Europy, potem z Maghrebu, dzisiaj z Bliskiego Wschodu, Afganistanu, postradzieckich republik Azji Centralnej. Znacznie wyższe są tu statystyki bezdomności, drobnej przestępczości, odsetki uczniów, którzy nie kończą szkół. Saint-Denis to jedno z tych miejsc, które najlepiej obrazują niemoc francuskiego aparatu państwowego wobec wyzwania, jakim była asymilacja migrantów przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

Próżno tu szukać estetycznych parków i starych kamienic. To raczej betonowa dżungla, po której trzeba umieć się poruszać. Nikt tu nie przyjdzie z pomocą, a już na pewno nie zrobi tego policja, która często tutejszą młodzież prześladuje, stosując nieproporcjonalną przemoc. Jordan wie, jak trudno się żyje w takich miejscach, bo wychowywała go samodzielnie matka, córka włoskich imigrantów. Dorastał w ogromnym kompleksie mieszkań komunalnych, gdzie raz po raz natykał się na deficyty w państwowych usługach. Niedziałające windy, niedocieplone mieszkania, niewykwalifikowani nauczyciele, którzy nieustannie się zmieniali. Jeśli te doświadczenia cokolwiek mu dały, to utwierdziły go w przekonaniu, że nie jest to Francja, w której chce żyć.

Narracja Zjednoczenia Narodowego, wtedy jeszcze funkcjonującego pod pierwotną nazwą Front Narodowy, trafiła więc na bardzo podatny grunt. Akurat kiedy młody Jordan biegał z wiaderkiem kleju po blokowiskach, w szeregach partii następowała zmiana generacyjna. Jean-Marie Le Pen, założyciel ugrupowania i patron całej prawicy we Francji, stawał się coraz bardziej niestrawny nawet dla najbardziej zdeterminowanego elektoratu. Nigdy nie zrezygnował z wypowiedzi antysemickich, rasistowskich, ksenofobicznych, rzucał je w miarę regularnie na forum polityki krajowej i międzynarodowej, w Parlamencie Europejskim. Analogie z Januszem Korwin-Mikkem są tu jak najbardziej na miejscu, bo za każdym razem, kiedy wydawało się, że Front ma szansę przebić szklany sufit, ojciec założyciel odpalał protokół autodestrukcji dosłownie na finiszu kampanii wyborczej.

Ponadto aktyw partyjny był przekonany, że Jean-Marie życiowy sukces ma już za sobą. W wyborach prezydenckich z 2002 r. zdobył prawie 17% głosów, co dało mu drugie miejsce i wejście do drugiej tury. Tam jednak zbudowano wokół niego szczelny kordon sanitarny i Jacques Chirac wygrał w cuglach. W 2007 r. przypadło mu już miejsce czwarte, w kolejnej elekcji nie startował. Zastąpiła go córka Marine i w 2015 r. zadała mu ostateczny cios, usuwając z partii, którą sam założył. Jordan dołączył do prawicy na fali tych pokoleniowych przemian. Nie wiedział wtedy, że kolejnej zmianie warty będzie przewodził on sam.

Jednym z budulców sukcesu Bardelli jest przewidywalność, zerwanie z wizerunkiem prawicowego chuligana.

Bardella reprezentuje nurt nowoczesnej prawicy, który zakłada zmianę tradycyjnych postulatów, by uniknąć oskarżeń o rasizm, ksenofobię czy antysemityzm.

Brakujące ogniwo

Pomimo szumnych zapowiedzi Marine Le Pen też nie udało się zmienić Zjednoczenia w partię, która byłaby tak zakorzeniona w głównym nurcie, że przynajmniej nie budziłaby obrzydzenia części centroprawicowego elektoratu. A właśnie tych głosów – mieszczańskich republikanów z klasy średniej, zakochanych w mitach de Gaulle'a i Valéry'ego Giscarda d'Estaing, prawicy nacjonalistycznej brakuje, żeby przejąć władzę nad Sekwaną. Le Pen była blisko, znacznie bliżej niż ojciec. W 2022 r. pierwszą turę przegrała z Macronem zaledwie o 4,5 pkt proc., w drugiej uzyskała ponad 42% głosów. Stała się jednak przede wszystkim ponadnarodowym, wręcz ogólnoeuropejskim symbolem sprzeciwu wobec liberalnych, wielkomiejskich elit jednoznacznie popierających Unię Europejską i szeroko rozumiany powojenny porządek światowy. Doskonale wpisała się w falę narodowego populizmu, która przetoczyła się przez Europę w poprzedniej dekadzie. To ona, razem z Viktorem Orbánem, Matteo Salvinim i Jarosławem Kaczyńskim, była przez dobrych kilka lat synonimem tego, czego Bruksela bała się najbardziej.

Nadal jednak i jej, i samemu Zjednoczeniu czegoś brakowało. Trochę ciążył polityczny rodowód, nazwisko i dziedzictwo ojca. Nie pomagały powiązania finansowe z Kremlem, zwłaszcza w kontekście pełnowymiarowej agresji Rosji na Ukrainę sprzed dwóch lat. W dodatku pojawiła się konkurencja antyestablishmentowa – z obu stron sceny politycznej. Jeszcze dalej na prawo wychylił się Éric Zemmour, który przejął część antyunijnego elektoratu, upozowując się na tego, który naprawdę doprowadzi do rozwodu Paryża z Brukselą. W tej układance Le Pen była tylko pozorantką, która frexitem straszyła, ale wcale nie zamierzała do niego doprowadzić. Z kolei niektórych wyborców z klasy ludowej, zwłaszcza młodszych, przyciągnął Jean-Luc Mélenchon, prowadząc zaskakująco skuteczną kampanię. W Zjednoczeniu Narodowym dojrzewały apele o kolejną zmianę, bo z jednej strony szansa na wywrócenie stolika była większa niż kiedykolwiek, ale z drugiej partia zdawała się wyzuta z pomysłów.

Jeśli w ten sposób opisać pole politycznej gry, wybór Bardelli na szefa Zjednoczenia nie wydaje się aż tak szokującym zagraniem. Zwłaszcza że miał on za sobą niewyobrażalnie wręcz udaną dekadę działalności partyjnej. Najpierw wszedł do regio-

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 92d2cb7ecb

nalnego parlamentu Île-de-France, najważniejszego i najludniejszego okręgu we Francji. Potem kolejno: przejął władzę w partyjnej młodzieżówce, został rzecznikiem „dorosłej" partii, wszedł do europarlamentu, do ścisłego zarządu Zjednoczenia, był pełniącym obowiązki prezesa, aż wreszcie, we wrześniu 2022 r., oficjalnie przejął stery na francuskiej skrajnej prawicy.

Jordan Bardella uwielbia się fotografować z Marine Le Pen i mówi o niej jako o politycznej mentorce, ale jest politykiem nowego typu. Reprezentuje nurt, który w literaturze, zwłaszcza amerykańskiej, określa się mianem *modern right*, nowoczesnej prawicy. Zakłada on przeformułowanie wielu tradycyjnych postulatów konserwatywnych, które co do sensu pozostają identyczne, ale inaczej się je przedstawia, by uniknąć oskarżeń o rasizm, ksenofobię czy antysemityzm.

I tak Bardella otwarcie sprzeciwia się małżeństwom jednopłciowym, we Francji legalnym od 11 lat – ale nie robi tego za pomocą mało atrakcyjnych kazań o grzesznej naturze tego związku, mówi o sprzeczności tej idei z francuską tożsamością narodową. Popularnych nad Sekwaną artystów hiphopowych krytykuje, ale nie za progresywne teksty, tylko za brak szacunku dla dorobku francuskiej kultury. Sam, jak twierdzi, woli słuchać Charles'a Aznavoura. A najbardziej „Marsylianki", co zresztą widać na jego profilu na TikToku, gdzie śledzi go ponad 1 mln użytkowników. Francuski hymn jest tam najczęściej używaną ścieżką dźwiękową. Na wiecach, konwencjach, spotkaniach z francuskimi producentami żywności. W restauracjach, kawiarniach – mogłoby się wydawać, że wszędzie tam, gdzie ludzie chcą sobie zrobić zdjęcie z Bardellą, w tle ktoś intonuje hymn.

Bardella jest przy tym niesamowicie sprawny w internecie, cechuje go świetny słuch społeczny. W czasie niedawnych ogromnych protestów francuskich rolników on fotografował się na targach lokalnie produkowanej żywności. Producentów koniaku chwalił za to, że nie dali sobie narzucić unijnych regulacji dotyczących kontroli jakości i limitów produkcyjnych. Przy okazji sprytnie przemyca swój przekaz polityczny: Francja się sprzedała, we Francji najbardziej dyskryminowani są Francuzi, a „tożsamość" stała się słowem wulgarnym, wypchniętym z debaty publicznej. Jak dla każdego suwerenisty również dla niego kluczowe są kwestie bezpieczeństwa publicznego – tutaj też przeszkadza mu Europa. A konkretnie Europejski Trybunał Praw Człowieka, który jego zdaniem nie pozwala Paryżowi deportować „wszystkich dżihadystów, którzy tu mieszkają".

Ten trzeci

Jednym z budulców jego sukcesu jest przewidywalność. Bardella zerwał z wizerunkiem prawicowego chuligana. Założył dobrze skrojony garnitur, zaczął grać w grę, w której dotychczas dominowali ludzie pokroju Macrona i Attala. Próbuje, na razie bardzo skutecznie, łączyć ogień i wodę. Wyglądać jak człowiek z elit, z elitami jednocześnie walcząc. Nie traci przy tym kontaktu z przeciętnym wyborcą, choć trzyma ich na dystans. Dobrze wypada w debatach telewizyjnych, jest sprawny retorycznie, ale nieufny – z wnętrza Zjednoczenia Narodowego dochodzą głosy, że zaraz po przejęciu władzy w partii otoczył się wąskim gronem zaufanych doradców, opinii z zewnątrz do siebie nie dopuszcza. Zarzuca mu się także nadmierne skupienie na osobistej marce, próby zamiany partii w ugrupowanie wodzowskie.

Nawet jeśli to rzeczywiście jego strategia, idzie mu bardzo dobrze. W najnowszej, styczniowej edycji bardzo popularnego nad Sekwaną rankingu najbardziej lubianych celebrytów we Francji, przygotowywanego na zlecenie gazety „Le Journal du Dimanche", był jedynym politykiem w czołowej pięćdziesiątce. Zajął 30. miejsce. Marine Le Pen nigdy w tym rankingu się nie znalazła. Bardella zatem to polityk z krwi i kości, który pokazuje wyborcom, że ma zarówno charyzmę, jak i kompetencje, by rządzić. Z dawnymi antysystemowcami nie ma wiele wspólnego, bliżej mu do nowszego pokolenia prawicowych liderów, takich jak Santiago Abascal z hiszpańskiego Vox czy Per Jimmie Åkesson, przewodniczący Szwedzkich Demokratów.

W tej chwili jest najpopularniejszym i najlepiej ocenianym francuskim politykiem, ale takich rankingów nie należy brać na serio w przypadku ludzi, którzy nigdy nie sprawowali władzy. Zwłaszcza że Bardella zyskuje dzięki zagraniom możliwym wyłącznie w opozycji. Kiedy w 2019 r. Francja i Niemcy podpisały w Akwizgranie nowy traktat bilateralny o współpracy, zarzucił Emmanuelowi Macronowi, że w dokumencie zgodził się przekazać Niemcom francuskie miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Taki zapis oczywiście nie istniał, ale kiedy dziennikarze skonfrontowali Bardellę z rzeczywistością, ten odpowiedział, że „każdy ma prawo do własnych opinii".

Tak długo, jak Francja jest zakotwiczona w strukturach międzynarodowych, podobne deklaracje będą budzić strach, nieufność partnerów, wreszcie mogą spowodować izolację polityka i całego kraju. Jeśli jednak cokolwiek w architekturze relacji z Brukselą się zmieni, Bardella może tej okazji nie przepuścić. Dwójce z rodziny Le Pen nigdy się nie udało. Do trzech razy sztuka?

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Trucizna i lament

Czy to, co śmieszne, może być zarazem groźne? Biegając w kółko, PiS ściga niezmordowanie własny ogon. Słyszymy wciąż te same frazesy; nie milknie kabotyński lament przegranych. Ludzie, którzy potraktowali własny kraj jak złodziejski łup, prawią morały. Co rusz pokrzykują, że obowiązywanie prawa jest nielegalne. Za pomocą insynuacji i kłamstw inscenizują swoje polityczne marzenia. Przed oczami mają pewnie złoty wiek demokracji, kiedy to akta prokuratorskie przechowywano w garażu, a miliony z CBA wynoszono w siatce na zakupy.

Twierdzą niektórzy, że przejaskrawienia doprowadzają cały ten przekaz do absurdu, czyli politycznie go obezwładniają. Rojenia, obsesje, „prezes się odkleił", „odjechał mu peron" – takie komentarze słyszymy najczęściej. Nie bądźmy naiwni. Prezes nie odkleił się – prezes rozpoczął prace polowe: spulchnia glebę i sypie ziarno. Temu właśnie służą wszystkie ciemne sztuczki i przeinaczenia.

Inwektywy, złorzeczenia, maniakalne oskarżenia o zdradę tworzą fałszywy obraz rzeczywistości – stają się groźnym mamidłem. To nie jest żaden peron, który odjechał, to jest strategia działania, mająca umożliwić powrót do władzy. Raz się udało – kłamstwo smoleńskie zmieniło naszą historię. Bądźmy więc ostrożni – język to stan umysłów, język to stan rzeczy.

Ludzie, którzy potraktowali własny kraj jak złodziejski łup, prawią morały.

Zaglądam czasami do książki Victora Klemperera „LTI. Notatnik filologa". Lingua Tertii Imperii, LTI – język III Rzeszy. Lubię zastanawiać się nad tym, jak funkcjonuje machina kłamstwa i omamienia, jak bardzo jesteśmy bezbronni. Demaskując język nazistowskiego szaleństwa, Klemperer tłumaczył: „Nazizm przenikał w ciało i krew tłumu za pośrednictwem pojedynczych słów". Język – tak jak kamień przywiązany do szyi – może nas pociągnąć na dno, niewinne z pozoru słowa mogą stać się równią pochyłą. Trzeba tylko nadać im odpowiedni wydźwięk i wciąż powtarzać. „Słowa naród – notował Klemperer – używa się obecnie w mowie i piśmie tak często jak soli przy jedzeniu". By doprowadzić tłumy do ideologicznego obłędu, partyjni szamani muszą uczynić z wybranych słów swoje grzechotki – potrząsać nimi nieustannie, by zgłuszyć głos rozumu. I wtedy można już wszystko. Naziści mówili: naród, czyli „sami prawdziwi Germanie", i to działało. Tłumacząc na nasze, trzeba by pewnie powiedzieć: „pierwszy sort" – ci, którzy rozumieją, czym była „zbrodnia smoleńska".

Nie łudźmy się zatem, pisowskie nonsensy są w gruncie rzeczy toksycznym stymulatorem. Słowa mają zasiać pogardę, nienawiść, złość, wywołać poczucie zagrożenia, wzniecić gniew i pragnienie zemsty – zmienić ludzi w plastelinę. PiS od samego początku posługuje się hasłami radykalnej mobilizacji. Program „dobrej zmiany" pokazał to z krystaliczną wyrazistością. „Drugi sort", „komuniści i złodzieje", „zdradzieckie mordy" – oto słowa tworzące szkielet pisowskiego modlitewnika. Strach pomyśleć, że podbiły one serca wielu milionów wyborców!

Czy coś się zmieniło? Pisowska konwencja samorządowa pokazać miała nową twarz prezesa i „nowy" program, związany ze słowem TAK. Nie dajmy się nabrać, to jest ten sam program. Niektórzy komentatorzy uwierzyli – dostrzegli jakąś zmianę, jakieś dobre intencje. A przecież to jest wciąż ta sama obsesja – ta sama złość ustanawiająca nową linię podziału, zachęcająca do wrogiej konfrontacji. Słyszymy: oni mówią NIE, ich rządy to rządy „likwidatorów", my zaś jesteśmy na TAK. Są zatem ci, którzy tworzą, i ci, którzy niszczą. Co zrobić z tymi, którzy sieją zniszczenie? Wnioski nasuwają się same.

Jak widzimy, w kostiumie pozornej afirmacji tańczą widma „dobrej zmiany". W pisowskim slangu słowo TAK stało się aktem oskarżenia, deklaracją odwetu. Trzeba zlikwidować „likwidatorów" – oto program uzdrowienia polskiej demokracji. Przed oczami rysują się dość paskudne desenie.

Historyczna „zasługa" Kaczyńskiego polega na tym, że przedestylował on niejako surowy materiał – wydobył i pokazał w ostrym świetle skłonności i obsesje drzemiące w mrocznych zaułkach naszej „duszy narodowej". Wiemy już teraz, jak to może być, gdy „patrioci" ruszają po władzę. Mówimy o populizmie, ale ta etykietka ukrywa bardziej ponurą prawdę. Tu chodzi o coś więcej niż o demagogię, apetyt na władzę, deformowanie reguł demokracji. Chodzi o politykę opartą na nienawiści i kłamstwie – na hipnozie i opętaniu. Na paranoidalnym obwinianiu rywali. I wszystko w todze wzniosłości – z frazesami patriotycznymi na ustach.

W taki sposób do władzy dochodzili faszyści. Tu kończą się żarty. Nie można się ograniczać do płytkiej diagnozy opartej na haśle „odklejenia od rzeczywistości". Tu chodzi o coś zupełnie innego – o kreowanie rzeczywistości! O usprawiedliwienie polityki zemsty – usankcjonowanie odwetu jako zasady działania. To jest właśnie peron, na którym prezes czeka na swój pociąg. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 92d2cb7ecb

W nocy z 31 marca na 1 kwietnia pod Bramą Brandenburską w Berlinie kilkaset osób świętowało legalizację marihuany w Niemczech.

Kornel Wawrzyniak

Europa zielenieje

Dlaczego coraz więcej krajów decyduje się na legalizację marihuany?

Tuż przed godz. 24 w nocy z 31 marca na 1 kwietnia pod Bramą Brandenburską w Berlinie rozległy się dźwięki reggae. Dobór muzyki nie był przypadkowy. Kilkaset osób nie tylko z transparentami, ale też z jointami i fajkami wodnymi w rękach zebrało się, by świętować legalizację marihuany w Niemczech. Nowa polityka antynarkotykowa wprowadzona wraz z początkiem kwietnia u naszych zachodnich sąsiadów dopuszcza posiadanie niewielkiej ilości suszu, prywatną uprawę i legalną konsumpcję przez osoby powyżej 18. roku życia.

Niemiecki spór – uniwersalny problem

Zmiana prawa nie odbyła się jednak gładko. Wprowadzone przepisy są krytykowane przez niemiecką opozycję, która uważa, że legalizacja zioła jest prezentem dla dilerów narkotykowych – ci w nadchodzących tygodniach pozbędą się starych zapasów marihuany pochodzącej z nielegalnych upraw. Tino Sorge z CDU, który jest partyjnym ekspertem ds. polityki zdrowotnej, alarmuje, że legalizacja marihuany w obecnej formie „stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego". Inny argument przeciwko nowemu prawu podnoszą niemieckie organizacje medyków – ich zdaniem próg 18 lat jest zbyt niski. Według Niemieckiego Towarzystwa Psychiatrii i Psychoterapii dojrzewanie mózgu trwa mniej więcej do 25. roku życia. Palenie marihuany przed przekroczeniem tego progu może zwiększać ryzyko wystąpienia m.in. psychozy.

Problem z nowymi przepisami ma również związek zawodowy policji (GdP). Chodzi przede wszystkim o brak okresu przejściowego między obowiązywaniem starego i nowego prawa. Wiceprzewodniczący GdP Alexander Poitz stwierdził pod koniec marca, że wywoła to niemały chaos w służbach czy urzędach ds. młodzieży. – Wystarczające i odpowiednie przygotowanie do nowej sytuacji prawnej od 1 kwietnia jest po prostu niemożliwe – wskazywał.

Rządząca koalicja składająca się z socjaldemokratów, zielonych i liberałów ma jednak swoje kontrargumenty, przemawiające za legalizacją. – Dzisiaj kończymy z nieudaną polityką zakazów – powiedział minister zdrowia Karl Lauterbach. – Od teraz łączymy prawdziwą alternatywę dla czarnego rynku z lepszą ochroną dzieci i młodzieży. Nie mogło być nadal tak jak dotychczas – podkreślił polityk. Z danych zebranych dla niemieckiego rządu wynika, że nielegalny obrót wcale nie malał, wręcz przeciwnie. Mimo dotychczasowej penalizacji marihuany konsekwentnie zwiększała się konsumpcja konopi kupowanych od dilerów. To zaś wiąże się z dużym ryzykiem dla użytkowników. Pochodzący z czarnego rynku produkt znajduje się poza jakąkolwiek

eprasa.pl 92d2cb7ecb

kontrolą. Ogromne jest prawdopodobieństwo zanieczyszczenia suszu różnymi toksycznymi związkami, takimi jak pestycydy lub nawet opioidy. Kanadyjski „Journal of Cannabis Research" pisze, że zanieczyszczenie pestycydami i substancjami chemicznymi próbek z czarnego rynku wynosi 92%. Dla porównania – wyniki badań marihuany pochodzącej z legalnych upraw to maksymalnie 6%. W marihuanie od dilera nieznana jest także zawartość tetrahydrokannabinolu (THC), głównego składnika psychoaktywnego. Jego zawartość jest loterią, może wynosić zarówno 5%, jak i 20%.

Dekryminalizacja

Niemiecki rząd przywołuje argumenty praktyczne. Wydawany przez Amerykańskie Towarzystwo Ekonomiczne „The Journal of Economic Literature", jedno z najwyżej ocenianych czasopism z tej dziedziny, opublikował w zeszłym roku metaanalizę przeprowadzonych w USA badań dotyczących legalizacji marihuany. Okazuje się, że w tych stanach, gdzie konopie indyjskie są legalne, zmniejszyło się spożycie alkoholu i spadła o 10% liczba wypadków samochodowych. O prawie 10% zmalała też liczba nieletnich palaczy marihuany, ponieważ sprzedawcy muszą sprawdzać dowody osobiste tak samo jak przy handlu alkoholem. Dilerzy takiego obowiązku nie mają.

Najwięcej argumentów za dekryminalizacją marihuany dostarcza przypadek Portugalii. W 2001 r. stała się ona pierwszym krajem, który zdekryminalizował wszystkie narkotyki. Był to rewolucyjny zwrot, ponieważ wcześniej Portugalia miała jedno z najsurowszych praw antynarkotykowych. Efekty zastąpienia kar pomocą dla uzależnionych były już po paru latach tak widoczne, że Portugalia stała się symbolem współczesnej polityki narkotykowej. Szybko okazało się, że jeśli użytkownikowi narkotyków nie grozi więzienie, a zaledwie mandat, taka osoba szybciej zgłosi się po odpowiednią pomoc, będąc w kryzysie. Narkoman zgłaszający się na leczenie to często jednostka, którą udaje się odzyskać dla społeczeństwa – oto realny plus takiej polityki.

Tymczasem Polska uprawia bardzo specyficzną walkę z przemysłem narkotykowym. Do roku 2000 posiadanie na własny użytek niewielkich ilości narkotyków w ogóle nie podlegało w naszym prawie karze. Motywacją do zmiany przepisów było to, że złapanych dilerów trzeba było puszczać wolno, bo deklarowali, że posiadany przez nich towar jest tylko do użytku prywatnego. Według danych zebranych przez Polską Sieć Polityki Narkotykowej dzięki zmianom w przepisach między 1999 a 2007 r. wykrywalność przestępstw posiadania narkotyków zwiększyła się z niecałych 2% do prawie 32%.

Sukces? Niekoniecznie. Sęk w tym, że zmienione przepisy uderzyły głównie w osoby, które rzeczywiście miały np. susz na własny użytek. Nagłe zaostrzenie kar nie zmniejszyło przy tym popytu na narkotyki ani podaży. Liczba poważnych przestępstw narkotykowych wcale się nie zmieniła. Czyli dilerzy pozostali bezkarni, a oberwali jedynie pechowi użytkownicy. W raporcie przygotowanym przez PSPN wypowiadali się również policjanci i prokuratorzy, którzy sami stwierdzają, że ich działania były nieskuteczne.

A może legalizacja?

W Europie widać w ostatnich latach zwrot w polityce narkotykowej. W Czechach można mieć do 15 g konopi indyjskich przy sobie, i to już od 2010 r. Kary za posiadanie niewielkich ilości i używanie nie obowiązują też w Holandii, Austrii, Hiszpanii, Belgii, Chorwacji, Słowenii, we Włoszech i na Malcie. Ta ostatnia w 2021 r. jako pierwsza w Unii Europejskiej zalegalizowała marihuanę. Belgia przymierza się zaś do częściowej legalizacji konopi. Wicepremier Pierre-Yves Dermagne nawołuje do legalizacji, argumentując, że to najlepszy sposób na kontrolę marihuany.

Wracając na nasze podwórko, zdaniem Andrzeja Dołeckiego ze stowarzyszenia Wolne Konopie tylko z akcyzy za marihuanę do skarbu państwa mogłoby wpływać jakieś 15 mld zł rocznie. Dziś te pieniądze idą do mafijnych kieszeni. Dołecki uważa, że ludzi ciągnie do tego, co zakazane. Według aktywisty tuż po legalizacji odnotowuje się wzrost, a następnie spadek użycia. W USA jednak, gdzie w części stanów zalegalizowano konopie indyjskie, nie okazało się to do końca prawdą.

„W ostatnich latach w całej Ameryce obserwujemy trend zwyżkowy, jeśli chodzi o używanie marihuany, ale teraz odkryliśmy, że zmiana ta jest najintensywniejsza w stanach, w których konopie są zalegalizowane", twierdzi badaczka Stephanie Zellers na łamach pisma „Addiction". Przeprowadzone przez naukowców z University of Minnesota i University of Colorado w 2022 r. badanie, które objęło ponad 3,4 tys. dorosłych bliźniąt, pokazało, że legalizacja znacząco wpłynęła na wzrost użycia marihuany.

Badacze śledzili rozwój bliźniaków jednojajowych od urodzenia aż do dorosłości w dwóch stanach: w Minnesocie, gdzie marihuana jest nielegalna, i w Kolorado, czyli jednym z pierwszych stanów, w których dopuszczono rekreacyjne użycie konopi indyjskich. Bliźniaki mieszkające w Kolorado zaczęły palić o 24% więcej marihuany od rodzeństwa pozostającego w Minnesocie, gdzie zioło jest nielegalne. Kiedy konopie były nielegalne w obu stanach, różnice w użyciu były niewielkie. Według naukowców wspólne geny, wpływ tych samych rodziców i norm społecznych, jak również najczęściej taki sam status społeczny potwierdzają, że legalizacja ma wpływ na wzrost użycia narkotyku.

Zielone wcale nie takie fajne

W dyskusji o marihuanie widać ogromną polaryzację. Mało mówi się racjonalnie o jej złych stronach. Dyskurs obejmuje dwa skrajne obozy. Przeciwników opowiadających o zgubnym wpływie konopi i zwolenników, którzy najczęściej oskarżają tych pierwszych o niewiedzę i demonizowanie marihuany. Mitem jest jednak, że narkotyk ten nie uzależnia i nie ma negatywnych skutków. Bagatelizacja wynika przede wszystkim

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

z faktu, że bez realnej dyskusji społeczeństwo nie jest na bieżąco z podstawowymi danymi. Kupując marihuanę nielegalnie, użytkownicy nie są świadomi, jakie właściwości ma susz. Być może stąd ogólny pogląd o konopiach, że te nie uzależniają. W latach 90. stężenie THC w marihuanie wynosiło 5-7%. Dziś przez modyfikację genetyczną ilość substancji psychoaktywnej sięga nawet 20%.

Terapeuci uzależnień jednoznacznie wskazują, że wbrew stereotypom marihuana uzależnia fizycznie; negatywne konsekwencje jej zażywania nie pojawiają się też od razu, lecz po pewnym czasie. Objawy odstawienne jak najbardziej występują, chociaż nie są tak oczywiste jak w przypadku alkoholu czy opiatów. To np. połączenie bólu głowy, zmęczenia i gorączki przypominające przeziębienie. Innym wydaje się, że mają migrenę. Nie znaczy to, że należy zakazywać marihuany. Powinno się natomiast mieć ją na oku, tak samo jak inne używki, chociażby alkohol.

Mimo wszystkich skutków ubocznych dużo mniej niepokojący wydaje się obrazek, jaki udało mi się zaobserwować jakiś czas temu w Las Vegas. W środku dnia można wejść do salonu sprzedaży marihuany, który wystrojem nie ustępuje wypasionym salonom Apple'a. Tu również obsługa nosi koszulki w jednym kolorze. Susz, niczym sprzęt elektroniczny, znajduje się w gablotach, które mają specjalne otwory pozwalające go powąchać. Obok znajdują się tabliczki z dokładnym opisem produktu, jego mocą i spodziewanymi efektami po zażyciu (na pobudzenie, na relaks itd.). Obsługa pyta, czy ktoś jest pierwszy raz, doradza i służy pomocą. Coś takiego może oburzać przeciwników marihuany, ale pomyślmy, że w razie jakichkolwiek kłopotów zdrowotnych po zażyciu takiego produktu można pojechać na izbę przyjęć i dostać odpowiednią pomoc. To zdecydowanie lepsze niż śmierć po wstrząsie anafilaktycznym, który wywołają chemikalia w suszu nieznanego pochodzenia.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Anna J. Dudek

26 kwietnia 2023 r. weszła w życie europejska dyrektywa work-life balance, zmieniająca m.in. zasady przyznawania urlopów rodzicielskich. Jak? Zgodnie z nowymi przepisami każdemu z rodziców przysługuje dziewięć tygodni urlopu, którego nie można przenieść na drugiego rodzica. Ojcowie zyskali: mają nie tylko dwa tygodnie w pełni płatnego urlopu ojcowskiego, na wykorzystanie którego jest rok, ale także owe dziewięć tygodni „nieprzechodniego" urlopu, czyli takiego, którego nie można przekazać matce dziecka, płatnego w wysokości 70% pensji, a który można wykorzystać do końca roku, w którym dziecko skończy sześć lat, i jeszcze 32 tygodnie urlopu rodzicielskiego do dowolnego podziału z matką dziecka (można po połowie lub w innych proporcjach). Ten urlop jest płatny w zależności od formy rozliczenia wybranej przez matkę po porodzie – albo 70%, albo 81,5% podstawy wynagrodzenia. Tata może też przejąć sześć tygodni urlopu macierzyńskiego, jeśli mama nie będzie mogła lub chciała go wykorzystać. Ten urlop jest płatny 100% podstawy wynagrodzenia.

Wśród wielu pozytywnych efektów takiej równościowej polityki rodzinnej wymienia się przede wszystkim większe zaangażowanie ojców w opiekę nad dziećmi, ale również bardziej sprawiedliwy, partnerski podział obowiązków i ułatwienie kobietom powrotu do pracy.

Wciąż mało, ale coraz więcej

„Nowe przepisy sprawiają, że dodatkowy urlop jest nietransferowalny i musi skorzystać z niego ojciec, a nie matka. To wielka i dobra zmiana, zarówno jeśli chodzi o podział obowiązków domowych, jak i o nawiązywanie więzi z dzieckiem, którą buduje się od samego początku. Cieszy mnie fakt, że nie jest to oddolna inicjatywa, ale przepisy, które mają moc. Pracodawcy będą musieli podejść do tego tematu z większą uwagą i wspierać pracowników w ich decyzjach. To z kolei prowadzi do mniejszych przerw w karierze mamy dziecka, która i tak wystarczająco często spotyka się z tzw. zawodową karą za macierzyństwo", komentował zmiany Łukasz Dominiak, bloger znany w sieci jako twórca profilu Who's Your Daddy, poświęconego kwestiom rodzicielstwa, a zwłaszcza ojcostwa.

Adam, który w ubiegłym roku wykorzystał urlop rodzicielski: Wcześniej nawet nie wiedziałem, że jest taka opcja – że to ja mogę być z dzieckiem w domu. Znajomi i rodzina trochę się dziwili, ale szybko im przeszło. W końcu to dziewięć tygodni, nie rok. Oczywiście nazywanie tego czasu urlopem to grube nieporozumienie, bo to praca na pełny etat, ale też fajna odmiana od trybu praca-dom. A najważniejsze, że mogłem cały czas być z synem, chociaż ogarnięcie wszystkiego naraz nie jest łatwe.

W 2022 r. z krótkiego, dwutygodniowego urlopu ojcowskiego skorzystało wprawdzie 180 tys. mężczyzn, ale już z urlopu rodzicielskiego – ok. 4 tys.

Do tej pory w Polsce z urlopów ojcowskich i rodzicielskich korzystał niewielki procent mężczyzn. W 2022 r. z krótkiego, dwutygodniowego urlopu ojcowskiego skorzystało wprawdzie 180 tys. mężczyzn, ale już z urlopu rodzicielskiego – ok. 4 tys. Jak podaje Fundacja Share The Care, zajmująca się promocją partnerstwa i popularyzująca wiedzę na temat praw ojców, już po pierwszym półroczu 2023 r. okazało się, że liczba ojców na rodzicielskim przekroczyła trzykrotnie tę z roku poprzedniego.

„Jeszcze przed wdrożeniem dyrektywy work-life balance widzimy wyraźny wzrost liczby ojców przebywających na urlopie rodzicielskim. Przed wejściem w życie nowych zmian liczba ojców na rodzicielskim przekroczyła liczbę wszystkich ojców, którzy

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Tata na urlopie

Coraz więcej mężczyzn decyduje się skorzystać z urlopu rodzicielskiego i być z dzieckiem w domu

skorzystali z urlopu w całym roku 2022", można przeczytać na stronie fundacji. Z badań Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika zaś, że dzisiejsi ojcowie chcą spędzać więcej czasu z dziećmi i bardziej angażować się w ich wychowanie.

Mężczyźni się boją

To brak wiedzy i mentalność związana z tradycyjnym postrzeganiem ról kobiety i mężczyzny sprawiały, że do tej pory bardzo niewielki procent ojców korzystał z urlopu rodzicielskiego. Mężczyźni obawiali się tego, jak będą postrzegani, jeśli spędzą kilka tygodni w domu z dzieckiem, czyli przejmą rolę tradycyjnie uważaną za kobiecą, jak potraktują ów urlop współpracownicy i szef, czy nie skończy się to utratą pracy. Badania PIE wskazują, że aż 60% mężczyzn odczuwa obawy przed pójściem na urlop, ponieważ boi się negatywnej reakcji szefa.

Karolina Andrian, prezeska Fundacji Share The Care: „Nawet 6% ojców na urlopie rodzicielskim to wciąż mało, dlatego można uważać takich mężczyzn za rodzynków – albo trendsetterów. Choć niektórzy lubią pisać o takich ojcach jako o bohaterach, oni sami postrzegają to zupełnie inaczej. To po prostu wzięcie swojej części odpowiedzialności i obowiązków opiekuńczych oraz chęć towarzyszenia i budowania więzi ze swoim dzieckiem od samego początku. Potrzebujemy jednak większej kampanii społecznej na temat praw ojców odnośnie do urlopów po urodzeniu się dziecka i ich roli w wychowaniu dzieci. Jednym z naszych postulatów jest włączenie ojców do programu podstawowej edukacji okołoporodowej – aby przygotować ich do ich roli i oswoić lęki oraz obiekcje – również ich partnerek. Rola kobiet jest tutaj bardzo ważna, bo ich akceptacja i wsparcie przyniesie efekty w postaci właśnie posiadania partnera, a nie pomocnika w wychowaniu dzieci. Kolejna grupa to pracodawcy. Badania Polskiego Instytutu Ekonomicznego pokazują, że zdecydowana większość ojców spodziewa się nieprzychylnej reakcji pracodawcy na ich wniosek o urlop rodzicielski. Edukacja pracodawców na temat pożytków z urlopu rodzicielskiego ojców przyniesie korzyści nie tylko samym ojcom, ale przede wszystkim pracującym matkom oraz samym pracodawcom i naszej gospodarce. Po prostu równość w domu i na rynku pracy opłaca się wszystkim".

Piotr: Od początku wiedzieliśmy, że skorzystamy z tego rozwiązania, bo dokładnie w czasie, kiedy mogłem

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 92d2cb7ecb

skorzystać z urlopu, żona miała egzamin końcowy na aplikacji adwokackiej i jasne było, że potrzebuje się do niego intensywnie przygotować. Oboje byliśmy w domu, ale to ja w ciągu dnia zajmowałem się córką, a ona się uczyła.

Równi w domu, równi w pracy

Wiele firm zareagowało pozytywnie na dyrektywę i nowe przepisy dotyczące pracowników, którzy mogą skorzystać z dziewięciotygodniowego urlopu. Przygotowywano kampanie informacyjne, powstawały poradniki, magazyn „Forbes" tworzy zaś ranking firm, które wspierają rodzicielską równość. Z badania zrealizowanego przez Global Compact Network Poland w 2022 r. wynika, że 90% przedsiębiorstw miało świadomość powstania dyrektywy i tego, że wkrótce wejdzie ona w życie, starało się więc przygotować zarówno w zakresie dostępności informacji, jak i procedur. To istotne, bo badania prowadzone w krajach, w których od lat polityka rodzinna jest zorientowana na partnerstwo i równość – w Szwecji, Norwegii czy Niemczech – unaoczniają prostą zależność: im więcej współpracowników korzysta z urlopu rodzicielskiego, tym łatwiej się na to zdecydować. Wciąż jednak jest wiele do zrobienia, bo wydrukowane broszury to jedno, a życie drugie.

Michał: Do tej pory się nad tym nie zastanawiałem, ale pewnie skorzystałbym z takiej opcji, by zostać z dzieckiem w domu. To jest coś, co facet może i moim zdaniem powinien zrobić, to jest po prostu jego moment. Pytanie, jak zareagowałby na to szef.

To dlatego Fundacja Share The Care zaczęła współpracę z ZUS. Bo, jak mówi Karolina Andrian, Polska do tej pory była w ogonie Europy. „Mam jednak nadzieję, że ten trend właśnie się odwrócił i w ciągu pięciu lat dogonimy czołówkę. Jako fundacja podpisaliśmy umowę o współpracy z ZUS. Ta instytucja ma do odegrania kluczową rolę, bo jest podstawowym i wiarygodnym źródłem informacji dla młodych rodziców i pracodawców oraz obsługuje transfery związane z rodzicielstwem. Pierwszym wspólnym projektem będzie kampania »Równi w domu – równi w pracy«, zaplanowana na kwiecień, czyli rok po wdrożeniu dyrektywy work-life balance. Podczas konferencji inaugurującej kampanię zaprezentujemy raport na temat wykorzystania świadczeń dla rodziców w ciągu minionego roku oraz płynące z naszych danych wnioski. Wspólnie z partnerami biznesowymi, naukowcami, badaczami oraz przedstawicielami organizacji pozarządowych zastanowimy się, co jeszcze możemy zrobić, aby popularyzować rozwiązania dla rodziców i likwidować zidentyfikowane bariery natury społeczno-prawnej". Spójność polityki społecznej jest kluczowa.

Równość rodzicielska jest jednym z kluczowych aspektów równości płci, szczególnie na rynku pracy.

Im więcej współpracowników korzysta z urlopu rodzicielskiego, tym łatwiej na to się zdecydować.

Co istotne, aż 85% badanych popiera dziewięciotygodniowe urlopy rodzicielskie dla ojców, a dwie trzecie respondentów popiera ograniczenie urlopów ojcowskich do pierwszego roku życia dziecka. To wyniki sondażu zrealizowanego przez serwis Pracuj.pl. Dodatkowo trzy czwarte ankietowanych spodziewa się pozytywnego wpływu regulacji na zaangażowanie ojców, choć co trzeci ojciec dostrzega niechęć szefów do urlopów rodzicielskich mężczyzn. Jedna trzecia ogółu badanych dostrzega występowanie tzw. kary za macierzyństwo. To obserwowane na całym świecie zjawisko społeczno-ekonomiczne, polegające na tym, że na rynku pracy matki mają niższe zarobki niż ojcowie. Odmienne traktowanie ze względu na płeć widać także w wysokości emerytur, innym prawie do ubezpieczeń społecznych i możliwościach uczestnictwa w życiu publicznym oraz nierównych szansach na rozwój osobisty.

Partnerzy, nie pomocnicy

Karolina Andrian: „Wdrożenie dyrektywy work-life balance było przełomowym krokiem w budowaniu równości rodzicielskiej w Polsce. Zmiany prawne otworzyły furtkę do szerszej zmiany społecznej, która już stała u naszego progu. 58% Polaków deklaruje partnerski model rodziny jako preferowany (CBOS, 2020). Większe zaangażowanie ojców w opiekę nad dziećmi umożliwia realizację tej deklaracji. W 2023 r. liczba ojców korzystających z urlopu rodzicielskiego wzrosła z 1% do prawie 6%: o ile w 2022 r. było to 3,7 tys. ojców, czyli właśnie ledwie 1% uprawnionych, o tyle dane ZUS za rok 2023 wskazują, że już 15,7 tys. ojców skorzystało z urlopu rodzicielskiego (5,6%). Przypomnę, że od umożliwienia ojcom korzystania z urlopu rodzicielskiego w 2013 r. wykorzystanie utrzymywało się w okolicach tego 1%".

A równość rodzicielska jest jednym z kluczowych aspektów równości płci, szczególnie na rynku pracy. Prezeska Fundacji Share The Care dodaje: „Opieka rodzicielska jest jednym z najważniejszych czynników nierówności między płciami. Równomierne rozłożenie obowiązków opiekuńczych umożliwi zmniejszenie tych nierówności. Początkiem jest większy odsetek ojców na urlopie rodzicielskim. Dlaczego? Ojcowie, którzy korzystają z urlopu rodzicielskiego, po jego zakończeniu wciąż wykonują obowiązki opiekuńcze na równi z partnerkami. Bo rzecz w tym, aby mężczyźni nie byli pomocnikami kobiet w wychowaniu dzieci, ale partnerami".

Anna J. Dudek

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Oko w oko

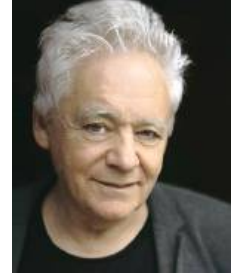

Tomasz Jastrun

Marzenia o zemście

Chodziłem po operacji na czterech nogach, potem na trzech, już chodzę na dwóch. Ale niemrawo. Strach, że mi tak zostanie. Po operacji biodra zupełnie rozregulował mi się organizm – jakby już wcześniej nie był ułomny. Wielkanoc i niemal upalnie. Spacer po lesie w poczuciu, że taka pogoda to piękny kamuflaż katastrofy klimatycznej, która wydaje się nieunikniona. Tradycyjne potrawy wielkanocne, ale nic świętości, moje dzieci też popadły nie wiadomo kiedy w walczący ateizm. A mnie wiara wydaje się coraz bardziej zdumiewającą baśnią i coraz bardziej się dziwię, że inteligentni ludzie w nią ortodoksyjnie wierzą. Mam kilka wydań Biblii, najbardziej lubię przekład ks. Wujka z 1599 r. Dawno nie brałem tych ksiąg do czytania i teraz sypie się z nich srebrny kurz. Uczta wielkanocna z najbliższą rodziną. Wbrew rozsądnej zasadzie: o chorobach tak, ale tylko o jednej – nasze rozmowy o wielu chorobach. I ani słowa o polityce. Może dlatego, że wszyscy myślimy tak samo.

•

Przeszukania i zatrzymania w sprawie wykorzystywania na cele partyjne Funduszu Sprawiedliwości. Robione są z rozmachem. Rewizja w domu Ziobry, był wtedy za granicą, w szpitalu. Wyważono drzwi. Ziobro w trumiennym stanie uciekł ze szpitala w Niemczech i przyjechał, by coś wychrypieć przed swoim domem. Należę do bardzo nielicznych, którzy się nad nim litują. Jak musiał zaleźć nam za skórę, że jesteśmy tacy bezlitośni. I nieufni. Wielu moich znajomych uważa, że on udaje chorobę. Tak to jest, gdy patologiczny kłamca nagle mówi prawdę – mało kto mu wierzy. Ziobro wie, że zapewne umrze, ale zdaje się gardzić śmiercią i swoimi przeciwnikami politycznymi. Groźny fanatyk. Prezes wypowiada się w sprawie zatrzymań i przeszukań: „Wszyscy ludzie, którzy postępują w ten sposób, powinni trafić do więzienia. To jest bardzo ciężki paragraf, od 10 lat do dożywocia. Ich szefem jest Donald Tusk, więc do niego się też te słowa odnoszą”. Kaczyński łaskawy, że nie kara śmierci. To jest to, o czym marzy prezes, o czym marzą pisowcy, słodycz zemsty, z tym zasypiają, ale budzą się z goryczą porażki i z niepokojem, czy te hałasy za oknem to nie zwiastun rewizji. A to przecież zaledwie początek rozliczeń.

•

Po zamachu w Krasnogorsku. Rosjanie opublikowali film z pojmanymi zamachowcami. Jednemu ucinają kawałek ucha, a następnie każą mu go zjeść. Drugiego z zatrzymanych przesłuchiwano z użyciem akumulatora. Kolejnemu wybito oko. Jeden zmarł w czasie tortur. To jest właśnie współczesna Rosja. Nawet nie wiedzą, jakie świadectwo sami sobie wystawiają.

•

Z synkiem Antkiem oglądaliśmy mecz Polska-Walia. Na początku nie mogłem się zdecydować, komu kibicuję, pogłos pisowskiego czasu, gdy wszystko, co narodowe, źle się kojarzyło, łącznie z drużyną narodową. Okropna męka takie oglądanie meczu, gdy sympatia się waha i nie może się zdecydować. Przy rzutach karnych byłem już za Polską. Ciekawa cecha ta potrzeba utożsamiania się ze stadem. Po ośmiu latach odzyskujemy Polskę w różnych wymiarach.

•

Duda blokuje tabletkę „dzień po” bez recepty od 15. roku życia. Jest tego zaleta, będzie oczywiste, by nie głosować na ludzi ciemnogrodu. Duda mówi: a co będzie, jak dziewczynka weźmie pięć tabletek? Robi przy tym filuterną minę i bredzi o bombie hormonalnej. Ta bomba może rozerwać grzeszne łono dziecka. A co będzie, pytam, jak dziewczynka weźmie sto aspiryn? W tym wszystkim wielka niekonsekwencja. Przeciwnicy przerywania ciąży chcą produkować liczne niechciane ciąże. I pokątne aborcje. Ale też mają nadzieję, że nieletnie poprawią dzietność narodu. Myślę znowu o koledze poecie Julku Kornhauserze – nie dość, że jest wiele lat po rozległym wylewie, na dodatek takie nieszczęście z córką. Milczenie żony prezydenta jest haniebne.

Pisowcy marzą o zemście, ale budzą się z goryczą porażki i z niepokojem, czy te hałasy za oknem to nie zwiastun rewizji.

•

Po latach znalazłem współczesną prozę, która mnie porwała i uwiodła. Annie Ernaux, laureatka Nobla z 2022 r. „Lata” to niezwykła autobiografia pisana w trzeciej osobie. Opis własnego życia z niskiego lotu ptaka. W wyliczanie scen i obrazów wpleciona jest historia powojennej Francji, a też wielkie przemiany cywilizacyjne i obyczajowe w naszej cywilizacji. Autorce udało się stworzyć nowy język opisu świata, stoi jakby obok swojej przeszłości, nie za blisko, nie za daleko, w sam raz. Bardzo inspirująca lektura. Ernaux zachęca, by zrobić wielką rewizję swojego życia i zobaczyć je na nowo, używając narzędzi, które dała czytelnikowi do ręki. Mimo olbrzymich różnic między dziejami współczesnej Francji i Polski wiele zjawisk cywilizacyjnych mieliśmy jednak wspólnych, więc polski czytelnik znajdzie w tej prozie liczne własne doświadczenia. Książka ma mocną wkładkę feministyczną, ale nie jest to natrętne. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Wysoka cena spokoju

Młode pokolenie Ukraińców w Polsce. Co z nimi będzie?

Ewa Smolińska-Borecka

– Chciałem zostać w Ukrainie, razem z tatą – wspomina Taras. – Ale tata powiedział, że to wykluczone. Jak on pójdzie na wojnę, kto będzie się mną opiekował? I stwierdził, że front to nie miejsce dla dzieci. A ja miałem przecież wtedy tylko siedem lat.

Dziś ma prawie dwa lata więcej, ale ze swoją rachityczną posturą i buzią cherubinka wygląda na młodszego. Od lata 2022 r. jest w Polsce. Mieszka w jednym z pięciu domów uchodźcy prowadzonych przez Fundację Leny Grochowskiej, które mogą pomieścić nawet 1,3 tys. osób. I ciągle razem z mamą i siostrą żyje w tymczasowości.

Piłka łączy

Z miejscowości Sumy do granicy ukraińsko-rosyjskiej jest jakieś 30 km. Już dzień po inwazji Rosji, która zaczęła się 24 lutego 2022 r., wszystkie większe miasta obwodu sumskiego były oblężone przez rosyjskie wojska. W Sumach i okolicy trwały walki, zakończone ponad miesiąc później wyparciem Rosjan. Taras chodził wtedy do pierwszej klasy szkoły podstawowej, a jego siostra Ania, pięć lat starsza, była już w szóstej klasie, od której rozpoczyna się szkoła średnia niższa. Rodzice pracowali. Rodzina mieszkała w obszernym domu. Taras twierdzi, że było w nim 10 pokojów i że żyło im się dobrze. Taras miał przyjaciela Kolę, który mieszkał w sąsiednim domu, i często z nim i innymi chłopakami grał w piłkę. Takie zwyczajne chłopięce przyjemności. Jeszcze nie wiedział, że niebawem życie rodziny wywróci się do góry nogami.

Chłopiec dokładnie pamięta dzień, kiedy opuścili dom. Były wakacje, lipiec 2022 r., ale w Sumach nikt nie myślał o wypoczynku, bo w Ukrainie wciąż było niebezpiecznie, a tysiące ludzi ciągle wyjeżdżały z kraju do miejsc, gdzie nie było wojny. Mama z tatą ustalili, że trzeba zadbać o bezpieczeństwo i przyszłość dzieci. Ich nie pytali o zdanie. Rodzina miała się podzielić: mama z Tarasem i Anią mieli wyjechać do Polski, tata miał iść na front. Taras, jego siostra i mama wsiedli do autokaru, który miał ich wywieźć z niebezpiecznego terenu, bo w obwodzie sumskim znów trwał ostrzał.

Taras: – Zabraliśmy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Ja oczywiście wziąłem piłkę, no bo jak bez niej żyć? Kiedy już siedzieliśmy w autokarze, trochę przestraszeni, ale szczęśliwi, zobaczyłem mojego przyjaciela Kolę z rodziną. Oni bardzo długo się pakowali i dopiero szli z bagażami do autokaru. Kierowca powiedział, że do odjazdu jest minuta, a oni mieli jeszcze jakieś 200 m do przejścia. Uświadomiłem sobie, że nie zdążą przed odjazdem. Wtedy pomyślałem, że i tak by nie wsiedli, bo w autokarze były tylko cztery wolne miejsca, a ich było więcej: Kola, jego mama, tata, siostra i trzech braci. Czyli razem siedem osób. Pewnie postanowili zaczekać na kolejny autokar. Ale wiem, że do dziś nie wyjechali z Sum.

Wiedzieli, że autokar może zostać zbombardowany w czasie drogi, ale zaryzykowali. Bali się i z powodu wojny, i dlatego, że była to ich pierwsza zagraniczna podróż. Wcześniej wyjeżdżali jedynie do sąsiednich obwodów, nawet nie do tych zachodnich. Przejechali szczęśliwie jakieś 1 tys. km, dotarli do Polski, znaleźli miejsce w jednym z domów uchodźcy. Były jeszcze wakacje. Mama zdecydowała, że Taras i Ania mają iść na kurs języka polskiego, a od września będą się uczyć w polskich szkołach. Taras poszedł do pierwszej klasy po raz drugi, bo mama się obawiała, że w drugiej nie da sobie rady z powodu mizernej znajomości języka polskiego.

Dziś Taras mówi po polsku biegle i bez obcego akcentu. Chodzi do drugiej klasy, w której jest 15 uczniów, w tym kilka osób z Ukrainy. Ale jego najlepszymi kolegami są chłopcy z Polski: Marek, Robert i Stasiek. Połączyła ich piłka. Tworzą drużynę. – Stasiek stoi na bramce, Marek jest w obronie, Robert jest pomocnikiem, a ja napastnikiem – wyjaśnia Taras. – Uważam, że jestem dobrym napastnikiem. Bywało tak, że drużyna przegrywała mecz 0:3, a jak ja wszedłem na boisko, to strzeliłem cztery bramki i ostatecznie wygraliśmy 4:3. Dla mnie te mecze są bardzo ważne. Poza tym gramy jeszcze w unihokeja. Chodzę także na zajęcia judo i na koszykówkę. W drużynie koszykówki jestem kapitanem.

Ponad połowa z 300 tys. dzieci będących ukraińskimi uchodźcami nie chodzi w Polsce do szkoły.

Czy dobrze się czuje w Polsce? Dobrze. Między innymi dzięki sportowi. Z chłopakami z Polski się dogaduje, pomagają sobie wzajemnie. Największy problem to nowy chłopak, który pochodzi z Białorusi. On nie umie grać w piłkę ani w unihokeja i z tego powodu się złości. Wtedy przeklina, próbuje się bić albo podstawia nogę na boisku.

A co z tatą, który jest na froncie? Czasami rozmawiają przez telefon, bo tata dostaje pozwolenie na 20 minut rozmowy. – Od niego wiemy, że nasz dom stoi, ale dom Koli jest całkowicie zburzony – martwi się Taras. – Podobno Kola mieszka w namiocie i chodzi po magazynach, szukając jedzenia. Mama z tatą postanowili, że jak wojna

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Kiedy w pokoju jest cała rodzina i robi się ścisk, można się przenieść do sali zabaw lub sali do cichej nauki.

Kuchnie w domu uchodźcy są wspólne dla kilku pokojów. Trzeba jakoś się dogadywać, żeby inne rodziny też zdążyły przyszykować jedzenie.

się skończy, to wrócimy do Ukrainy. Chcemy być u siebie.

Nie ma samotności

W Polsce przebywa ok. 300 tys. ukraińskich dzieci. Zgodnie z przepisami muszą one pobierać naukę w szkole do 18. roku życia. Jeśli jednak rodzice zdecydują, że dziecko będzie się uczyć online w szkole ukraińskiej, wówczas muszą poinformować o tym polskie władze szkolne. Tymczasem ok. 53% dzieci ani nie chodzi do polskiej szkoły, ani oficjalnie nie pobiera zdalnie nauki w szkole ukraińskiej. Znalazły się poza systemem szkolnym. Niektóre już od początku wojny przebywają w Polsce. Nie wiadomo, jak długo będą poza ojczyzną. I co dla ich przyszłości wyniknie z tego, że się nie uczą.

Sytuacją młodych Ukraińców w Polsce zainteresowały się organizacje pomocowe na rzecz dzieci: UNICEF, Plan International i Save the Children. Na podstawie rozmów z uchodźcami w wieku 8-17 lat sporządzony został raport, który pokazuje, jakie problemy napotykają oni w Polsce. Dzięki temu można się dowiedzieć m.in., czy sądzą, że w polskiej szkole mogą wyrażać swoje zdanie. Jeśli chodzi o dzieci w wieku 8-13 lat, to 28,9% uważa, że może, a 13,1% raczej się zgadza z tym stwierdzeniem. W przypadku młodzieży w wieku od 14 do 17 lat odsetek przekonanych, że mogą wypowiadać swoje zdanie w polskiej szkole, to 34,8%, a raczej zgadzających się z tym stwierdzeniem – 21,7%.

Młodzi ludzie z Ukrainy bardzo ostro wypowiadali się w sprawie migracji do Polski. Niektórzy podkreślają, że nieletnie dziecko nie ma nic do powiedzenia, bo o przyjeździe tu decydują dorośli. A sami młodzi twierdzą, że chcieliby pozostać w Ukrainie. Ze stwierdzeniem: „Ja i inni członkowie rodziny chcielibyśmy pozostać w Polsce" zgodziło się 28,6% dzieci w wieku 8-13 lat i 19,5% pytanych w wieku 14-17 lat.

Dla dzieci i nastolatków z Ukrainy wyjazd do Polski był w pewnym sensie szokiem kulturowym. Szczególnie dla tych ze wschodniej Ukrainy, gdzie znajomość języka polskiego była znacznie słabsza niż na zachodzie kraju.

Warunki życia ukraińskich uchodźców w Polsce są bardzo zróżnicowane. Niektóre rodziny wynajmują luksusowe mieszkania w drogich dzielnicach miast, a inne nadal mieszkają w domach dla uchodźców, gdzie mają do dyspozycji pokój, mimo że od przybycia do Polski czasami minęły ponad dwa lata. Nawet jeśli pracują oboje rodzice, a dzieci otrzymują wsparcie socjalne w wysokości 800 zł miesięcznie (do końca ubiegłego roku 500 zł), nie decydują się na wynajęcie samodzielnego mieszkania.

Trzeba jednak przyznać, że zamieszkiwanie w domach dla uchodźców, mimo wielu minusów, ma co najmniej jeden ogromny plus – ukraińskie dzieci zawsze są wśród rówieśników, z którymi się rozumieją, i nie czują się samotne. Są w grupie, którą łączy to samo wojenne doświadczenie.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Brat rzucił szkołę

W pokoju, który zajmuje rodzina Ani, są trzy łóżka piętrowe. Wszystkie są zajęte, bo rodzina składa się z mamy, taty, 11-letniej Ani i jej rodzeństwa – Bogdany (17 lat), Maksyma (14 lat) i Dawida (8 lat). Pokój ma najwyżej kilkanaście metrów kwadratowych, więc jak wszyscy są w domu, to robi się ścisk. Ale wtedy można się przenieść do sali zabaw, gdzie zwykle jest harmider, lub do sali do cichej nauki. Łazienka i kuchnia są wspólne dla kilku pokojów. Trzeba jakoś się dogadywać, żeby inne rodziny też zdążyły umyć się i ugotować.

Ania często słucha muzyki. Ale przez słuchawki, żeby nie przeszkadzać innym. 5 marca minęły dwa lata, odkąd rodzina Ani przyjechała do Polski. To było zaledwie 12 dni po inwazji Rosji na ich kraj. Do tego momentu mieszkali w obwodzie kirowogradzkim, w środkowej części Ukrainy, nad Dnieprem. Na początku pobytu w Polsce zaopiekowali się nimi jacyś życzliwi ludzie, którzy udostępnili im pokój w swoim domu. Tam przebywali tydzień, potem w drugim domu miesiąc. A po tym czasie znaleźli schronienie w domu uchodźcy.

Ich dom w Ukrainie nadal stoi. Są tam też przyjaciółki Ani. Komunikują się za pomocą smartfonów i przez stosowany w Ukrainie komunikator Telegram. – Często rozmawiamy, one pytają, jak jest w Polsce, co tu jest lepsze niż w Ukrainie – wyjaśnia Ania. – Mówię, że po pierwsze jest lepiej, bo nie ma wojny. A poza tym opowiadam, że to jest bardzo czysty kraj, że ulice są wysprzątane. Żadna z moich koleżanek nie mówiła, że chciałaby przyjechać do Polski. One są w Ukrainie, uczą się w ukraińskiej szkole online.

W Polsce koleguje się głównie z dziećmi z Ukrainy. – Kiedy wyjeżdżaliśmy z Ukrainy, byłam w trzeciej klasie. Rodzice zdecydowali, że ukończę trzecią klasę ukraińskiej szkoły, a od nowego roku szkolnego pójdę do szkoły polskiej – wspomina Ania. – Moja znajomość języka polskiego była prawie zerowa, dlatego aż do wakacji intensywnie uczyłam się języka. Teraz jestem w piątej klasie polskiej szkoły. Bez problemu rozumiem i mówię po polsku.

Kiedy zaczynała naukę w polskiej szkole, dziewczyny z klasy bardzo jej pomagały, żeby mogła nadrobić zaległości. – Ale z czasem ta życzliwość się zmniejszyła i w tej chwili jest tak, że polskie dziewczyny są osobno, polscy chłopcy też osobno, a ukraińskie dzieci są same – tłumaczy Ania. – Teraz w mojej klasie jest 13 uczniów, w tym troje dzieci z Ukrainy. Poprosiłam o zmianę klasy, bo przyszła nowa nauczycielka, która zapowiedziała dzieciom z Ukrainy, że nie będą miały żadnych ulg i że będzie im stawiała złe oceny. Mój najmłodszy brat Dawid chodzi do tej samej szkoły co ja, ale Maksym, który ma 14 lat, już nie chodzi do polskiej szkoły, uczy się online w ukraińskiej. To była przykra sytuacja: chłopcy z Polski go obrażali. Tata był w szkole, rozmawiał z nauczycielką i z dyrektorem. Ale niewiele to dało. Wprawdzie w czasie przerw nauczyciele dyżurują na korytarzu, ale mój brat nadal był obrażany. Polscy uczniowie chcieli go bić, bo jest Ukraińcem, mówili, że jest głupi. Dyrektor stwierdził, że w tej sytuacji rodzice powinni przenieść Maksyma do innej szkoły. Ale w innych szkołach nie było miejsc.

Czy Ania myśli o powrocie do kraju? – Myślę, ale tata mówi, że teraz to niemożliwe, bo trwa wojna. W 2022 r. tata, siostra i najstarszy brat pojechali do Ukrainy, bo babcia była chora. Bardzo im zazdrościłam, że mogli odwiedzić rodzinę i znajomych. Rok później, kiedy babcia umarła, pojechałam na pogrzeb i byłam tam trzy tygodnie. Pamiętam wyjące syreny. Bałam się. W Polsce jestem bezpieczna.

Zwiedzać świat

Wiktoria przyjechała z niewielkiej miejscowości w obwodzie chersońskim, który rozciąga się na północ od Krymu. Długo zwlekali z wyjazdem. Dotarli do Polski dopiero ubiegłej wiosny. Są tu całą rodziną: mama, tata, 16-letnia Wiktoria i jej dwaj młodsi bracia. Dziewczyna uczy się online w szkole ukraińskiej, jest w 10. klasie, do ukończenia szkoły średniej został jej rok. – Gdybym chciała uczyć się w polskiej szkole, to powinnam pójść do liceum lub technikum, ale wcześniej musiałabym zdać egzamin z języka polskiego. A kiedy przyjechaliśmy, w ogóle nie znałam tego języka – przyznaje Wiktoria. – Dopiero od trzech miesięcy uczę się na kursach dla Ukraińców, jednak nadal znam go słabo. W rezultacie mam kontakt jedynie z dziećmi ukraińskimi, które mieszkają w tym samym domu uchodźcy.

W takiej samej sytuacji są jej młodsi bracia, 9-letni i 12-letni. Oni w ogóle nie chcą się uczyć języka polskiego, chcą wracać do domu. – Kiedy jechaliśmy do Polski, tata, żeby nas nie straszyć, powiedział, że to będą trzymiesięczne wakacje – wspomina Wiktoria. – Rodzice naprawdę byli przekonani, że po trzech miesiącach już będzie można wrócić do Ukrainy. Ale okazało się, że nie. Mama powiedziała, że jeśli nadal nie będziemy mogli wrócić do Ukrainy, to od września ja i moi bracia pójdziemy do polskiej szkoły. I że będziemy musieli z tą decyzją się pogodzić. Bo rodzice rozumieją, że integracja jest bardzo ważna.

> Chciałem zostać w Ukrainie, razem z tatą.
> Ale powiedział, że to wykluczone.
> Jak on pójdzie na wojnę, kto będzie się mną opiekował?

Gdyby chodziła do polskiej szkoły, miałaby kontakt z polskimi nastolatkami. Właściwie poznała tylko jedną dziewczynę, kiedy była w aquaparku. Ale już nie utrzymują kontaktu. – Chciałabym poznać polskie dzieci, ale nie mam okazji, bo skoro słabo znam język polski, to nie biorę udziału w zajęciach.

Ich miejscowość w Ukrainie leży na terenach okupowanych, są tam bombardowania, jest niebezpiecznie. Nikt nie wie, kiedy wojna się skończy. Tata i bracia mimo to już by chcieli wrócić do domu. Ona, dopóki nie jest pełnoletnia, też musiałaby pojechać razem z rodziną. Ale inaczej wyobraża sobie swoją przyszłość: marzy

eprasa.pl 92d2cb7ecb

o podróżowaniu. – Chciałabym zostać projektantką mody albo projektantką wnętrz – twierdzi. – Taki zawód mogłabym wykonywać wszędzie. Chciałabym dużo jeździć po świecie. Przed przyjazdem do Polski nie byłam za granicą. Chciałabym odwiedzić Japonię, Koreę Południową i Stany Zjednoczone. Ale wcześniej chciałabym pojechać do Niemiec, żeby spotkać się z moją przyjaciółką, która po rozpoczęciu wojny właśnie tam pojechała z rodziną. Tęsknię za nią. Już rok się nie widziałyśmy.

Rodzice nawet zgodzili się na tę podróż, ale oczekują, że córka sama sfinansuje wyprawę. Dlatego Wiktoria myśli o podjęciu jakiejś pracy. Mogłaby np. pracować w supermarkecie, jak trochę podciągnie znajomość języka polskiego.

Wiele ukraińskich dzieci w ogóle nie znało polskiego. Część nie chce się go uczyć, myśli tylko o powrocie do domu.

Złośliwości i przytyki

Nie wyglądają jak bracia. Anton jest młodszy, ma 12 lat i chodzi do piątej klasy w polskiej podstawówce. Aleksander jest o rok starszy i chodzi do klasy siódmej. Różni ich nie tylko wygląd. Anton nie boi się obcych, Aleksander raczej podchodzi do nich z rezerwą. Ponadto Anton lubi chodzić do szkoły, Aleksander – wręcz przeciwnie.

Przyjechali do Polski prawie dwa lata temu. W Ukrainie mieszkali w obwodzie dniepropietrowskim. Jak wiele osób, które wtedy opuszczały Ukrainę, myśleli, że to wyjazd na krótko, żeby przeczekać najcięższy czas. Są razem z rodzicami i starszą siostrą. Tata, jak wielu ojców w domach uchodźcy, mógł wyjechać z Ukrainy, bo zwolnienie z poboru do wojska dotyczy m.in. mężczyzn, którzy mają troje i więcej nieletnich dzieci.

Początkowo uczyli się online w szkole ukraińskiej. Ale kiedy pobyt się przedłużał, rodzice zdecydowali, że powinni pójść do polskiej szkoły. Młodszy, Anton, od razu to polubił. Szczególnie zajęcia WF i matematykę. W jego klasie jest 14 uczniów, w tym trójka Ukraińców i jeden Arab. Anton zaprzyjaźnił się nie tylko z Ukraińcami, ale również z polskimi uczniami. Chłopak lubi sport, gra z Polakami w piłkę nożną, w koszykówkę. Sport zbliża.

– W mojej klasie jest 15 uczniów, w tym czterech Ukraińców – tłumaczy Aleksander. – Przyjaźnię się tylko z Ukraińcami, z żadnym Polakiem. Nie lubię chodzić do szkoły, bo jeden z polskich uczniów mnie zaczepia. Czasem słyszę od niego: „Sp… do Ukrainy”. Nie wiem, dlaczego tak do mnie mówi.

Inne dzieci też czasami mu dokuczają, wykrzykują: „O, rakieta leci, zaraz cię jeb…”. To dla niego bardzo przykre. Na pytanie, czy chcieliby zostać w Polsce, obaj bracia z przekonaniem odpowiadają: – Nie chcemy. Dlaczego chcą wrócić? – Bo w Ukrainie po prostu jest fajnie.

Polska przyjaciółka

Diana jest delikatna i zwiewna jak boginka albo wróżka. Mówi ściszonym głosem, emanuje smutkiem. Podobnie jak Anton i Aleksander mieszkała w obwodzie dniepropietrowskim. Ma 14 lat, przyjechała do Polski z mamą we wrześniu 2022 r., pół roku po wybuchu wojny. Ma 21-letniego brata, ale on musiał zostać w Ukrainie. Tata jest na froncie. W domu uchodźcy ona i mama mieszkają w jednym pokoju z kuzynką i jej 9-letnią córką. Diana przez pierwszy rok pobierała nauki online w ukraińskiej szkole i intensywnie uczyła się języka polskiego, by móc przejść do polskiej szkoły. Chodzi do niej od września ub.r., jest w ósmej klasie. – W mojej klasie jest 20 osób, w tym troje Ukraińców. Zauważyłam, że polscy uczniowie są uprzedzeni do ukraińskich. Nie wiem dlaczego. Może mają jakieś niedobre doświadczenia? W każdym narodzie zdarzają się ludzie źli, ale nie można uprzedzać się do wszystkich.

W tym roku kończy szkołę podstawową. I wprawdzie nie wie, kiedy w Ukrainie zapanuje pokój, to jednak musi założyć, że na razie nie będzie mogła wrócić do domu. Dlatego szykuje się do nauki w polskiej szkole średniej. Chce jak najlepiej zdać egzamin ósmoklasisty, żeby mieć szansę przyjęcia do lepszej szkoły. – Uczniowie ukraińscy nie mają taryfy ulgowej – twierdzi. – Wprawdzie na egzaminie z języka polskiego mają więcej czasu na pisanie niż polscy, bo jednak gorzej znają ten język, ale w przypadku matematyki tyle samo co polskie nastolatki, bo zadania są przetłumaczone na ukraiński.

W klasie koleguje się jedynie z dwoma ukraińskimi chłopcami. – Mam polską przyjaciółkę, ale ona uczy się w innej podstawówce, więc spotykamy się rzadko – mówi. – Poznałyśmy się w znanej szkole tańca. Obie uczyłyśmy się tańca jazzowego. Ale teraz nawet na tańcach się nie spotykamy, bo w naszej grupie zmienił się nauczyciel i ja odeszłam. Czy będę kiedyś kontynuować naukę tańca? Jeszcze nie wiem. W Ukrainie trenowałam koszykówkę i piłkę ręczną, wyjeżdżałam na zawody. Ale faktycznie bardziej niż te treningi lubiłam taniec. Na zajęcia chodziłam trzy razy w tygodniu, wyjeżdżałam na występy.

Z bratem i z tatą, którzy są w Ukrainie, rozmawiają przez komunikator Telegram. – Chciałabym, żeby brat przyjechał do Polski, ale to chyba niemożliwe – przyznaje Diana. – Nie wiem, jak długo mama i ja będziemy tutaj. Chciałybyśmy, żeby wojna się skończyła.

Na razie wszystko, co w jej mocy, to się uczyć. Chociaż jeśli wojna wkrótce się skończy, to ta polska szkoła będzie na nic.

Ewa Smolińska-Borecka

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3)

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Rozmawia Beata Kwiatkowska

Podobno robię filmy, które dają nadzieję

Każdy człowiek ma jakąś historię wartą opowiedzenia

Twoje filmy dostarczają widzom wielu emocji. Masz niezwykłą umiejętność pokazywania tego, co najtrudniejsze, bo rodzinna bliskość bywa dla nas uciążliwa i całe życie uczymy się, jak się od niej dystansować, aby – co paradoksalne – nie zerwać więzów. Na seans „Moich córek krów" poszłam z mamą. Nie byłam w tym odosobniona. Scenariusz do tego filmu był dla ciebie bardzo osobistym tekstem. W jakich okolicznościach powstawał?

– Wyreżyserowałam „Hel", mój debiut, opowieść o psychiatrze, który uzależnia się od heroiny, a potem przez pięć lat pracowałam jako reżyserka seriali. Wtedy zaczęli chorować moi rodzice. Radziłam sobie z trudnymi emocjami, pisząc teksty do szuflady. Chodziłam na terapię, podczas której pani psychoonkolog zasugerowała, aby nie tylko rozmawiać. Jej zdaniem przede wszystkim miałam pisać. Spisywałam więc swoje przemyślenia, ale nikomu nie chciałam tego pokazywać. Inaczej myślał mój mąż, który nalegał, abym te teksty dała komuś do przeczytania. Pierwszą osobą, która przeczytała scenariusz, był mój kolega, operator Łukasz Gutt. Przeczytał i się zachwycił. To była opowieść, która wyszła z potrzeby poradzenia sobie z moimi przeżyciami i emocjami towarzyszącymi śmierci najbliższych mi osób. Starałam się nieco zdystansować od tej historii i opowiedzieć ją tak, jakby nie dotyczyła wyłącznie mnie. Jednocześnie chciałam zachować emocjonalną bliskość z tą opowieścią. Uważam, że to wspaniałe, gdy autor pozostaje w relacji z filmem na tyle blisko, na ile się da. Dzięki odpowiedniej proporcji intymności i dystansu ludzie traktowali tę historię także jak swoją, dlatego trafiła ona do ich serc.

Nabieranie dystansu jest naturalnym etapem pracy twórczej, ale jak do tego się dostosować, kiedy historia ma tak olbrzymi ładunek emocjonalny?

– Zaprosiłam do współpracy script doctora, Macieja Sobieszczańskiego, który był fantastycznym sparing partnerem. Powtarzał często, że moje bohaterki, Marta i Kasia, są dwiema stronami tej samej monety, a nie wyłącznie odseparowanymi postaciami. To bardzo pomogło. Przestałam oceniać siostry,

KINGA DĘBSKA
– reżyserka, scenarzystka, pisarka

Kinga Dębska – (ur. w 1969 r.) absolwentka reżyserii filmowej praskiej FAMU i japonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Ma na koncie kilkanaście nagradzanych filmów dokumentalnych („Aktorka" o Elżbiecie Czyżewskiej) i fabularnych. W swoim kinie podejmuje poważne tematy w lekki sposób. W „Moich córkach krowach" mówiła o nowotworze, w „Zabawa, zabawa" o alkoholizmie, a w „Święcie ognia" o niepełnosprawności. 21 kwietnia na festiwalu **Script Fiesta** Kinga Dębska będzie gościem panelu „Czeski humor, polski film" – opowie o swoich doświadczeniach studiowania w FAMU.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 92d2cb7ecb

tylko spolaryzowałam je: jedna była rozważna, druga romantyczna. Scenariusz jest żywą materią. Jest jak organizm. Miałam okazję przekonać się, jak tekst dostaje nowe życie w aktorach, potem jeszcze wielokrotnie zmienia się podczas montażu, ale ważne jest, żeby nie zgubiła się jego istota.

Z twojego doświadczenia scenopisarskiego będą mogli skorzystać uczestnicy festiwalu Script Fiesta. Jesteś też nauczycielką akademicką. Studenci, których scenariusze czytasz, uważają, że twoje kino wymyka się definicjom. Z jednej strony, tworzysz komediodramaty, z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru, z drugiej – nie brakuje opinii, że nie dajesz się kategoryzować. Mnie samej trudno zdefiniować jednoznacznie, jakie gatunki filmowe są ci bliskie.

– Bardzo się cieszę, że nie możesz mnie zaszufladkować. Nie chciałabym robić tylko jednego rodzaju kina. Po stworzeniu paru filmów o rodzinie już nie mam w ogóle ochoty na tego rodzaju tematy. Człowiek jest istotą zmienną, a kobieta to już w ogóle ładunek uzbrojony w różne emocje. Życie jest pełne zwrotów akcji i zwykle chcemy czegoś nowego. Teraz właśnie realizuję projekt, który zaspokaja moje wszystkie reżyserskie „głody".

Lubię mierzyć się z tym, czego nie znam, lubię wyzwania, sceny, których, wydawałoby się, nie potrafiłabym zrealizować. A jednak się udaje. Jako reżyser przeżywam na planie rzeczy, o które bym się wcześniej nie podejrzewała. Taki hardcore z różnych stron. Akcja mojego nowego projektu dzieje się w 1951 r. To ciemna, ale bardzo ciekawa epoka. Teraz, kiedy kończę zdjęcia, mam wrażenie, że już niczego filmowo się nie boję.

Kto jest autorem scenariusza?

– Anna i Maciej Świerkoccy z Łodzi. On jest nagradzanym tłumaczem „Ulissesa". Napisali kiedyś scenariusz do filmu „Tam i z powrotem" Wojciecha Wójcika i są autorami serialu „Sfora". Scenariusz był interesujący. Przyznam, że to tekst, którego sama bym nie napisała. To opowieść w stylu kryminału noir, ale z wątkami feministycznymi.

Nie boisz się reżyserować czyichś historii. „Plan B" był oparty na scenariuszu Karoliny Szablewskiej, a „Święto ognia" powstało na bazie książki.

– Lubię pracować na swoim tekście, ale lubię też reżyserować na podstawie czyjegoś scenariusza. Druga sytuacja jest większym wyzwaniem. Trzeba się postarać zrozumieć, co autor chciał powiedzieć, jakie były jego intencje, a potem jeszcze to wszystko przefiltrować przez siebie. Scenariusz może zaczyna się od słów, ale tu nie chodzi głównie o słowa, tylko o intencje.

Zastanawiam się, co jest łatwiejsze, wygodniejsze: pisanie od zera czy pisanie na podstawie cudzych doświadczeń?

– Większość reżyserów z duszą, czyli takich, którzy mają swój styl i swoją osobowość artystyczną, zawsze zachowuje indywidualność, nawet pracując na nie swoim scenariuszu. To jest jak charakter pisma, w tekście pozostawia się siebie. Inaczej tekst jest pozbawiony charakteru, a nawet staje się przezroczysty. Tak samo jest z aktorstwem. Jeśli rolę gra wybitny aktor czy aktorka, jak Kinga Preis czy Agata Kulesza, wzbogaca postać swoją osobowością. Bardzo ważne dla mnie jest to, jaki tekst wybieram, żeby nie był to wybór pozbawiony sensu. Niedawno Andrzej Seweryn powiedział mi, że robię filmy, które dają nadzieję. Zastanawiam się nad tymi słowami. Może coś w tym jest.

Wspomniałaś o znakomitych aktorkach: Agacie Kuleszy i Kindze Preis. Grały u ciebie kilkakrotnie, więc można uznać, że to poniekąd twoje aktorki. Jak one reagują na twoje scenariusze? Jakie mają podejście do tekstu?

– Scenariusz jest ważny, ale ważny jest też dialog. Wydaje mi się, że Kinga i Agata – ale nie tylko one – mają poczucie, że jestem otwarta na rozmowę o tekście scenariusza, o dialogach i nie zamykam się w pudełku „ostatnie słowo, koniec i kropka". Nie jestem Markiem Koterskim. Pamiętam, jak z Agatą przy filmie „Zabawa, zabawa" rozmawiałyśmy o finale. Teraz mogę przyznać, że to dla niej i po jej sugestii zmieniłam zakończenie losów jej bohaterki (nadużywającej alkoholu pani prokurator) i jej wątku w filmie. Początkowo chciałam ją zabić w wypadku samochodowym, w wyniku zderzenia z drzewem. Chciałam, żeby grana przez nią pani prokurator dość drastycznie zakończyła życie. To takie starotestamentowe, że musi być kara. Agata uznała, że bardziej bolesne i prawdziwe będzie, jeśli jej postać nie poniesie aż tak ostatecznych konsekwencji. I ja się na to zgodziłam.

Kinga Preis podchodzi do tekstu równie kreatywnie. Zagrała z przytupem Józefinę w „Święcie ognia". Zdradzę, że teraz znowu razem pracujemy. Kinga gra góralkę i mówi gwarą. Dodatkowo musimy „przechodzić" przez naszego konsultanta do spraw gwary góralskiej – jest nim pan Krzysztof Trebunia-Tutka, który nagrywa poszczególne dialogi, żeby Kinga złapała melodię frazy. W pracy z aktorami lubię wyzwania. W ogóle kocham aktorów. Teraz ponownie mogę się o tym przekonać. Kiedy poczuję, że aktorzy są lekko znudzeni przewidywalnością sceny, wymyślam coś ekstra, staram się ich wytrącić ze strefy komfortu.

Jak duże znaczenie ma dla ciebie słowo?

– Ogromne. Przywiązuję się bardzo do kolejności wypowiadanych słów i do ich rytmu. Do melodii języka. Ważne, żeby w ustach aktora nie szeleściło papierem.

Prawda jest taka, że scenariusz nigdy nie jest skończony, ale w pewnym momencie trzeba go pokazać światu.

Aby pisać filmy, trzeba ciężko pracować, niekiedy urobić się po łokcie.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Czy tego nauczyłaś się, studiując w Pradze na FAMU?

– Najwięcej nauczyłam się, pracując na planie, także seriali. Przed szkołą filmową w Czechach była japonistyka. Dopiero potem poszłam najpierw na kurs reżyserii w ramach dwuletniego studium na Camerimage Film School w Toruniu, a potem na reżyserię w Pradze. Moimi mentorami byli Věra Chytilová i Jan Němec, a z młodszego pokolenia Bohdan Sláma i Saša Gedeon. Bardzo mocne czeskie nazwiska.

Dlaczego właściwie wybrałaś FAMU?

– To był przypadek, pojechałam zobaczyć, jak to tam wygląda, i okazało się, że mogę zdawać od razu na czwarty rok studiów. Moja córka Marysia była malutka. Nie potrzebowałam już wyższego wykształcenia. Byłam po japonistyce. Zostałam przyjęta od razu na ten czwarty rok FAMU. Nauczyłam się czeskiego. To była dla mnie duża oszczędność czasu. A potem reżyserowałam już filmy. Liczę, że jeszcze wyreżyseruję film w Czechach i z czeską ekipą. Wielu moich starszych kolegów po FAMU tam pracuje. Janusz Kamiński niedawno został uhonorowany Czeskim Lwem za montaż. Agnieszka Holland również często pracuje z Czechami. Mam nadzieję, że to jeszcze przede mną. Myślę, że my, Polacy i Czesi, bardzo się uzupełniamy.

Wspominałaś o intuicji niezbędnej do tworzenia i na planie, i wcześniej na papierze. Kiedy właściwie uważasz, że scenariusz jest skończony i gotowy do zekranizowania?

– Prawda jest taka, że scenariusz nigdy nie jest skończony, ale w pewnym momencie trzeba go pokazać światu. Sama czuję, kiedy jest ten moment i mogę go pokazać. Tak naprawdę przecież piszę dla siebie i jestem pierwszym widzem swojego filmu. Scenariusz mojego ostatniego filmu, „Święta ognia", jest adaptacją powieści Jakuba Małeckiego. To wspaniała książka, którą podsunął mi producent filmu Piotr Dzięcioł. Ale wiedziałam, że muszę tę historię przefiltrować przez siebie. I napisać scenariusz po swojemu. W tej sytuacji także pracowałam ze script doctorem Kacprem Wysockim. To był bardzo wymagający projekt. Musiałam poznać świat baletu i środowisko osób z niepełnosprawnościami. Ale ostatecznie napisałam scenariusz, zupełnie odkładając na bok książkę, opierając się na swoich odczuciach. I być może dlatego ten film tak działa, jest odbierany tak emocjonalnie. Okazało się, że dzięki niemu ludzie z niepełnosprawnościami stali się bardziej widoczni i słyszalni. To daje poczucie sensu. Po każdym spotkaniu z publicznością po „Święcie ognia" czuję się, jakbym dostała Oscara.

Jak się czujesz jako mentorka czy nauczycielka? Jak przebiega twoja praca jako jednej z pierwszych oceniających czyjś tekst?

– Najpierw staram się zrozumieć, o co autorowi lub autorce chodzi. Jaki jest jego czy jej cel. Staram się być empatyczna, uważna i zdaję sobie sprawę, że muszę być bardziej psychoterapeutą dla autora, coachem niż nauczycielem. Bo nie wiem, czy da się kogoś nauczyć pisać. Z reguły młodzi ludzie chcą opowiedzieć o wszystkim, co wiedzą. Ja miałam podobnie. Moją rolą wobec studentów jest sprecyzowanie ich oczekiwań wobec tego, co chcą napisać. Bywam jak zimny prysznic.

Kiedy poczuję, że aktorzy są lekko znudzeni przewidywalnością sceny, wymyślam coś ekstra, staram się ich wytrącić ze strefy komfortu.

Jaką radę dasz młodym ludziom?

– Najważniejsza jest dyscyplina i wewnętrzna wolność od oczekiwań. Czyli moja rada jest taka: usiądź codziennie przed kartką czy ekranem komputera i napisz stronę. Bez sensu, z sensem, ale nie czytaj tego później, tylko idź dalej i pisz. I po prostu ćwicz się w pisaniu. Profesjonaliści też tak robią. Tu chodzi o regularność, o dyscyplinę. Scenariusz to nie jest poezja, do której potrzebna jest wena twórcza. Czesi mają na to słowo: makać. Aby pisać filmy, trzeba ciężko pracować, niekiedy urobić się po łokcie. Głęboko wierzę, że każdy człowiek ma jakąś historię wartą opowiedzenia.

Beata Kwiatkowska

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Przeźlenie

Antek buntuje się przeciw odwiedzinom u babci w szpitalu, tłumaczę mu, że to może być ostatnia okazja do tego, by go jeszcze rozpoznała. Trudno mieć pretensje do dziecka – tego nie było na liście świątecznych atrakcji; szpital jest wypełniony starością bez makijażu, na łóżkach mnóstwo istot ludzkich w ostatniej fazie życia, zakłady pogrzebowe mają specjalistów od upiększania zwłok, tak żeby wyglądały pięknie w trumnie, ale umierającym pomaga się przetrwać kolejną dobę, a nie zadbać o make-up i koafiurę. Masowa kultura strachu posługuje się starością jako sprawdzonym rekwizytem – upiory w horrorach zwykle mają twarz bardzo starej i zaniedbanej kobiety. Antek się boi, ale kiedy babcia łapie go za dłoń, poznaje ją przez dotyk, rozchmurza się, dzielnie próbuje z nią żartować.

Od kiedy matka zaczęła odchodzić, całe życie moje sprowadza się do robienia dobrej miny do złej gry – nie tylko przed dzieckiem, ale i przed samym sobą – inaczej nie podołałbym przeciwnościom losu, które kłębią się nade mną. Zły demiurg trochę się zagalopował, przeźlił (bo przecież nie przedobrzył) – jeśli chciał mnie złamać, wyprowadził o jeden cios za dużo; zamiast rozpaczy jest we mnie zintegrowany gniew, a to najlepsza broń samozachowawcza. Doszło do złego przesilenia – w ciągu kilku dni straciłem pracę, dostęp do konta, a także kontakt z matką, która pływa już między splątaniem a otępieniem. Kiedy nieszczęścia chodzą parami, doskwierają w dwójnasób, ale kiedy zbiegają się hurmem, przekraczają granice abstrakcji – pozostaje śmiech. Najważniejsza w sytuacjach kryzysowych zdaje się wola odzyskania sprawczości – mówię o tym, czego doświadczam, aby służyć radą innym na wypadek natłoku koszmarów. Znam osoby, które skutecznie monetyzują swoje niedole w trybie sprawozdawczym: codzienne posty o cierpieniu, depresji, żałobie, zaburzeniach emocjonalnych i życiu w niedostatku przysparzają im aliantów, emotikonów przytulanek, a nawet realnego wsparcia finansowego. Odnoszę jednak wrażenie, że tę drogę ogranicza parametr płci, zwłaszcza w czasach nadaktywnego siostrzeństwa i mizoandrycznego dryfu feminizmu. Chłopaki nie płaczą nie dlatego, że im nie wypada, ale ze strachu przed linczem.

Zapłakał nad sobą niedawno redaktor Kącki i wiadomo, że skończyło się to dla niego znacznie gorzej, niż gdyby prężył samczy tors i nie przepraszał za swoje występki. Jedyną drogą dla mężczyzny jest zatem, powtórzę, odzyskanie sprawczości, a droga ku temu wiedzie przez samodzielne uniewinnienie. Wywalili cię z roboty? Nie dlatego, że byłeś kiepski, jesteś tak dobry, że nie było ich na ciebie stać. Już dawno sam powinieneś im podziękować i znaleźć pracę, gdzie zapłacą ci godniej. Komornik zrobił ci wjazd na konta? Nikt przez ciebie biedy nie klepie, egzekucja wynika wyłącznie z niecierpliwości twoich zamożnych wierzycieli, nie spłacałeś ich, bo nie miałeś z czego. Niech sami się przekonają, że nic nie masz – i tak będą musieli poczekać. Matka dobiega kresu swych dni? Dożyła w świetnej kondycji pięknego wieku, twój smutek jest naturalną reakcją, podobnie jak nieunikniona żałoba, do której mogłeś się przygotować przez prawie 90 lat. Ona nie umiera tobie, nie jesteś Hiobem, jesteś facetem, który ma szczęście w nieszczęściu – wszystkie plagi spadły na ciebie jednocześnie, przez co wzajemnie się osłabiają. Pamiętaj o „Serenity Prayer" Reinholda Niebuhra, która jest mottem anonimowych alkoholików, ale tak naprawdę odnosi się do każdej ludzkiej egzystencji – niczego mądrzejszego nie wymyślisz:

Kiedy nieszczęścia chodzą parami, doskwierają w dwójnasób, ale kiedy zbiegają się hurmem, przekraczają granice abstrakcji – pozostaje śmiech.

Boże, użycz mi pogody ducha,
abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić,
odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić,
i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego.

Podziękuj synkowi, że się z babcią pożegnał, teraz weź go na plac zabaw, trzymaj się po stronie życia, człowieku. Śmierć i tak weźmie swoje bez pytania o zgodę.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Józef Musioł

Wszyscy sędziowie Sądu Najwyższego przeszli, przy czujnej „trosce" prof. Adama Strzembosza, proces weryfikacji w 1990 r. A o tym, że weryfikacja ta była dokładna, najlepiej niech świadczy to, że do Izby Karnej dostało się tylko czterech sędziów z poprzedniego składu. Zgodnie z moimi kwalifikacjami i doświadczeniem zawodowym dostałem przydział do Izby Karnej Sądu Najwyższego.

W 2000 r. Sąd Najwyższy znalazł się w nowej, wygodnej siedzibie przy pl. Krasińskich. Po prof. Adamie Strzemboszu na stanowisko I prezesa został powołany sędzia SN prof. dr hab. Leszek Gardocki, wybitny znawca prawa karnego, a prezesem Izby Karnej został prof. dr hab. Lech Paprzycki, młodszy ode mnie o 14 lat, który przedkładając plansze z planami budynku, odezwał się do mnie: „Józek, wybierz sobie gabinet, który chcesz". Nie patrząc, nacisnąłem palcem na jedną z kratek. Potem, już po pewnym czasie, stwierdziłem, że z okna mojego gabinetu codziennie patrzę na miejsce, w którym 18 sierpnia 1944 r. został śmiertelnie trafiony mój cioteczny brat, żołnierz Batalionu „Parasol", Rafał Białecki ps. Krajan, pochowany w kwaterze „Parasola" na Powązkach. Taki to zbieg okoliczności.

Gdy dzisiaj obserwuję proces powoływania sędziów, szczególnie do Sądu Najwyższego, to ogarnia mnie smutek i niepokój na myśl, jak bardzo zniszczyliśmy autorytet wymiaru sprawiedliwości, jak złamaliśmy i stale łamie się zasadę trójpodziału władz, jak zaniżono kryteria awansu, szczególnie w okresie po dojściu do władzy tzw. dobrej zmiany, jak nędzni politykierzy dewastują organizację i niezawisłość sędziowską, jak kopiuje się okres, gdy w 1933 r. NSDAP doszła, także przecież legalnie, do władzy.

W tym jednak czasie atmosfera w SN była normalna. Prof. Adam Strzembosz pogodził się z tym, że nie wygrał kolejnej kadencji I prezesa i przeszedł w stan spoczynku, uczestniczył jednak nadal w życiu Sądu Najwyższego, przychodząc na wszystkie uroczystości czy biorąc udział w szkoleniach wyjazdowych Izby Karnej, np. w zamku w Krasiczynie, połączonych z wyjazdem do sądu we Lwowie. Sąd Najwyższy został uwolniony od atmosfery politycznej. Duża w tym zasługa I prezesa prof. Leszka Gardockiego.

W tym okresie nadal udawało mi się wygospodarować czas na działalność naszego Towarzystwa Przyjaciół Śląska. Byłem częstym gościem na moim Śląsku. Niestety, 1 stycznia 1999 r. w Krakowie nagle zmarł mój przyjaciel Stanisław Hadyna. Jeszcze krótko przed świętami Bożego Narodzenia w Operze Narodowej w Warszawie prowadził koncert zespołu, przyjmowany entuzjastycznie przez publiczność. Po koncercie udałem się do jego garderoby, aby mu pogratulować. Pamiętam jego uścisk dłoni. Nie chciał mnie wypuścić.

– Józek, zostań jeszcze – powtarzał wielokrotnie.

– Drogi Staszku, za drzwiami ustawił się do ciebie sznur ludzi, czeka tam również Bogusław Kaczyński, zaraz po Nowym Roku się spotkamy.

Niestety, w dzień Nowego Roku, w pełni świadomy odwieziony do krakowskiej kliniki, niespodziewanie zmarł. Uczestniczyłem w smutnej uroczystości pogrzebowej w kościele ewangelickim w Wiśle. Żegnał go chór Zespołu „Śląsk", śpiewał, płacząc. A potem Staszek przewieziony został na góralskim wozie na cmentarz na Groniczku, w padającym deszczu. Wzdłuż całej drogi żegnał

Józef Musioł odbiera akt nominacyjny na sędziego Sądu Najwyższego z rąk prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, Pałac Prezydencki, 1997 r.

Dziedzictwo Stanisława Hadyny

Jak ocalono Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk"

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Józef Musioł na ławeczce-pomniku Stanisława Hadyny...

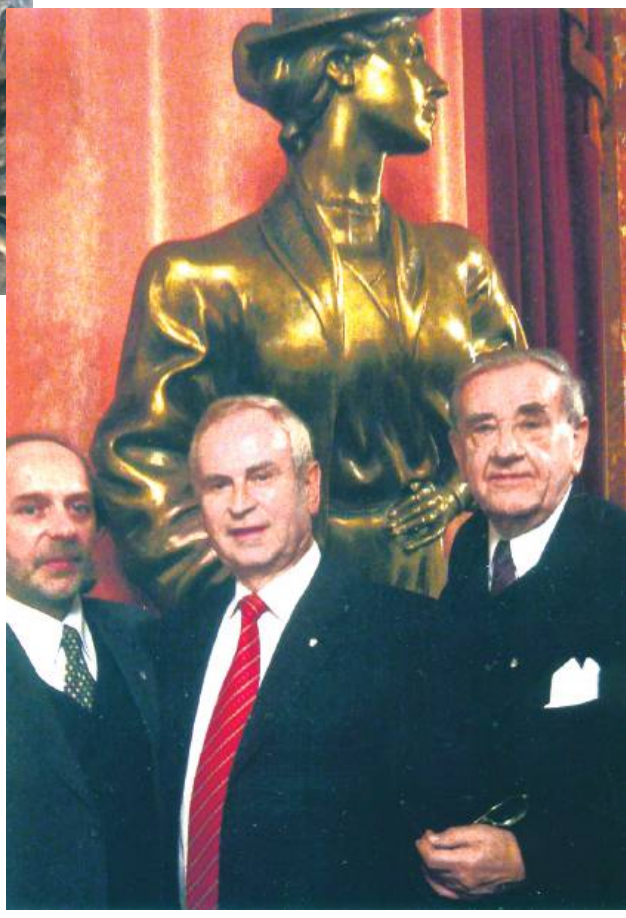

...oraz z dyrektorami Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk". Od lewej: Adam Pastuch i Jerzy Wójcik, Opera Lwowska.

go szpaler grających góralskich skrzypków.

Powracałem do Katowic, a potem do Warszawy wraz z Ewą Wójcik, żoną najbliższego przyjaciela i byłego wychowanka Hadyny, Jerzego Wójcika, którego Hadyna, po powrocie do swego zespołu, sprowadził z „Mazowsza". A potem dochodziły do mnie niepokojące wiadomości, że zespół ciągle nie ma dyrektora, że zachodzi obawa, iż najwybitniejsi artyści opuszczą Koszęcin i wyjadą za granicę. Nie mogłem pojąć, że władze wojewódzkie nie kwapią się z powołaniem kierownictwa tej placówki, wydzwoniłem do dyrektor wydziału kultury Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach, znanej mi pani dr Lusi Ginko.

– Nie powołują, bo nie ma powołanej, ale przewidzianej w statucie Rady Programowej Zespołu „Śląsk".

– No to powołajcie – odrzekłem i zaoferowałem opracowanie projektu potrzebnego regulaminu.

I znów sprawa stanęła w miejscu. Wówczas, dzięki którejś z artystek zespołu, dotarła do mnie wiadomość, że latem, bodaj w lipcu bądź w sierpniu 1999 r., w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie planowana jest sesja naukowa poświęcona prof. Stanisławowi Hadynie. Mimo braku oficjalnego powiadomienia pojechałem z Warszawy do Cieszyna, w którym odbywała się konferencja. Jej program i tematyka referatów zapowiadały się niezwykle interesująco: Hadyna jako pedagog, jako kompozytor, jako literat, autor kilkunastu książek, jako twórca i szef Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Śląsk" w Koszęcinie.

Konferencję otworzył prorektor Uniwersytetu Śląskiego i nim rozpoczęło się wygłaszanie referatów, na mównicy zjawił się jeden z najważniejszych ówczesnych dygnitarzy w Katowicach, właściwie pracodawca całego Zespołu „Śląsk" – Marszałek Województwa Śląskiego, który przemówił w stylu „po co ten »Śląsk«, skoro na Śląsku mamy Operę Śląską, Filharmonię, Wielką Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia", i jeszcze coś w tym stylu, że „repertuar »Śląska« to ramota". Inaczej: po co, skoro to kosztuje. Sens: instytucja zbędna, którą trzeba zlikwidować. Zabrzmiało to jak wyrok śmierci dla zespołu. To wystąpienie zmroziło wszystkich. Zaległa przerażająca cisza. Spojrzałem w głąb sali i dostrzegłem bladego Jerzego Wójcika i przerażonego zastępcę dyrektora zespołu Adama Pastucha. Siedziałem w drugim rzędzie, poderwałem

Dochodziły do mnie wiadomości, że zespół ciągle nie ma dyrektora, że zachodzi obawa, iż najwybitniejsi artyści opuszczą Koszęcin i wyjadą za granicę.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 92d2cb7ecb

się i podniosłem rękę, bo chciałem zabrać głos, ale bezskutecznie, po prostu mnie nie widziano. Wyciągnąłem bilet, na którym oprócz mojego nazwiska widniała adnotacja „Sąd Najwyższy" i wybite godło Polski. Podkreśliłem to tak, aby można było to odczytać. Na odwrotnej stronie napisałem: „Prezes Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie prosi o udzielenie głosu".

Prowadzący konferencję przeczytał i wywołał mnie. Wyrzuciłem z siebie wszystkie żale, bo moje podejrzenie stało się jasne. Trzeba zagarnąć pałac i 10-hektarowy park, ale jak to uczynić, skoro ma tam swą siedzibę Zespół „Śląsk"? Trzeba ten zespół rozwiązać, zlikwidować. Nigdy tak brutalnego oskarżenia pod adresem przedstawiciela władzy nie wygłosiłem. Sala biła brawa. Zarządzono przerwę. Doszło między nami do spotkania, w czasie którego powtórzyłem moje zarzuty. On coś tam tłumaczył. Nie wymieniam jego nazwiska, bo kiedy zdemaskowałem ten ukryty zamysł, od razu doszło do powołania Rady Programowej i dyrekcji, w której powołano dyrektora w osobie Adama Pastucha, dotąd zastępcę, oraz Jerzego Wójcika jako zastępcę dyrektora i dyrektora artystycznego. Nadto okazał się on potem wielkim fanem zespołu, któremu bardzo pomagał i zespół mu wiele zawdzięcza.

Po latach, w czasie kolejnego święta „Śląska", odbyliśmy w Koszęcinie spotkanie na ławeczce z tym chcącym swego czasu likwidacji „Śląska". Podziękował mi za tamto wystąpienie. Przeprosił za swoje i oświadczył, że takie polecenie otrzymał „z góry", ale ze względu na później udzielaną zespołowi pomoc mam do niego wiele szacunku. Muszę także dodać, że zwołał następnie i wręczył nam powołania na członków Rady Programowej, w skład której weszły zacne i kompetentne osoby, m.in. Wojciech Kilar, Dorota Simonides, Kazimierz Kutz, Jan Miodek, Daniel Kadłubiec, który krótko był przewodniczącym, a po nim przymuszono mnie do tej roli, w której tkwię do dzisiaj. Rada Programowa nie administruje, a jedynie opiniuje plany pracy artystycznej oraz ich wykonanie. Choć nie ma uprawnień zarządczych, jest jednak istotnym składnikiem całego dużego zespołu składającego się z chóru, baletu, orkiestry, w sumie przeszło 120 artystek i artystów. Do tego dochodzi całe zaplecze administracyjne z około setką pracowników. Jest to więc największy zakład pracy nie tylko w Koszęcinie.

Wydawnictwo Naukowe „Śląsk" istnieje od 1992 r. Jego współzałożycielami są takie instytucje jak: Uniwersytet Śląski, Politechnika Śląska, Biblioteka Śląska, Akademia Ekonomiczna w Katowicach, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie. W gronie autorów znajdują się wybitni pracownicy naukowi i specjaliści różnych dziedzin wiedzy. „Śląsk" publikuje rocznie ok. 60 tytułów z zakresu nauk humanistycznych: historii literatury, pedagogiki, pracy socjalnej, socjologii, filmoznawstwa, językoznawstwa, historii, medycyny, nauk technicznych.

Tuż po śmierci Stanisława Hadyny zgłosiłem propozycję, aby zespołowi nadać imię jego twórcy. Zbawienna okazała się pomoc Jerzego Wójcika jako dyrektora artystycznego, obecnego już w pierwszej ekipie utworzonej przez Hadynę, a potem artystę tancerza „Mazowsza". Wójcik, dokształcając się, doszedł do stanowiska zastępcy dyrektora „Mazowsza", czyli w tamtych czasach jego bezpośrednią przełożoną była Mira Zimińska-Sygietyńska. Zdobył ogromne doświadczenie i kontakty, które też po powrocie do „Śląska" tak owocnie wykorzystał, że tenże zespół dorobił się kilkunastu programów o najwyższym poziomie artystycznym w świecie. Dzięki kompetentnej pracy organizacyjnej kierownictwa zespół otrzymał potężną pomoc z Unii Europejskiej. Pozwoliło to nie tylko na remont generalny pałacu koszęcińskiego wraz z otaczającymi go zabudowaniami, lecz także na jego unowocześnienie. Stał się wręcz centrum kultury europejskiej z wieloma dodatkowymi funkcjami.

Ta heroiczna praca doprowadziła 10 marca 2008 r. do śmierci artysty baletu, choreografa, pedagoga, folklorysty i dyrektora Jerzego Wójcika. To m.in. jemu zawdzięczamy doprowadzenie „Śląska" do wyżyn artystycznych. Nic dziwnego, że Ślązacy pośmiertnie nazwali szkołę w Piekarach, skąd pochodził, jego imieniem.

1 stycznia 2000 r. wkroczyłem w nowy, XXI w. W świątyni twórców w Warszawie otrzymałem specjalny dokument-dyplom potwierdzający moje wkroczenie w tę niewiadomą. Dzisiaj widzę wyraźnie, że wyziera z niego ponura twarz następcy nowej odmiany faszyzmu czy dyktatury.

Pamiętam wydarzenie, tak, wydarzenie, pierwsze tego typu, gdy 9 stycznia 2003 r. cały Zespół „Śląsk" wraz z dyrektorami Adamem Pastuchem i Jerzym Wójcikiem w siedzibie Sądu Najwyższego, w nowym Pałacu Sprawiedliwości w Warszawie, zaprezentował wspaniały koncert. Wśród licznie zgromadzonych na parterze i trzech kondygnacjach Sądu Najwyższego sprawili mi tym niespodziankę w dniu, w którym kończyłem 70 lat i zgodnie z ustawą przechodziłem w stan spoczynku. Taką uroczystość powtórzono kilka lat później, gdy po Adamie Pastuchu kierownictwo zespołu przejął artysta „Śląska" Zbigniew Cierniak.

Koncerty w Pałacu Sprawiedliwości w niczym nie naruszały powagi tej zacnej instytucji. Wręcz odwrotnie, dowodziły pewnej otwartości, swobody i demokratyzowania często zatęchłej atmosfery w naszej centralnej administracji. Te wystąpienia odbywały się we wczesnych godzinach popołudniowych i każdy mógł na nie przybyć. Było to możliwe dzięki mądrości i otwartości ówczesnych I prezesów Sądu Najwyższego, Leszka Gardockiego czy następnie Stanisława Dąbrowskiego.

Fragmenty książki Józefa Musioła *Okrakiem przez wiek. Strzępy pamięci*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk", Katowice 2023

eprasa.pl 92d2cb7ecb

NA EKRANACH

Civil War
reż. Alex Garland, prod. USA/Wielka Brytania, już w kinach

No więc wojna. Historia zatoczyła koło, Stany Zjednoczone znów przedzielił front. Już nie Północ walczy z Południem, tylko siły autorytarnego prezydenta i sojusz zawiązany przez Teksas i Kalifornię. Choć trudno sobie wyobrazić, by w rzeczywistości akurat te dwa stany szły ręka w rękę, to już wojna domowa aż taką abstrakcją nie jest. Od lat widzimy, że Ameryki (jak i Polski) w zasadzie są dwie i każda ciągnie w swoją stronę bez chęci szukania porozumienia. Film jest reakcją na to. Kiedy doszło do tąpnięcia w ekranowym USA? Nie wiadomo, bo reżyser z niczego nam się nie tłumaczy. Za to pokazuje wojnę z całym okrucieństwem: giną ludzie, ale nie wiadomo, komu kibicować, bo nie wytłumaczono nam, kto dobry, a kto zły. I jest tego powód: na spektakularny konflikt patrzymy oczami fotoreporterów wojennych, którzy mają wydarzenia utrwalać, a nie je oceniać. Podróżują w czwórkę do Waszyngtonu, żeby zrobić ostatni wywiad z prezydentem. Przy okazji odpowiedzą sobie na najważniejsze w ich fachu pytanie: czy gdyby kula leciała w stronę ważnej dla nich osoby, ruszyliby z pomocą czy robili zdjęcia? Refleksyjne i widowiskowe kino.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Marta Hermanowicz
Koniec
ArtRage, Warszawa 2024

Oto debiut, który zdarza się raz na kilka lat. Mamy do czynienia nie tylko z książką wycyzelowaną, dopracowaną w szczegółach, gdzie każde zdanie ma sens. Jej warsztatowa, czysto literacka wartość to jedno. Drugie to temat. Wprawdzie o wiecznej traumie, historii osobistej w cieniu wielkiej Historii napisano już niejedno, lecz autorka do tego jakże arcypolskiego tematu dodaje warstwę oniryczną, metafizyczną. W nocy Malwina śni wojenne wspomnienia swojej babci, a za dnia zmaga się z szarą codziennością lat 90. XX w. „Koniec" to litania trosk, cierpień, nadziei; to makatka z koszmarów i snów, to haft z historii bliskich i dalekich. „Miotam się. Jestem miotaczem ognia, ziemią spaloną, jałową, groźbą zemsty wypowiedzianą pod wiatr, kukłą, co nie może do końca zatonąć", pisze Hermanowicz, a czytelnik, no cóż, tonie w tych słowach i tonie.

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

Dybuk

Krakowskie „Wesele" to spektakl monumentalny, chwilami poruszający, chwilami zaś zupełnie letni. Zaczyna się jak u Wajdy, sekwencją szaleńczego tańca weselników. Jest radośnie, kolorowo, także za sprawą kostiumów Konrada Parola. Docierają do nas jednak tylko strzępy. Pod powierzchnię tego folkowego widowiska zaglądamy w drugiej części, gdy tradycyjna bielona chata projektu Małgorzaty Szczęśniak dosłownie pęka na pół, przenosząc nas w mroczną przestrzeń sennego koszmaru. Jest w nim politycznie i aktualnie, choć dość przewidywalnie. Przed prawicowym populizmem ostrzega Stańczyk w wykonaniu Krzysztofa Głuchowskiego, grana przez ukraińską aktorkę Annę Syrbu Wernyhora zwiastuje nadciągającą ze wschodu pożogę i wzywa do broni. Pobrzmiewają echa krwawej rabacji i klasowa wrogość, dobrze wygrywana przez Marcina Kalisza w roli Czepca.

W ogóle chłopi są tu raczej siłą mroczną i nieokiełznaną, podobnie jak mityczna i wytęskniona siła narodowa, która, obudziwszy się w postaci Rycerza, okazuje się resentymentem podlanym antysemickim sosem nacjonalistycznym.

Ale najbardziej przejmujący jest w tym spektaklu wątek Racheli i Poety (Mateusz Janicki). Młodzi, zafascynowani sobą, śnią wspólnie piękny sen, z którego boleśnie przebudzą się w finale. Gdy zgwałcona i sponiewierana Rachela (Agnieszka Przepiórska), przypominająca ofiarę obozu zagłady, niczym Dybuk, wyrzut narodowego sumienia, powróci na scenę, błagając ukochanego o pomoc, Poeta ofiaruje jej już tylko puste słowa.

Michał Centkowski

Stanisław Wyspiański, „Wesele", reżyseria Maja Kleczewska, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, premiera 16/17 marca 2024

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. BARTEK BARCZYK, BEST FILM, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Baśka miała fajny ogonek

Zwiększając lub zmniejszając przepływ krwi przez ogon, wiewiórka reguluje temperaturę. A zimą nakrywa się nim jak kołderką

Konrad Malec

Rude owłosienie ma w społeczeństwie marną opinię. W bajkach lis jest szwarccharakterem, a Reymont w „Chłopach" rudym uczynił podstępnego, chciwego młynarza. Nawet wśród ludzi walczących z rasizmem spotkałem takich, którzy jednemu z kolegów zarzucali wredotę, bo rudy. Ba! Nawet o moich kotach usłyszałem, że wredne, bo rude! Wyjątkiem od reguły wydaje się wiewiórka.

Nie taka ta Baśka, jak ją malują

Powszechną sympatię do wiewiórek wyzyskują spece od marketingu. W jednej z reklam Baśka namawia nas do wzięcia kredytu, w drugiej wiewiórka zachwala krem czekoladowy z orzechami, a w kolejnej orzeszki ziemne. O ile orzechy laskowe znajdują się na liście smakołyków naszych rudzielców, o tyle czekolada i fistaszki raczej im zaszkodzą. Zresztą wiewiórki o tym wiedzą i jeśli mają wybór, to po fistaszki nie sięgną. W badaniach prowadzonych w warszawskich Łazienkach przez naukowców z Instytutu Nauk Leśnych SGGW podawano wiewiórkom orzechy włoskie, laskowe i ziemne. W 80% Baśki brały włoskie, fistaszki zaś w ledwie 1%. Widać, wiedzą, że wysoka zawartość fosforu w orzeszkach ziemnych zmniejsza przyswajanie wapna.

Tu należy wspomnieć, że orzechy włoskie nie są naturalnymi roślinami naszej części świata, przybyły z południowo-zachodniej Azji i choć mają wiele prozdrowotnych właściwości, dla naszej przyrody nie są zdrowe. Od 30 lat obserwuje się ekspansję tej rośliny, która wypiera rodzime gatunki. Wiewiórcze łapki mają w tym swój udział, choć o wiele bardziej przyczyniają się do tego krukowate. Jedne i drugie robią na zimę zapasy, m.in. z orzechów. Zgodnie z powszechnymi w naszym społeczeństwie mitami i krukowate, i wiewiórki są zapominalskie, przez co nie zjadają wszystkiego. Tymczasem i jedne, i drugie zwierzęta nie tylko mają pamięć jak słoń, ale też ponadprzeciętną inteligencję.

Skąd zatem kiełkujące orzechy? Twórcy spichlerzy nie wiedzą, ile czasu potrwa zima ani jak będzie sroga, muszą więc przygotować się na najgorsze, w tym na kradzież zapasów. Wrony czy sójki obserwują wiewiórki i vice versa. Jedne i drugie nawzajem się okradają, przy czym im cenniejszy obiekt, tym bardziej starają się zmylić przeciwnika. Mało wartościowy pokarm wiewiórki ukrywają bardzo szybko, z cennym kluczą, często markują zakopywanie i są w tym niezłe. W miejskich parkach nawet w 30% przypadków krukowate usiłują zrabować zasoby, ale udaje im się to ledwie raz na trzy próby. Co innego, gdy złodziejem jest inna wiewiórka, ta zawsze znajdzie ukryty skarb, choć okradanie współbraci jest znacznie rzadsze.

Orzechy włoskie są jednymi z najcenniejszych, ledwie cztery zaspokajają dobowe zapotrzebowanie wiewiórek. Dla porównania – orzechów laskowych Baśki potrzebują 20, nasion świerka z 22 szyszek, a sosny nawet 100. W warunkach naturalnych najwięcej zjadają tych ostatnich. Aczkolwiek wiewiórki są oportunistami pokarmowymi – jedzą wszystko, i to dość dosłownie. W ich menu znajdują się

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 92d2cb7ecb

m.in. owoce, w tym uprawiane przez nas w sadach, pąki drzew, zielone części roślin, grzyby i mięso.

Co do grzybów, to potrafią one zbierać te same co my, a nawet suszyć je na zimę. Z tym że nie używają suszarek, wtykają je między gałęzie drzew. Jako cwaniaki wiedzą, że grzybów nie zakopuje się w ziemi, ukrywają je w dziuplach, wraz z suszonymi owocami. To jednak niewielka część mykoflory, którą spożywają, większym powodzeniem cieszą się grzyby podziemne, a jeszcze większym – rosnące pod korą; to one mają więcej cennych dla gryzoni składników.

Idę o zakład, że to nie grzyby wprawiły Państwa w zdumienie, lecz mięso. Najczęściej są to owady, ale nie tylko, wiewiórki chętnie plądrują ptasie gniazda, zjadając jaja i pisklęta, a nawet dorosłe ptaki. Badania prowadzone w szczecińskich parkach wykazały, że za 80% strat w lęgach odpowiadają wiewiórki, a nie najczęściej obwiniane sroki i wrony! Co więcej, ptaki lęgnące się w dziuplach są niedostępne dla krukowatych, ale nie dla wiewiórek. Ptaki znają wiewiórcze zagrożenie i gdy zimą obserwuję wiewiórki w karmniku, to skrzydlaci stołownicy czekają, aż ssak go opuści. Z wyjątkiem sosnówki, jednej z najmniejszych gościń mojego paśnika. Ta mała cwaniara zawsze podchodzi rudzielca od tyłu, uważając, by nie trącić go w ogon. Większe ptaki odganiają malucha, więc tycia sikorka nadrabia cwaniactwem.

Zimowe obserwacje wiewiórek w karmnikach obalają przekonanie, jakoby zwierzęta te przesypiały zimę. W rzeczywistości przy wyjątkowo srogiej pogodzie potrafią przez kilka dni nie wychodzić z gniazda, ale poza tym momentem są aktywne. Zimowe gniazda mogą być w dziuplach, ale wiewiórki konstruują też charakterystyczne kule, zwykle między gałęziami lub przy pniu. Te zbudowane są na bogato, z włókien roślinnych, nierzadko uzupełnianych sierścią, pierzem, a nawet zwędzonymi ludziom szmatami. Wiewiórka zaanektowała jedną z budek lęgowych koło mojego domu. Gdy ją czyściłem, znalazłem… zaginione spodnie od piżamy! Dzięki misternej robocie różnica temperatur w zimie może sięgać nawet 30 st. w stosunku do otoczenia. Co więcej, choć wiewiórki są samotnikami, to podczas mrozów niekiedy goszczą u siebie sąsiadów – wiadomo, gdy się do kogoś przytulimy, to obojgu cieplej.

Co innego latem, wówczas wiewiórki mają gniazda bardziej przewiewne. Takich gniazd wiewiórka miewa kilka, rozsianych po zajmowanym terenie. Tu zaznaczę, że rudzielce nie są terytorialistami, ich areały zachodzą na siebie, ale wiewiórki stojące niżej w lokalnej hierarchii unikają okolic gniazd tych usytuowanych wyżej. Ustaleniu hierarchii służą wzajemne gonitwy, wiele można też wyczytać z zapachów pozostawianych przez konkurentki na trasach, po których się przemieszczają. By zostawić zapach, wiewiórka pociera pyszczkiem o gałązki, rzadziej znakuje szlak moczem.

Co w gniazdku piszczy

Wracając do gniazd, to mamy jeszcze gniazda rozrodcze. Każda samica dysponuje przynajmniej jednym zapasowym. Podobnie jak pozostałe mogą one być w dziuplach, budkach, kuliste, w zakamarkach budynków (mieszka taka jedna u moich sąsiadów), a nawet w… miejskich latarniach. Wejścia do tych gniazd są zwykle znakomicie ukryte, ponieważ wiewiórki mają wielu wrogów. We wspomnianej budce koło mojego domu dwa lata temu samica powiła młode. Niestety, dąb, na którym wisi budka, pękł, wskutek czego lokum spadło. W środku znalazłem aż ośmioro młodych! To oznaczało, że nasza sąsiadka była starą wygą, przeciętnie wiewiórki rodzą czwórkę młodych, liczniejsze oseski miewają starsze, doświadczone samice. Upadek zdarzył się na oczach mojej żony, natychmiast podjąłem akcję ratunkową, co bacznie obserwowała wiewiórcza mama. Mimo że zapewniłem ją, że nowe mocowanie jest niezawodne, w ciągu godziny przeniosła wszystkie młode do zapasowego, nieznanego mi gniazda. Szkoda, bo z córką obserwowaliśmy jej poczynania.

Szczególnie interesujące było rwanie przez wiewiórkę kory na wyściółkę. Wiewiórka szła wzdłuż gałązki, tnąc młodą korę na paski, ale nie odcinając końcówek. Gdy zrobiła nacięcia na całej gałązce, odgryzała koniec, zwinnymi łapkami zwijała pasek w kulkę, po czym ściągała kolejny i kolejny, aż kula ledwie mieściła się jej w pyszczku. Z takim pakunkiem pędziła do gniazda. Niedawno ponownie obserwowaliśmy taką scenę, choć dalej od domu. Jakiż był żal mojej córeczki, gdy po kilku dniach znaleźliśmy tę wiewiórkę potrąconą

Wiewiórki potrafią zbierać te same grzyby co my, a nawet suszyć je na zimę, wtykając między gałęzie drzew.

RUDE, CZYLI JAKIE?

Same cechy przypisywane rudej barwie owłosienia są zjawiskiem kulturowym i w wielu kulturach wcale nie budzi ona negatywnych skojarzeń. Wśród bohaterów literackich przedstawianych w pozytywnym świetle są Evan Maclan z „Kuli i krzyża" G.K. Chestertona, rodzina Weasleyów z Harry'ego Pottera czy Jan Bytnar „Rudy" sportretowany w „Kamieniach na szaniec". Rudym owłosieniem może się pochwalić nie więcej niż 2% ludzkości. Najwięcej rudzielców jest wśród Udmurtów zamieszkujących południowo-wschodnią część europejskiej Rosji, Szkotów i Irlandczyków. Rzadkość tej barwy wynika z tego, że jest kodowana przez geny recesywne, czyli muszą się spotkać dwa „słabsze" geny, by dać rudy kolor. Za rudą barwę odpowiada feomelanina, która jest płynna, w przeciwieństwie do innych form melaniny, mających postać krystaliczną. Melaniny są jednymi z najczęstszych barwników roślin, grzybów i zwierząt.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

przez samochód. I tu kolejny zadziwiający fakt, wiewiórki rzadko padają ofiarą kolizji motoryzacyjnych, radzą sobie z przejściami nawet przez ruchliwe drogi. Liczne truchła wiewiórek w miastach wynikają z ich dużego zagęszczenia.

Rozpoznać wroga i teren

Nie znaczy to, że wiewiórki są zupełnie bezpieczne. Ledwie jedna na cztery przeżyje pierwszy rok. Reszta ginie z powodu niedożywienia, chorób, pasożytów i drapieżników. Wiewiórki są przysmakiem kun, które świetnie wspinają się po drzewach i nierzadko plądrują wiewiórcze gniazda. Uwielbiają je też jastrzębie. Zawsze gdy słyszę ptasie alarmy, rozglądam się w poszukiwaniu przyczyny. W 90% powodem jest kot, który stanowi zagrożenie również dla wiewiórek. Koty są jedną z ważniejszych przyczyn spadku liczby wielu ptaków, a że nie jest to gatunek naturalnie występujący w przyrodzie, trzymajmy mruczki w domach. Do moich ulubionych alarmów należą te zwiastujące krogulca lub jastrzębia. Jakiś czas temu czytałem o badaniach, z których wynikało, że wiewiórki rozróżniają rodzaje ptasich alarmów, i rzeczywiście zaobserwowałem reakcje wiewiórek. Na ostrzeżenie przed krogulcem wzmagały czujność, ale nie przerywały swoich zajęć, jedynie wykonywały je wolniej i uważniej lustrowały okolicę (o ile nie siedziały na ziemi, samica krogulca jest w stanie schwytać wiewiórkę). Gdy jednak alarm zwiastował jastrzębia, wiewiórki zamierały na gałęziach – nieruchomą ofiarę trudniej dostrzec.

Uwielbiam bajki, ale nie lubię, gdy ktoś bierze je serio. Wśród bajań na temat wiewiórek jest i to, że siedząc na dwóch łapkach, zawijają esowato ogon nad głową, by dać sobie cień. Nawet łacińska, naukowa nazwa wiewiórki nawiązuje do tej obserwacji. *Sciurus* wywodzi się z greki, od słów ogon i cień. Ów motyw uchwycił Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". Opisując nieprzebyte puszcze litewskie, wprowadził w nasze wyobrażenie pojęcie matecznika, w którym, niczym na arce Noego, miało być po parze każdego zwierzęcia, w tym dawno wymarłego tura, jednego z „puszcz imperatorów". O wiewiórce zaś napisał: „Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma, / Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma, / Jak pióro nad szyszakiem u kirasyjera". W rzeczywistości to nie parasol słoneczny, ale jest w przekonaniu o chłodzeniu się ogonem ziarno prawdy. Zwiększając lub zmniejszając przepływ krwi przez ogon, wiewiórka reguluje temperaturę. Ponadto w zimie zwija się w kłębek, nakrywając się ogonem niczym kołderką, w ten sposób chroni się przed wychłodzeniem.

O ogonku za chwilę, poświęćmy jeszcze uwagę naszej epopei i orzechowi w łapkach. Wiewiórki przed zjedzeniem obracają orzech w łapkach, w ten sposób bezbłędnie oceniają, czy nie jest zepsuty. Dobre zjadają na miejscu lub ukrywają, zepsute wyrzucają, a gdy się trafi robaczywy… zjadają przysmak czym prędzej, bo wkładka mięsna to dodatkowe kalorie.

A co z ogonkiem? Wiewiórki najchętniej przemieszczają się w koronach drzew. Gdy te są od siebie oddalone, rudzielce wykonują imponujące skoki pomiędzy nimi. Niekiedy słyszę, że ogon służy wówczas do szybowania. Nie znam się na aerodynamice, ale wydaje mi się, że puszyste skrzydło umieszczone w linii ciała, na zadzie, niewiele by w tym pomogło, za to świetnie nadaje się do sterowania. Niemniej niektóre wiewiórki opanowały szybownictwo, a jedna z nich, polatucha syberyjska, zamieszkiwała jeszcze w XIX w. sławione przez Mickiewicza „puszcze litewskie", w tym Puszczę Białowieską. Polatuchy obecnie najbliżej znajdziemy w Estonii, a ich loty są możliwe dzięki fałdowi skóry wzdłuż boków i łapek, które podczas skoku zwierzęta rozciągają. Tym sposobem polatuchy przelatują 10-20 m, choć rekordowy (znany) ślizg osiągnął prawie 50 m.

Polatuchy należą do szerokiej rodziny wiewiórkowatych, wraz z ok. 270 innymi gatunkami. Wśród najbliższych krewnych naszej, obecnie jedynej, wiewiórki pospolitej znajduje się 28 gatunków (i minimum sześć znanych form kopalnych). Najbliższe pokrewieństwo obejmuje zwierzęta w obrębie rodzaju, określanego przez pierwszy człon nazwy łacińskiej, czyli *Sciurus*. Należy do niego także wiewiórka szara, importowana z Ameryki Północnej i niestety bardzo ekspansywna w Europie. Na razie plotki o jej obecności w Polsce są nieco przesadzone, ale na Wyspach Brytyjskich i we Włoszech szybko wypiera rodzimą rudą wiewiórkę. Brytyjczycy i Włosi, którzy nierozważnie sprowadzili wiewiórki szare do siebie, teraz kombinują (i wydają niemałe pieniądze), jak posprzątać rozlane mleko. Mimo podejmowanych wysiłków szare przybyszki co rok przesuwają zasięgi o 10-15 km w części kontynentalnej. Na Wyspach tempo ich rozprzestrzeniania się zmalało i Szkocja w znacznej mierze jest od nich wolna.

Inwazja amerykańskiej migrantki nie dotrze do nas już jutro, jak alarmują karmiące się sensacją media, ale warto zawczasu się przygotować. Jakim problemem są obce gatunki inwazyjne, już się przekonaliśmy na przykładzie wizona (norki) amerykańskiego, szopa pracza, nawłoci późnej czy rdestowca sachalińskiego.

Konrad Malec

Przed zjedzeniem orzecha wiewiórki obracają go w łapkach, w ten sposób bezbłędnie oceniają, czy nie jest zepsuty.

Ustaleniu hierarchii służą wzajemne gonitwy, wiele można też wyczytać z zapachów pozostawianych przez konkurentki na trasach, po których się przemieszczają.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Pot, szybkie tętno, niepokój

Zaburzenia lękowe to obecnie najczęstszy problem psychiczny Polek i Polaków

Arkadiusz Lorenc

Piotr porzucił marzenie o podróży do Stanów Zjednoczonych w połowie 2012 r. Zaczął go przerażać ogrom wieżowców w Nowym Jorku i Los Angeles. Przez pewien czas nie mógł ich nawet oglądać na zdjęciach ani w filmach. Wcześniej nie było to dla niego najmniejszym problemem. Zwiedzał wysokie budynki i latarnie morskie, jeździł przeszklonymi windami. Ale w 2012 r. wszystko się zmieniło. Dziś takie atrakcje są wykluczone. Dziś Piotr żyje na pół gwizdka. Tak mówi. I wszystko kręci się wokół lęku.

Przez własne osiedle (blokowisko w Zielonej Górze) przestał chodzić już nawet do pracy. Do biura ma jakieś 500 m piechotą. Ale jest w stanie zmusić się do przejścia jedynie stu – do garażu. Potem wsiada w samochód i kolejne 400 m przejeżdża. W samochodzie czuje się trochę pewniej. Choć też nie zawsze.

Piotr cierpi na fobię. Boi się wysokich budynków, szczególnie takich, które mają więcej niż cztery piętra i są betonowe. Najlepiej czuje się w otwartych przestrzeniach: w lesie, na łące, ogólnie rzecz biorąc – na łonie natury. Z dala od betonu.

•

Jego lęk zaczął się w 2012 r. podczas powrotu z gór.

– A przecież jeszcze w 2011 miałem w Warszawie szkolenie na 45. piętrze – i nic. Wjeżdżałem na górę – wspomina. Początkowo lęk miał niewiele wspólnego z betonem czy wysokimi budynkami. Po prostu był, a właściwie bywał. Samochód w drodze do domu prowadził Piotr. Na fotelu pasażera siedziała jego narzeczona, a dziś żona.

– Nagle poczułem, że jadę bardzo szybko. Tak mi się w każdym razie wydawało, bo w rzeczywistości wlokłem się prawym pasem. Spociłem się ze stresu, wydawało mi się, że za bardzo przyspieszam. Pojawiły się też zawroty głowy i wewnętrzny niepokój, że coś za chwilę się wydarzy. Nic z tym nie zrobiłem, w końcu dowlekliśmy się do domu.

Jakiś czas później Piotr pojechał do Poznania w delegację, a razem z nim niemal sama kadra zarządzająca. Przed uroczystą kolacją zadzwoniła żona. Powiedziała, że miała stłuczkę na parkingu. Ta informacja tak zestresowała Piotra, że obsesyjnie myślał o tym, czy nie udławi się posiłkiem na oczach wszystkich. Po prostu bał się przełykać. Lęk towarzyszył mu potem wiele razy. Także podczas imprezy rodzinnej u wujka w mieszkaniu na szóstym piętrze. Dużo ludzi w jednym miejscu, wysoko. Pot, szybkie tętno, niepokój. Wtedy po raz pierwszy lęk był związany z wysokim budynkiem. I właśnie to Piotrowi zostało do dziś.

– Poszedłem do psychiatry – opowiada. – Dostałem leki, ale nie chciałem ich brać. Postanowiłem, że będę walczyć bez nich.

W tamtym czasie dużo działo się w życiu Piotra: ślub, a potem pierwsze dziecko.

– Może to mnie jakoś przytłoczyło? – zastanawia się dziś. Nie znajduje odpowiedzi.

Krótko po ataku paniki w mieszkaniu wujka na szóstym piętrze Piotr zakomunikował przyjacielowi i jednocześnie przełożonemu, Darkowi, że nie będzie więcej go odwiedzać. Darek mieszkał na dziewiątym piętrze. Już sama myśl o tym, żeby wejść do budynku tak wysokiego, przytłaczała Piotra. Darek zrozumiał. Sam zmagał się z kryzysem psychicznym i regularnie przyjmował leki. Piotr zamieszkał na czwartym. To najwyższe piętro, które może zaakceptować. Najlepiej też, gdy klatka schodowa jest ciasna i nieprzeszklona. Im mniej widać, tym bezpieczniej i pewniej czuje się na schodach.

•

Malwina zmaga się z silną arachnofobią. Przeczytała kiedyś w internecie, że z pająkami doskonale radzą sobie koty: najpierw męczą je, a potem zjadają. Niestety, jej kot pod tym względem okazał się rozczarowaniem – owszem, bawił się pająkami, ale potem je wypuszczał. Zazwyczaj w bliskiej obecności

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 92d2cb7ecb

dziewczyny. Pytam Malwinę, czy lęk przed pająkami utrudnia jej normalne funkcjonowanie.

– Czasami – przyznaje. – Na przykład gdy muszę o czwartej w nocy walczyć z jednym z nich. Zdarzyło się też, że spieszyłam się kiedyś, musiałam szybko wyjść z domu. I zastałam w łazience pająka. Natychmiast zamknęłam do niej drzwi. Nie było mowy o tym, żeby wziąć prysznic czy zrobić makijaż. Wyszłam tak, jak stałam.

Arachnofobia należy do jednej z częstszych i raczej powszechnie znanych fobii. I zazwyczaj spotyka się ze zrozumieniem. Dlatego też opór przed mówieniem o niej jest mniejszy. Choć rodzice nadal nie potrafią zrozumieć paniki Malwiny na widok niegroźnego z ich perspektywy kątnika.

•

Oprócz psychiatry Piotr poszedł też do psychoterapeuty na konsultację. I został na dłużej. To była bardzo dobra decyzja: dwa lata terapii pozwoliły mu nauczyć się, jak funkcjonować z lękiem. Nie pozwoliły jednak znaleźć źródła problemu – wprawdzie podczas sesji Piotr wracał pamięcią do najmłodszych lat i próbował szukać przyczyny, ale wszystkie wysiłki okazały się daremne.

Dlatego dwa lata po zakończeniu pierwszej terapii postanowił spróbować ponownie.

– Wybrałem terapię w nurcie poznawczo-behawioralnym. I to był dobry wybór. Niestety, trafiłem do bardzo złej terapeutki. Od początku nie podobały mi się jej metody: jakieś prace domowe, tabelki, w których miałem opisywać moje lęki. Próbowała mnie namawiać, żebym wjeżdżał w wieżowcach na wysokie piętra, stawał przy oknach, oswajał się. A to, co zrobiła na jednym spotkaniu, kompletnie mnie straumatyzowało. Zaproponowała, żebyśmy spotkali się w palmiarni w Zielonej Górze. Tam jest szklana winda, która wjeżdża na drugie piętro i pozwala oglądać miasto z góry, bo sam budynek też jest ze szkła i wszystko widać. Dla mnie – choć to tylko drugie piętro – szklana winda stanowi duże wyzwanie. Zgodziłem się, bo terapeutka obiecała mi, że wjedziemy tylko na pierwsze piętro. Kiedy weszliśmy do windy, wcisnęła przycisk: drugi poziom. Chciałem stamtąd uciekać, poczułem się jak w potrzasku. Błagałem, żeby mnie sprowadziła jak najszybciej na ziemię. Może i metoda ekspozycyjna jest dobrym sposobem na pokonanie fobii, ale u mnie metody terapeutki spowodowały pogorszenie stanu. A przecież nie po to poszedłem na terapię, by czuć się gorzej. Wróciły stany lękowe. Kiedyś panika zaatakowała mnie na osiedlu, w samochodzie, w drodze z pracy. Uznałem, że muszę iść do psychiatry.

•

– Od jak dawna mierzysz się z lękiem? – pytam Monikę.

– Świadomie od trzech – odpowiada. – Nieświadomie od 11. Zaczęło się w pierwszej klasie liceum. Wtedy mój tata zmarł na raka. Silny stres objawił się w żołądku. Od tamtego momentu każdego dnia przez dwa lata czułam mdłości. I nigdy nie zwymiotowałam. To był koszmar. Codziennie w drodze do szkoły przechodziłam koło piekarni. Czułam zapach świeżo wypieczonego chleba. Odrzucał mnie. A przecież to był ładny zapach, przyjemny. Nie dla mnie. Brałam głęboki wdech i szłam przed siebie. A czasami wybierałam inną drogę. Na studiach te mdłości męczyły mnie trochę mniej. Ale potem wróciły – kiedy zaczęła się pandemia. Bałam się o babcię i mamę. Nie miałam ataków paniki, tylko szereg innych objawów, które utrzymywały się przez kilka dni. Zawroty głowy, osłabienie nóg, duszności, kłucie w klatce piersiowej.

– Co robisz, gdy takie objawy się pojawiają?

– Zajmuję się czymś, żeby nie nadawać temu wagi. Kiedy jest ciepło, idę na rower. Wtedy przechodzi. Bo jak się na tym skupię, zaczyna się panika.

– A jeśli nie przechodzi? Idziesz do lekarza?

– W żadnym wypadku. Cierpię na jatrofobię. Boję się lekarzy, pielęgniarek, dentystów. To jest najgorsze połączenie: lęk przed zachorowaniem i jatrofobia. A mnie się zdarzyło. Lęk uogólniony, który daje somatyczne objawy i wywołuje nerwobóle, powoduje, że sama zastanawiam się, czy nie dolega mi coś poważnego. Ale na samą myśl o tym, że miałabym pójść do lekarza i się przebadać, czuję się jeszcze gorzej. Bo wizyta u lekarza kojarzy mi się z leczeniem. Widziałam, jak to wyglądało w przypadku mojego taty i jak się skończyło. W mojej głowie utrwalił się prosty schemat: jeśli pójdę do lekarza, to wkrótce umrę. Ostatni raz badałam krew jako 12-letnia dziewczynka. Teraz mam prawie 30. Ale pobieranie wtedy, w dzieciństwie, to był koszmar. Pielęgniarka nie umiała się wbić w żyłę. Do dzisiaj czasami śni mi się to po nocach. Wiem, że kiedyś jednak będę musiała się przebadać. Przecież jestem przekonana, że w końcu przyplącze mi się jakaś choroba. Nie zastanawiam się, czy będę mieć raka, tylko jakiego i kiedy. A gdy o tym myślę, to się nakręcam. Co wtedy zrobię? Jak będę się leczyć?

– Korzystałaś z pomocy terapeuty?

– Wyłącznie korespondencyjnie, rozmawiałam z psychologiem na platformie internetowej. Psychoterapeuci to dla mnie prawie jak lekarze. Powodują lęk.

– Usłyszałaś jakąś poradę?

– Żebym się przełamała i zobaczyła, że nic złego u lekarza mi nie grozi. Ale nie wiem, czy to dobry sposób. Kiedy już naprawdę muszę, idę do stomatologa. Po wizycie czuję się w porządku i nawet lubię mojego dentystę. Ale i tak za każdym razem czuję taki sam silny lęk. To dlaczego u innego lekarza ta metoda miałaby być skuteczna? Nie sądzę.

•

Psychiatra przyjmował w niskim budynku. To było dla Piotra ważne.

Kiedy szukam hotelu na wakacje, sprawdzam zawsze, czy jest wysoki. Wybieram takie, które mają nie więcej niż trzy piętra.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

– Przychodnia jest niska, ale w centrum miasta i cała z betonu. Ostatnio nawet poprosiłem żonę, kiedy jechaliśmy do lekarza, żeby zatrzymała samochód przy samym wejściu i mnie wypuściła.

Wprawdzie od kilku lat Piotr jest na lekach, ale nadal w centrum miasta odczuwa dyskomfort. Zdołał jednak wrócić do w miarę normalnego funkcjonowania. Na terapię za to nie chciał wrócić. Musiało minąć siedem lat, żeby zdołał na nowo zaufać terapeucie.

Największym wybawieniem dla Piotra była pandemia. Covid dał mu świetną wymówkę do niewychodzenia z domu.

Gdy rozmawiamy, chodzi od miesiąca na sesje. Myśli też nad zmianą psychiatry, bo skuteczność leczenia, zdaniem Piotra, jest ostatnio coraz niższa, a kiedy pojawiają się skutki uboczne nowych leków, lekarz nie reaguje. Znalazł nawet gabinet w Zielonej Górze, który reklamuje się holistycznym podejściem do zdrowia psychicznego. I budynek ma normalny, podkreśla Piotr. Nie że jakiś kloc z betonu.

•

Lęk powoduje, że życie Piotra i jego rodziny nie wygląda tak jak życie innych klasycznych rodzin dwa plus dwa. A przynajmniej w głowie Piotra. Widać to na przykład po sposobie, w jaki planuje wyjazdy wakacyjne.

– Kiedy szukam hotelu na wakacje, sprawdzam zawsze, czy jest wysoki. Wybieram takie, które mają nie więcej niż trzy piętra. Za pomocą Google Maps analizuję też uważnie okolicę: im bliżej zieleni i natury, a im dalej od betonu, tym lepiej. Zwracam też uwagę na umiejscowienie parkingu – jeśli hotel znajduje się na terenie zielonym, to może być nieco oddalony od recepcji. Ale jeśli w mieście – wtedy im bliżej, tym lepiej.

Piotr podkreśla, że na wakacjach czuje się zawsze trochę lepiej. Szczególnie gdy są to wyjazdy w góry. Wysoki hotel w Karpaczu, w którym ostatnio spał, nie był dużym problemem. W Warszawie sprawy mają się jednak zupełnie inaczej.

Ważny jest też sposób, w jaki Piotr dociera na miejsce. Autostrady kojarzą mu się z betonem, więc odpadają (jednak mając do wyboru przejazd przez centrum miasta lub obwodnicą, wybierze obwodnicę, bo choć betonowa, to jest szansa, że będzie z niej widać las). Zdarzyło się nawet, że zatrzymał samochód za wiaduktem i cały roztrzęsiony oznajmił rodzinie, że nie da rady dalej jechać. Nie dał rady też udać się do psychiatry, żeby porozmawiać o zmianach w terapii. Lekarz musiał przyjechać do domu. A już w ogóle najlepsze są jednopasmowe drogi, na których co chwila jest zakręt. Coś się dzieje, trzeba uważać, można zająć czymś głowę. Piotr często jeździ pociągiem. Z okien widać lasy, pola. Niepokój pojawia się tylko wtedy, gdy pociąg przejeżdża przez miasto.

– Ostatnio jechaliśmy do Nowego Sącza – opowiada. – Kiedy wtoczyliśmy się do Wrocławia, zrobiło mi się słabo, coś ścisnęło za gardło i modliłem się, żebyśmy jak najszybciej stamtąd wyjechali. W Krakowie czekała nas z kolei przesiadka do autobusu. Na szczęście dworzec miałem w małym palcu – przestudiowałem plan wcześniej. Wiedziałem, ile ma pięter, gdzie winda i jak najszybciej dostać się do dworca PKS. Gorzej było w drodze powrotnej, bo musieliśmy poczekać w Krakowie na pociąg do Zielonej Góry. Jak najszybciej chciałem wejść do jakiejś knajpki i przesiedzieć, przeczekać. Ale i tak miasto mnie jakoś przytłoczyło, byłem cały zlękniony. Natomiast sam pobyt w górach – to relaks. Nawet po deptaku chodziłem. Wbrew pozorom znoszę to całkiem nieźle, bo beton zasłania tłum ludzi. Jakoś jestem w stanie funkcjonować.

Największym wybawieniem dla Piotra, podobnie jak dla wielu moich rozmówców, była pandemia. Covid dał mu świetną wymówkę do niewychodzenia z domu – nawet wtedy, kiedy już można było z niego wychodzić.

– Marzę o domu – mówi. – Marzę o tym, żeby nie mieszkać w mieście. Jeździmy często do mojego teścia, 60 km od miasta. Tam są łąki, las, pola. Biegam po kilkanaście kilometrów przez ten las i nic mi nie jest. Tam odpoczywam. A kiedy musimy wracać, zaczyna się niepokój. Ale może uda nam się kiedyś przenieść.

•

– Czy ludzie uważają cię za dziwaka? – pytam Piotra. Wydaje mi się, że jego fobia ukierunkowana na konkretny obiekt: betonowe, wysokie budynki, nie zawsze spotyka się ze zrozumieniem.

– Nie, bo mało osób wie o moim problemie. Tylko najbardziej zaufani. W pracy powiedziałem koleżance z pokoju. Dobiega pięćdziesiątki, sama sporo przeszła w życiu, chodziła na psychoterapię, nawet na zajęcia na oddziale dziennym. Dobra, przyzwoita kobieta. Wspiera mnie, a nawet dopinguje. Wie też mój kierownik i przyjaciel Darek. Poprzedniemu kierownikowi nie powiedziałem. W najgorszym momencie poprosiłem tylko o trzy tygodnie urlopu. Nie podałem przyczyny.

Na samą myśl o tym, że miałabym pójść do lekarza i się przebadać, czuję się jeszcze gorzej.

Kiedy Piotr mówi o urlopie, przypominam sobie liczbę podaną przez ZUS: 4 mln nieprzepracowanych dni w 2022 r. z powodu zaburzeń lękowych. Do tego należałoby doliczyć 15 wolnych od pracy dni Piotra – choć formalnie były to dni urlopowe. I zastanawiam się: ile jeszcze potrzeba dni, które miliony Polek i Polaków mierzących się z zaburzeniami lękowymi muszą spędzić z tego powodu na zwolnieniu albo na urlopie, by dostrzec powagę problemu i zacząć o nim mówić?

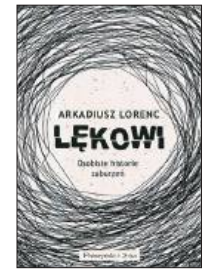

Fragmenty książki Arkadiusza Lorenca *Lękowi. Osobiste historie zaburzeń*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2024

eprasa.pl 92d2cb7ecb

JOLKA

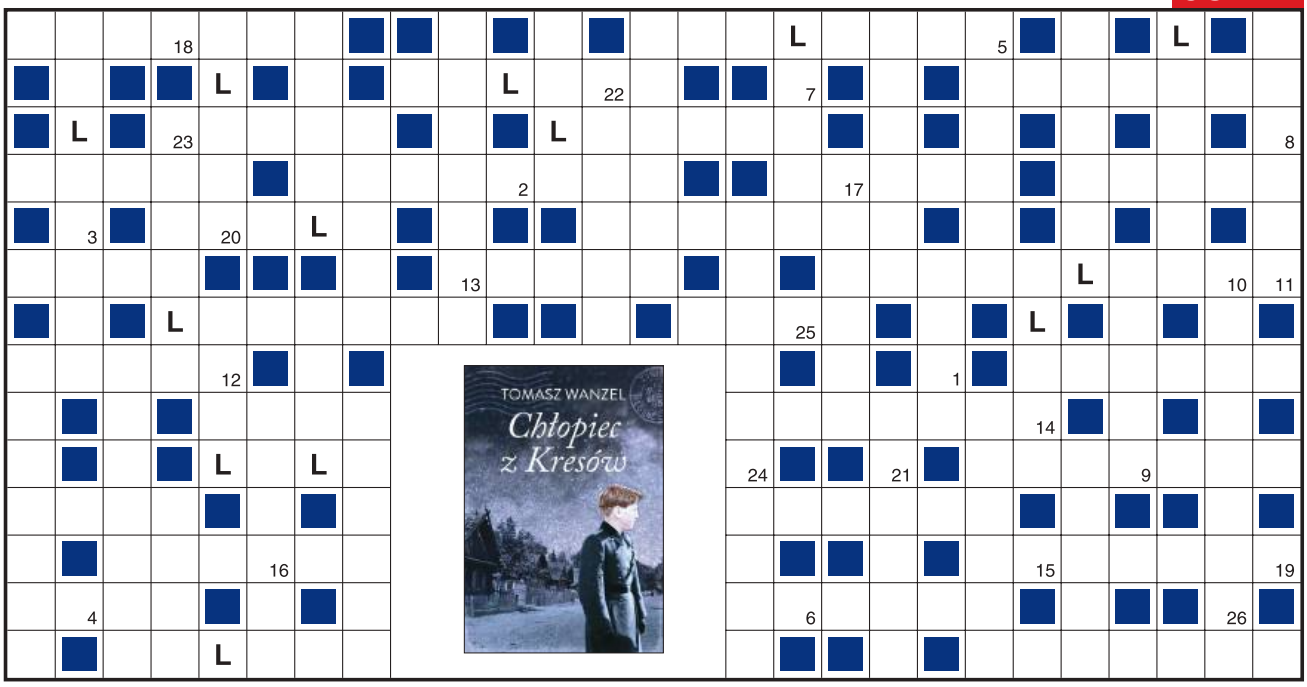

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- reżyser Ferrara, kompozytor Korzeniowski
- …diabła w procesie kanonizacyjnym
- imię Kowalskiego granego przez Fijewskiego
- zawiera pytania sondażowe
- odezwa lub uroczysty w szkole
- ochota na jakąś potrawę
- Krzysztof, wicemarszałek Sejmu
- wyścigowy pies
- jadalnie o przystojniaku
- miseczka do sake, lodów
- Kaźmierska z „Tańca z gwiazdami”
- pocztowo-pasażerski pojazd konny
- rajski ogród
- dla niej bagatela Beethovena
- karetka reanimacyjna
- jego fale – fale radiowe
- tworzywo na kapelusz
- partia, oddział wojska lub skalna
- ludowe przedstawienie o rzezi niewiniątek
- czajnik
- niezaproszony i niemile widziany
- dumny łatwo go nie zgina
- dopinguje ulubioną drużynę
- w nim seanse niespirytystyczne
- Etruria lub Pepita z Janowa
- powieść Dehnela o babci
- przy niej nocna lektura po kryjomu
- samosąd z westernu
- stolica z Trafalgar Square
- włoskie miasto ze Świętym Domkiem
- znikomość, małostkowość
- na rękę, na czysto
- tankowane do baku
- wypuściła z puszki nieszczęścia
- rodzaj patelni do warzenia soli
- wykluło się
- przestarzały, szmirowaty utwór literacki
- zdradzony mąż
- rozwijana do zasłaniania
- polityk Bugaj, reżyser Bugajski
- część mowy nazywająca rzeczy, osoby
- płynie w korycie
- solidność, wiarygodność
- „…marymoncka” Hłaski
- i sędziwy mężczyzna, i roślina
- pani podpowiadająca
- tablica z nazwą sklepu
- wkrętak
- wymieni obicie
- powstawanie oporu hamującego ruch
- żołądź nie na dębie
- wysokie lustro z konsolą
- powieść Philipa K. Dicka
- konieczny do spełnienia
- połączony kanałem z Krzną
- uzyskiwany podczas elektrolizy wody
- armia, siły zbrojne
- przed pierwszym rozdziałem
- fachowe określenie wartości, taksacja
- przesąd
- godzina… – moment rozpoczęcia działań
- usunie lakier z paznokci

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1164”. Do rozlosowania książki „Chłopiec z Kresów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 kwietnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1161” z nr. 12: *Kpina to przyprawa dowcipu.* Nagrody otrzymują: Zuzanna Hałas z Białobrzegów, Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Zbigniew M. Trojanek z Szamotuł.

eprasa.pl 92d2cb7ecb

Ciepła woda w kranie

W mediach można wyczytać, że na ambasadora w Niemczech minister Sikorski szykuje Jana Tombińskiego. Dżentelmena w wieku emerytalnym. Cóż, szału nie ma.

Owszem, nikt Tombińskiemu nie odmawia kompetencji czy znajomości polityki europejskiej. „Mój mąż jest z zawodu ambasadorem", może mówić jego żona, bo Tombiński ambasadorował w Słowenii, we Francji, w Unii Europejskiej, a także, jako przedstawiciel Unii Europejskiej – w Ukrainie i w Stolicy Apostolskiej.

Pięć ambasad, piękna kariera. Teraz ma być szósta. I możemy w ciemno zakładać – żadnego błędu Tombiński nie zrobi, w kontaktach z Auswärtiges Amt będzie akuratny, z mediami będzie miał poprawne kontakty, wszystko będzie miłe jak ciepła woda w kranie. Ale – jak podpowiada historia jego szefowania na poprzednich placówkach – wartości dodanej nie stworzy.

Zresztą zerknijmy w niedawną przeszłość. Tombiński był w latach 2001-2006 ambasadorem we Francji, jego poprzednikiem był Stefan Meller, a następcą Tomasz Orłowski. Porównajmy tę trójkę – na tle Mellera czy Orłowskiego Tombiński wypada, najdelikatniej mówiąc, blado. Czym miał Francuzom imponować? Wiedzą o Francji, o francuskiej historii czy kulturze – nie za bardzo. Nie miał też jakichś szczególnych kontaktów w Quai d'Orsay czy Pałacu Elizejskim. W zasadzie Francuzi zapamiętali go jako tego ambasadora, który miał nadzwyczaj dużo dzieci (ambasador jest ojcem dziesięciorga). To ich zadziwiało, o tym wspominają do dziś. Ale nic więcej.

A Unia Europejska? Do Brukseli pojechał niemal prosto z Paryża, był tam naszym ambasadorem w latach 2007-2012. Jego poprzednikiem był Marek Grela, a następcą Marek Prawda. I znów mamy różnicę, która bije po oczach…

Gdzie jest więc haczyk, który tłumaczyłby jego karierę?

Można ich wymienić kilka. Po pierwsze, to dawny działacz NZS, co bardzo mu pomagało, gdy przyszedł do MSZ, i przydaje się do dziś. Jest pół roku młodszy od Tuska, także działacza NZS, i reprezentuje ten sposób myślenia. Było to zresztą przyczyną pewnego incydentu, kiedy w czasach, gdy był ambasadorem przy UE, powiedział, że nie jest dobrym pomysłem, by na szefa unijnej dyplomacji wysuwać kandydata z komunistyczną przeszłością. Akurat chodziło o Massima D'Alemę i wypominanie „komunizmu" jemu kompromitowało Tombińskiego, a nie byłego premiera Włoch.

Po drugie, potrafi grać na siebie. Ludzie, którzy z nim pracowali, z pewnym zażenowaniem wspominają, jak lubił przechwalać się swoimi awansami. A jednocześnie blokować awans innych. Są szefowie placówek, którzy słyną z tego, że potrafią pozytywnie nakręcać podwładnych. Tombiński do takich nie należy. Kto u jego boku urósł?

I po trzecie – najwyraźniej taki ambasador w Niemczech i Tuskowi, i Sikorskiemu pasuje. Duda też nie powinien kręcić nosem – ostatecznie do Brukseli Tombińskiego wysłali Anna Fotyga i prezydent Lech Kaczyński. Jest również głęboko wierzący. W Brukseli raz w miesiącu organizował poranne modlitwy dla dyplomatów i urzędników instytucji unijnych.

Może więc jest tak, że lepszego kandydata na Berlin nie ma? I Sikorski z Tuskiem postawili na sprawnego urzędnika, który wprawdzie niczego nie przyniesie, ale równocześnie niczego nie zepsuje. Jest to też wskazówka – że ośrodka polityki niemieckiej powinniśmy szukać w innym miejscu.

Attaché

Najsilniejsze od 25 lat trzęsienie ziemi nawiedziło wschodnią część Tajwanu. Zginęło 10 osób, a kilkadziesiąt uznaje się za zaginione, ponad 1 tys. zostało rannych. Uszkodzonych jest wiele budynków. Hualian, 3 kwietnia 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 92d2cb7ecb

PENETRACJE

POLITYKA

CVETA DIMITROVA,
PSYCHOTERAPEUTKA

Odkąd w latach 80. wprowadzono na rynek słynny prozac – lek, który stał się pełnoprawnym bohaterem popkultury – nauczyliśmy się myśleć o depresji po prostu jako o niedoborze serotoniny (choć, jak wykazano w licznych publikacjach, rzecz jest dalece bardziej złożona). Być może przez niechęć do głębszego rozumienia złożonych procesów stojących za naszym samopoczuciem nazbyt często mamy do zdrowia psychicznego podejście mechanistyczne i bezrefleksyjne. Nie piszę tego, żeby zakwestionować czyjekolwiek cierpienie, ale raczej skrytykować płytkość i dosłowność sposobu widzenia tych złożonych zagadnień, jaki zakorzenił się w świecie.

TYGODNIK ANGORA

KAZIMIERZ OLEJNIK,
B. ZASTĘPCA PROKURATORA GENERALNEGO

Nie ma przestępstw doskonałych. Jeśli istnieje uzasadnione podejrzenie, że popełniono bardzo poważne przestępstwo marnotrawstwa publicznych środków, to należy zbadać dokładnie wszystko, co jest z tym związane. To kanon warsztatu prokuratora. Mam pełne zaufanie do pracującego w tej sprawie zespołu. To osoby, które zjadły zęby na pracy prokuratorskiej. Po nitce do kłębka w wyjaśnianiu i tej lawiny już nie da się zatrzymać. Z mojego doświadczenia wynika, że w sferze przestępczości białych kołnierzyków wiele osób chce się odciąć. Wcześniej nie miały wyboru, możliwości właściwego reagowania, działały pod presją, walczyły o utrzymanie w zawodzie.

wysokieobcasy

JOANNA KULIG,
AKTORKA

Mam wrażenie, że w Stanach najszybciej odnajduję wspólny język z osobami z Europy. Może chodzi o podobny kod kulturowy. Nie twierdzę, że każdy tak ma, ale ja podświadomie szukałam w Stanach Europejczyków, łatwiej mi było z nimi się zaprzyjaźnić, nawiązać bliską więź. Z Amerykanami nie czułam się tak swobodnie. W Europie czuję się lepiej, w domu. Wciąż dominują stereotypy. Jasne, w Stanach emigranci wciąż wykonują prace niskopłatne, np. tych umownych sprzątaczek, i to jest OK, ale kiedy promowałam „Zimną wojnę", byłam w ośrodku NASA i widziałam, ilu tam pracuje Polaków. Więc to nie jest tak, że emigranci pracują tylko fizycznie. Chodzi o to, żeby nie tylko klasa robotnicza była bohaterką historii emigranckich w amerykańskich filmach.

Twój STYL

TOMASZ KOT,
AKTOR

Przygoda z Pawłem Pawlikowskim przy „Zimnej wojnie" była unikatowa. Nie byłem na podobnym planie wcześniej ani później. Chodzi o sposób filmowania: 60, 70 dubli. Człowiek siedzi szóstą godzinę w tej samej pozycji. Cały czas patrzy na identycznie wyglądającą Asię i po raz sześćdziesiąty powtarza: „A co u ciebie? A co u ciebie? A co u ciebie? A co u ciebie?...". W końcu Paweł rozstrzyga: „To było dobre". Cięcie. Kiedy wchodzisz w taki system, musisz opracować tryb przetrwania. Pomogła mi pasja.

FOT. SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 92d2cb7ecb

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

UKEREŻSĘPREJDA

GDALIWYĘZKZKOZI

ZILSONIDYNEUIRA

ROZWIĄZANIA: CUKIER TEŻ SIĘ PRZEJADA, GADATLIWY JĘZYK SZKODZI, ZIELSKO NIGDY NIE UMIERA

Aby język giętki…

PROF. ANDRZEJ ROTTERMUND
O PAŁACU SASKIM

Jako budynek nie ma dla nas żadnego znaczenia symbolicznego. W przeciwieństwie do Grobu Nieznanego Żołnierza, który jest ołtarzem ojczyzny.

AGNIESZKA SZYDŁOWSKA
O POWROCIE DO TRÓJKI

Odbudowywanie z gruzów jest wielkim wyzwaniem po okropnym czasie, w którym znalazły się media publiczne.

ANDRZEJ STANKIEWICZ
O JACKU KURSKIM

W Unii mógłby się odbić. Gdy był europosłem (2009-2014) stał się legendą w wykuwaniu metod „dymania" unijnego podatnika na kasę.

PROF. BOGDAN DE BARBARO
O WYCHOWYWANIU SYNA

Sądzę, że lepiej jest wychować dobrego człowieka niż sprawnego żołnierza.

MAGDA MOŁEK O ŚWIĘTACH

Nie umyłam dziś okien, nie zaplanowałam „jajeczek i bab". Firanki też mam brudne. No i tak siedzę… i się cieszę.

INGA IWASIÓW O KOBIETACH

Wykazujemy większą niż mężczyźni aktywność edukacyjną, lecz jest nas znacząco mniej tam, gdzie osiąga się prestiż i wysokie zarobki.

MAJA BOHOSIEWICZ O MĘŻU

To historia z cyklu: chodził, chodził, aż wychodził. Lepszego nie mogłam sobie wymarzyć.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 92d2cb7ecb

JAK BLISKO

Fotografia Macieja Cieślaka

Maciej Cieślak, z wykształcenia doktor fizyki jądrowej, zajmuje się fotografią dokumentalną i artystyczną. Prezentowany projekt to seria klasycznych fotografii studyjnych par – ludzi i dzikich zwierząt, wyraźnie bliskich sobie, niemal symbiotycznie złączonych. Te portrety przyszłości stworzone zostały przy udziale sztucznej inteligencji. I może dzięki niej ta dziś utopijna wizja wkrótce stanie się realnym scenariuszem. Czy superinteligencja przedefiniuje relacje człowiek-zwierzę? Czy niebawem będziemy postrzegali zwierzęta jak równe nam istoty? I czy zwierzęta się odwzajemnią? Spójrzmy na siebie z bliska.

Pałac OPT w Gardzienicach
Gardzienice Pierwsze 3
do 30 kwietnia

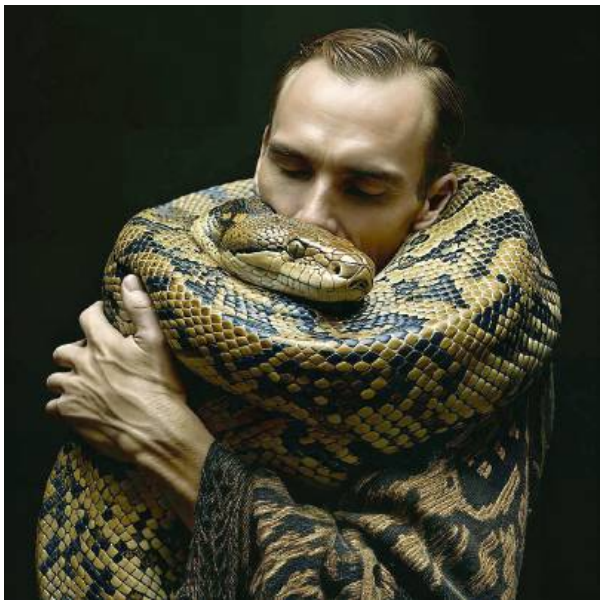

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 92d2cb7ecb

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

Kiedy kota nie ma...

CZWARTEK, 18 KWIETNIA GODZ. 19:00

• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni

RMF MAXXX, onet, Rzeczpospolita, Tele Tydzień, Kobiety, ams, Familie.pl, Przegląd

Partnerzy Teatru

kicket, O bag, Aktywna Warszawa, Strefa Music, mzo

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 92d2cb7ecb

GAUMONT PRÉSENTAIT

SSIFF

FESTIVAL DE CANNES
UN CERTAIN REGARD
SÉLECTION OFFICIELLE 2023

FFA 2023
COMPÉTITION OFFICIELLE

NADIA TERESZKIEWICZ BENOÎT MAGIMEL

ROSALIE

RE Ż YSERIA STÉPHANIE DI GIUSTO

BENJAMIN BIOLAY GUILLAUME GOUIX GUSTAVE KERVERN ANNA BIOLAY

SCÉNARIO, ADAPTATION ET DIALOGUES DE STÉPHANIE DI GIUSTO ET SANDRINE LE COUSTUMER PRODUIT PAR ALAIN ATTAL

D'APRÈS UN TRAITEMENT DE SANDRINE LE COUSTUMER ET ALEXANDRA ECHKENAZI LIBREMENT INSPIRÉ D'UNE HISTOIRE VÉCUE MUSIQUE ORIGINALE HANIA RANI

AVEC LUCAS ENGLANDER SERGE BOZON EUGÉNIE MARCUSE AVEC LA PARTICIPATION DE JULIETTE ARMANET DIRECTEUR DE LA PHOTOGRAPHIE GERASIMOS VOUDOURIS DÉCORS LAURENT OTT ASR. MONTAGE NASSIM GIRIBI-TERRANI VON PIERRE MERTENS JULIEN GERBER THOMAS DESSOUNIÉRES ERIC CHEVALLIER DIRECTEURS DE CASTING PASCALE BÉRARD 1ère ASSISTANTE RÉALISATEURS PASCALE JEANNARD COSTUMES MADELINE FORTAINE AVECA PRODUCTEUR EXÉCUTIF XAVIER AMBLARD DIRECTEUR DE PRODUCTION FRANÇOIS LAMOTTE DIRECTEUR DE PROD. PRODUCTION NICOLAS MORCHET SÉVERINE CAVA SUPERVISEUR MUSICALE EMMANUEL FERRIER UNE COPRODUCTION TRÉSOR FILMS GAUMONT LAURENT BASSAULT BOND-POINT ARTÉMIS PRODUCTIONS AVEC LE SOUTIEN DE CANAL+ AVEC LA PARTICIPATION DE CINÉ+ EN COPRODUCTION AVEC SHELTER PROD EN ASSOCIATION AVEC TASSILI FILM ET CLUB AVEC LE SOUTIEN DU TAX SHELTER DU GOUVERNEMENT FÉDÉRAL DE BELGIQUE AVEC LE SOUTIEN DE LA RÉGION BRETAGNE EN PARTENARIAT AVEC LE CNC EN ASSOCIATION AVEC CINÉMANIA 19 PALATINE ÉTOILE 18 CINÉ-CITÉ LA BANQUE POSTALE IMAGE 8 AVEC CARIF AUDIOVISUEL DÉVELOPPEMENT DE LA RÉGION GRAND EST ET DU GROUPE PLANETES VERSEAU DÉVELOPPÉ AVEC LE SOUTIEN DU CINÉMA DU DÉVELOPPEMENT & DISTRIBUTION ET VENTES INTERNATIONALES

trésor CANAL+ CINÉ+ Gaumont

W KINACH OD 12 KWIETNIA

COUVERTURE: LAURENT LUTHER PHOTO: MARIE CAMILLE ORLANDO

Dystrybucja w Polsce
www.galapagosfilms.pl

WP FILM|ORG|PL dla Lejdis.pl wysokieobcasy.pl GAZETA.PL Przegląd INSTITUT FRANÇAIS

eprasa.pl 92d2cb7ecb